

DZIŚ W DGP PRAKTYCZNY PORADNIK

Nowe taryfy dla przedsiębiorstw wodociągowo-kanalizacyjnych

JAK WYPEŁNIĆ WNIOSEK I UNIKNĄĆ BŁĘDÓW

Zabrakło wam dwóch tygodni

Od roku mamy do czynienia z lockdownami jo-jo. Dokręca się śrubę, zakażeń ubywa, to się ją odkręca i zakażeń znowu przybywa. Tymczasem najistotniejsza w zwalczaniu pandemii jest kontrola podróży – przekonuje fizyk Yaneer Bar-Yam

A8

Sapanie to życie

RIGAMONTI RAZY 2

Ile razy pani zasnęła w sposób niekontrolowany? Ja tysiące. Non stop mi się to zdarza. A jemu to się nie może nigdy zdarzyć. Czasem się budzę, bo jest cisza. I myśl, czy on jest podłączony, czy wszystko OK – opowiadają Magda Hueckel i Tomasz Śliwiński

A16

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

PATRZYMY OBIEKTYWNIE. PISZEMY ODPOWIEDZIALNIE

PIĄTEK – NIEDZIELA
26–28 LUTEGO 2021
NR 39 (5447) ROK 27
ISSN 2080-6744,
NR INDEKSU 348 066

DGP

gazetaprawna.pl
DZIENNIK.PL
FORSAL.PL

MAGAZYN NA WEEKEND

6,90 zł
CENA GAZETY
(W TYM 8% VAT)

DUMA: Taka mała stabilizacja

ZAREMBA: Władza, trwanie, cel

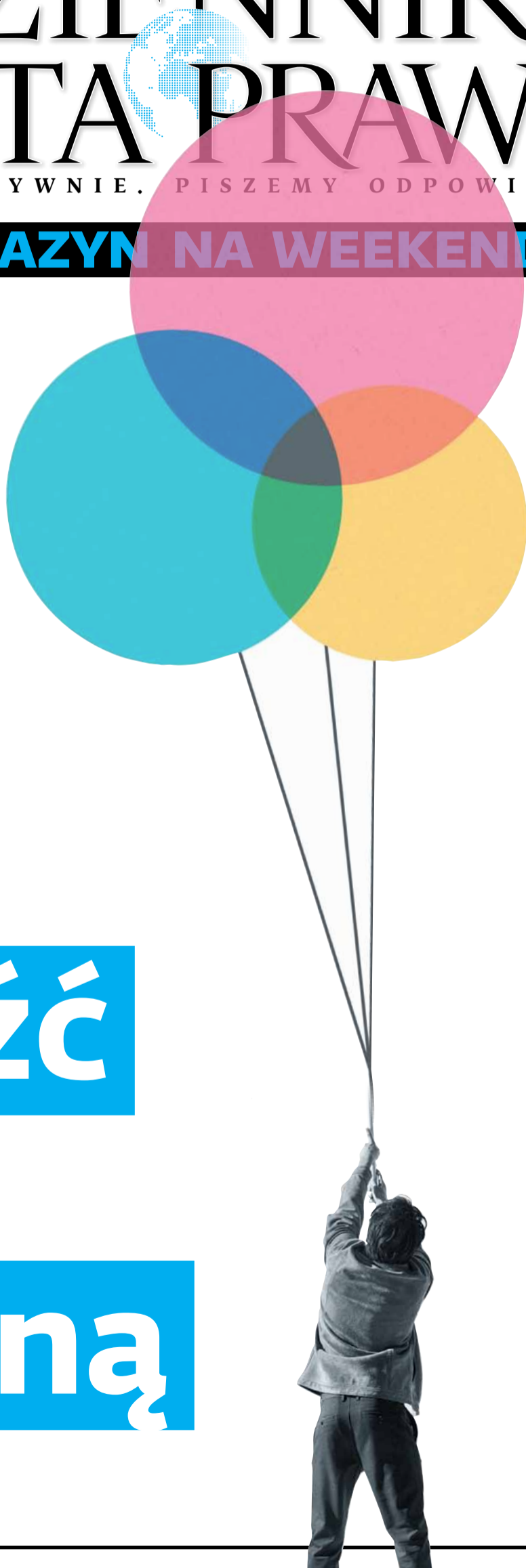
WRÓBEL: Więdnienie czy walka

PAWŁOWSKI: Nieuchwytna tożsamość

WÓJCIK: Na lewo, czytaj: na prawo

Znaleźć część wspólną

A2-7



Złodziejstwo w pigułce

Po co fałszować leki, skoro można je ukraść? Coraz częściej są one wynoszone bezpośrednio z fabryk. Koncerny i urzędnicy udają, że problemu nie ma

A12

Destygmatyzacja nacjonalizmu

Wartości nacjonalistyczne nie spotykają się z szerokim poparciem społecznym, ale jeśli nazwiemy je patriotycznymi, automatycznie akceptacja dla takich postaw wzrasta – mówi Justyna Kajta

A20

To jeszcze nie koniec IPN

Emocje związane z fatalną decyzją kadrową trudno porównać z tymi, które towarzyszyły sprawie pogromu w Jedwabnem czy współpracy Lecha Wałęsy z SB. Takiego miejsca w debacie, jakie przez wiele lat zajmował, dziś już IPN nie ma – twierdzi były szef instytutu Łukasz Kamiński

A22

Sąd nad jawnością

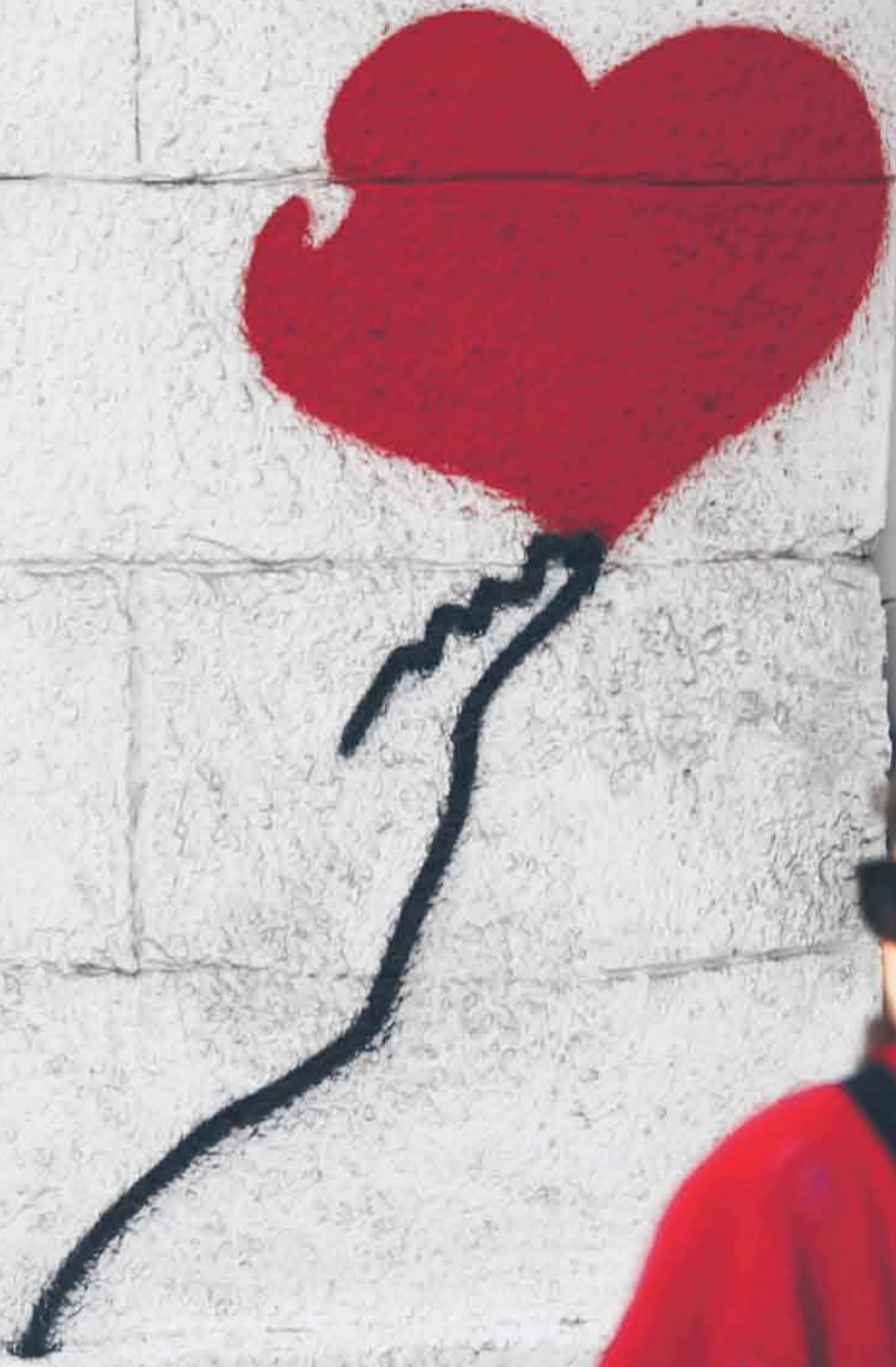
Wniosek prezes Manowskiej wpisuje się w ciąg działań funkcjonariuszy publicznych, które zmierzają do zawężania tego, co w państwie jawne dla obywateli – pisze Krzysztof Izdebski

A29

Z badań z udziałem wyborców wszystkich ugrupowań wynika, że – bez względu na partyjne sympatie – Jarosław Kaczyński jest uważany za najsilniejszą postać na scenie politycznej i po drugiej stronie **nie ma dla niego odpowiednika**

Taka mała

WYWIAD



43241

stabilizacja

Z **Marcinem Dumą** rozmawiają Grzegorz Osiecki i Tomasz Zółciak

Kto zbuduje kapitał polityczny na frustracji związanej z przeciagającą się pandemią?

Są kraje, jak Czechy, gdzie popularność zdobywają partie antyestablishmentowe. W jednym z naszych badań o elitach ankietowani spontanicznie przywoływali postać Andrzeja Leppera jako figurę, której teraz im brakuje.

Kogoś, kto powie: „Wersal się skończył”?

Raczej kogoś zdecydowanego, kto byłby w stanie uderzyć w stół, stać się wodzem protestu. I kto jednocześnie jest daleko od elit. Na polskiej scenie politycznej takiej osoby nie widać.

Takim trybunem ludowym nie może być Marta Lempart, która przewodziła ulicznym protestom? To nie ten typ.

Ale czy niedawne protesty przeciwko wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji nie są sygnałem, że nadchodzi czas lewicy?

Nie uważam, że ten wybuch miał charakter czysto ideowy. Aborcja była raczej katalizatorem protestu niż jego fundamentem. Gdy pojawiły się szersze postulaty polityczne, to ruch zaczął przygasać. Okazuje się, że skrajne elektoraty lewicowe, czy prawicowe, są mocno wewnętrznie podzielone – i tym trudniej zbudować dla nich inkluzywną ofertę. Do pewnego stopnia udało się to Konfederacji, która grupuje wyborców wolnościowych i narodowych, ale widać, że oni też są wewnętrznie niespójni.

Mówi się dziś o dwóch przeciwnych scenariuszach politycznych. W pierwszym wahało odchyła się w lewo, co ma zwiastować upadek PiS i nowy porządek. W drugim pandemia w końcu przemija, do Polski wpływają wielkie unijne pieniądze i PiS wygrywa kolejne wybory. Który scenariusz według pana jest bardziej prawdopodobny?

W świetle badań obydwie koncepcje mają pewne umocowanie. Pandemia i jej skutki mocno nadwyrężyły wizerunek obozu rządzącego. No bo kto wprowadza obstrzeżenia? Rząd. Kto jest odpowiedzialny za trudną sytuację epidemiczną w kraju? Rząd. Proszę zwrócić uwagę, że nie mówię „PiS”. Dlaczego? Ludzie, którzy w badaniach fokusowych opowiadają nam o swoich problemach czy pretensjach, wskazują właśnie na rząd.

Dlaczego to zaskakujące?

To zmiana retoryki. Dotychczas mówiono, że „PiS to”, „PiS tamto”. A teraz mamy

presunięcie środka ciężkości w kierunku rządu. To daje pewne podstawy do myślenia, że pandemia przeminie, przyplyną miliardy z Unii i jakoś się odbudujemy. Opozycja ma wizerunek słabej. Na dwa i pół roku przed wyborami wśród wyborców nie ma przeświadczenia, że istnieje ktoś, kto byłby w stanie pokonać PiS.

A co z tym drugim scenariuszem?

Trudno powiedzieć, bo do wyborów jest sporo czasu. Zwłaszcza że w ciągu ostatniego roku zdarzyło się tak wiele nieprzewidywalnych rzeczy.

Młodzi ludzie nie będą w 2023 r. wypominać PiS kwestii aborcji?

To jest trochę tak jak z tym dotychczasowym kompromisem aborcyjnym. Gdy go wprowadzono, wcale nie cieszył się wielkim poparciem społecznym. Więcej było wtedy zwolenników liberalizacji przepisów. Ale w kolejnych latach kompromis się „ubił”. Zwłaszcza że wszyscy wiedzieli, iż prawo sobie, a życie sobie. Myślę jednak, że tym razem wyborcy nie zapomną PiS sprawy aborcji. Chyba że pojawi się coś, co dla wyborców okaże się ważniejsze. Z drugiej strony, chcąc wygrać, PiS nie musi przeciagać na swoją stronę młodych ludzi. Wystarczy, że zniechęci ich do głosowania na opozycję. Zresztą w tej grupie pewien przewrót już się dokonał.

Jaki?

Mieliśmy głośny raport CBOS, z którego wynikało, że grupa najmłodszych wyborców staje się coraz bardziej lewicowa. Tylko że deklaracyjna lewicowość nie musi oznaczać podejścia opartego na wartościach socjaldemokracji. Dla młodych ludzi może to być coś, co my, starsi, uważalibyśmy dziś za liberalizm, a najwyżej socjoliberalizm. Dochodzi do tego efekt propagandy: jeżeli lewicowość jest postawą polegającą na potępianiu PiS, a my jesteśmy przeciwko PiS, to jesteśmy lewicowi.

Na niedawnej konwencji Lewicy młodzi ludzie opowiadali o swoich bolączkach: problemy mieszkaniowe, umowy śmieciowe, niskie pensje.

Niskie pensje to zawsze dobry temat, ale z mieszkaniem to bym uważał. Ostatnio robiliśmy badania, z których wynikało, że najmłodsze pokolenie podchodzi pragmatycznie do kwestii własnego lokum. Bardziej ceni swoją wolność – nawet kosztem pieniędzy wydawanych na wynajem – niż pozorne poczucie stabilizacji, które daje mieszkanie na kredyt. Podobnie jest w przypadku umów śmieciowych. Z jednej strony mamy pokolenie milenialsów, które ceni sobie bezpieczeństwo, stabilizację i uważa śmieciówki za



MARCIN DUMA

prezes ośrodka badawczego IBRI

najgorszą rzecz na świecie. Z drugiej strony mamy pokolenie Z, czyli osoby w wieku od 18 lat do dwudziestokilkuletnich. One uważają, że śmieciówki nie są takie złe, bo dają swobodę i mobilność na rynku pracy.

I to pokolenie Z nie uwiarygadnia tezy, że PiS nie wygra w 2023 r.?

Może być tak, że pomimo miliardów z UE, które do nas napłyną, pandemia na tyle zmęczyła i zużyła obóz władzy, że trzeci raz nie wygra. To nie znaczy, że PiS zniknie z dnia na dzień, ale może nie uzyskać wyniku wyborczego, który pozwoli mu stworzyć rząd.

A co z wizerunkiem premiera Mateusza Morawieckiego? Ogłoszenie Nowego Ładu zaprocentuje? Czy PiS, chcąc zwiększyć szansę na trzecią kadencję, musi wymienić szefa rządu? Nowy Ład postrzegam jako strategię obliczoną na tchnięcie nadziei, próbę opowiedzenia Polakom jeszcze w trakcie pandemii, jak to będzie po pandemii.

Jaki wizerunek szefa rządu wyłania się dziś z badań?

W twardym elektoracie PiS widać mocną wiarę w to, że Morawiecki jest najlepszym premierem i pod żadnym pozorem nie wolno go wymienić. Na dziś nie ma on konkurencji w PiS na stanowisku szefa rządu. Jest obecnie elementem takiej małej stabilizacji. Ewentualna zmiana premiera przyniosłaby teraz marny skutek dla PiS. Wyborcy by tego nie zrozumieli.

Czym Morawiecki zastąpił sobie na takie poparcie?

Wciąż ma atrybuty „gościa, który się zna”, „naszego” technokrata, który poprzez swoje umiejętności daje nadzieję, że przeprowadzi nas przez pandemię. Choć także i on zużywa się jako lider. Na pewno ciąży mu deklaracja, która urosła do rągi symbolu, że „tej pandemii już nie trzeba się bać, jest w odwrocie”.

Co wyborcy myślą o konfliktach wewnątrz Zjednoczonej Prawicy, ostatnio zwłaszcza w Porozumieniu?

Nie wiem, na ile wśród wyborców istnieje spójny wizerunek Porozumienia, takie badania jeszcze przed nami. Natomiast obserwowaliśmy wizerunek Zbigniewa Ziobry. I wychodzi na to, że to nie jest polityk, który jest w sta-

nie pociągnąć za sobą wyborców Zjednoczonej Prawicy.

Może dlatego, że dopiero wybija się na niepodległość? Tyle że wyborcy PiS postrzegają go jako kogoś, kto miesza i rozbija jedność obozu rządzącego. Jako wicherzyciela i psuja. To jego obwiniają za problemy w koalicji.

Niedługo minie rok od wykrucia pierwszego przypadku koronawirusa w Polsce. PiS zaczęło jednak spadać poparcie w sondażach sprawie aborcji. Dlaczego? Spójrzmy, w jakim momencie wybuchła sprawa aborcji. Wyrok TK zapadł pod koniec października, a więc zbiegł się z narastaniem drugiej fali koronawirusa i złością na to, że po wakacjach znowu mamy nawrót pandemii.

Krytyczne nastawienie dużej części społeczeństwa do roli, jaką odgrywa w życiu publicznym Kościół, też ma znaczenie?

To, że Kościół słabnie w Polsce, nie jest niczym nowym – wynika z pogłębiającej się sekularyzacji społeczeństwa. Niechęć do PiS przelewa się na Kościół z uwagi na bliskość partii rządzącej i katolickich hierarchów. Co działa też w drugą stronę. Chociaż zdarzyło mi się podczas badań słuchać ludzi, którzy byli ewidentnie złaicyzowani i mówili o głosowaniu na PiS z powodów transakcyjnych. W ich przypadku kwestia Kościoła schodziła na drugi plan – nie głosowali na Zjednoczoną Prawicę z powodów ideologicznych, lecz opowiadali się za określonymi rozwiązaniami gospodarczo-socjalnymi, które proponowała.

Kto może skorzystać na ewentualnym zwrocie społeczeństwa w lewo, jeśli uznamy, że dzisiejsza lewicowość nie musi oznaczać tego, co kiedyś?

W mojej ocenie beneficjentów jest troje: Szymon Hołownia, Koalicja Obywatelska, która próbuje surfować na tej fali, i Lewica. Tylko w przypadku tej ostatniej



Z jednej strony mamy pokolenie milenialsów, które ceni sobie bezpieczeństwo, stabilizację i uważa śmieciówki za najgorszą rzecz na świecie. Z drugiej strony mamy pokolenie Z, czyli osoby w wieku od 18 lat do dwudziestokilkuletnich. One uważają, że śmieciówki nie są takie złe, bo dają swobodę i mobilność na rynku pracy

nie jest tak, że zobaczymy skok notowań powyżej 20 proc. Chodzi o przewyciężenie kryzysu, jaki nastąpił po wyborach prezydenckich, kiedy wyniki sondażowe Lewicy spadły nawet do 5 proc. Teraz wróciły do poziomu z wyborów parlamentarnych i mogą lekko wzrosnąć. Natomiast stosunek do aborcji stał się wyznacznikiem tego, czy jesteś za PiS czy przeciwko. Jak jesteś po stronie opozycyjnej, to nie wypada być za zaostrzeniem przepisów, nawet popieranie wcześniejszego kompromisu wydaje się podejrzane.

Z pana badań wynika, że najwięcej wyborców identyfikuje się z centrum. Czy nie widać tam pola dla dużej formacji?

Nie widać, bo centrum jest rozbitane przez różne partie. Widzimy raczej sukces innej taktyki: budowanie ugrupowania opartego o lewą albo prawą flankę i następnie ubieganie się o elektorat centrowy. Na tym polegała strategia PiS-u. Partia zwróciła się mocno na prawo, utwardzała swój elektorat, a w trakcie kampanii – i w 2015 r., i w 2019 r. – ruszała na łowy w centrum. Po lewej stronie taka taktyka jest trudniejsza, ponieważ lewica nie dała się ani pokonać, ani zmarginalizować stronie liberalnej. Co więcej, mimo że najliczniejsza grupa wyborców określa się jako centrowi, trudno znaleźć ofertę, która ich pogodzi. Bo z jednej strony są wyborcy centrolewicowi, z drugiej centroprawicowi. Do pewnego stopnia, chociaż na chwilę, udało się ich połączyć Hołowni.

A co sądzi pan o strategii budowy ugrupowania przez Hołownię, który postawił na długi marsz, a nie zdyskontowanie początkowej popularności na krótko przed wyborami?

Najlepiej można byłoby opisać jego ofertę jako nowoczesny konserwatyzm. Bezpieczne, tradycyjne wartości w aspiracyjnym, nowoczesnym opakowaniu.

Czy PiS może podzielić los, który spotkał na początku tego wieku SLD?

Lewica się wtedy rozsypała, a w przypadku PiS nic na to nie wskazuje. Na skutek dezintegracji SLD Platforma i PiS powiedziały wtedy: my sobie ustalimy pole gry. Teraz nie widać, kto miałby się do nich dzielić, tym bardziej że PO i Hołownia odwołują się do tych samych wyborców. A nie ma nikogo innego, kto mógłby zabiegać o elektorat Zjednoczonej Prawicy. Przecież Hołownia tego nie zrobi. Dziś z badań z udziałem wyborców wszystkich ugrupowań wynika, że – bez względu na partyjne sympatie – Jarosław Kaczyński jest uważany za najsilniejszą postać na scenie politycznej i po drugiej stronie nie ma dla niego odpowiednika. Kiedyś był nim Donald Tusk, ale on wyemigrował.

A Rafał Trzaskowski?

Ma potencjał nowego, młodego Tuska – na to wskazuje analiza jego wizerunku emocjonalnego. Ale on i Kaczyński należą do różnych światów, które na siebie nie zachodzą. ©

Rząd Mateusza Morawieckiego ewidentnie nie ma większości w Sejmie. Potrafi obronić się przed konstruktywnym wotum nieufności, ale nie jest w stanie skupić się wokół agendy łączącej ugrupowania Zjednoczonej Prawicy. Spotkanie liderów trzech partii raczej potęguje, niż łagodzi to wrażenie.

Rząd bez większości

Prezes PiS Jarosław Kaczyński, wybierając taktykę grillowania koalicjantów, tylko przyspiesza procesy rozpadu obozu. To zabawne, ale przy okazji odwołania wiceministra z Solidarnej Polski Janusza Kowalskiego, jak i podtrzymania trzech wiceministrów z Porozumienia, których odejścia chciał Jarosław Gowin, przypomniano nagle zasadę, że za politykę personalną w rządzie odpowiada premier. Choć przy okazji rekonstrukcji nie ukrywano, że skład gabinetu mebluje mu Kaczyński.

Każdy z tych konfliktów ma inną logikę. Zbigniewowi Ziobrze wybaczano do tej pory więcej – dymisja Kowalskiego nastąpiła po wielu miesiącach szarpania tygrysa, Kaczyńskiego, za wąsy. To zrozumiałe, ten obóz ma większą tolerancję dla radykalizmu, który jest po prostu parodią poglądów i inicjatyw samego prezesa PiS. Solidarna Polska wciąż wydaje się zresztą mniej groźna. Unijny fundusz odbudowy da się przegłosować w Sejmie bez niej – głosami części opozycji. Choć gdy przypomnimy sobie zablokowanie z woli Ziobry projektu „amnestionowania” urzędników oskarżonych o bezprawne działania w trakcie pandemii, widać, że o pełnym bezpieczeństwie trudno mówić. A już premier Morawiecki musi się stale obawiać ciosu w plecy ze strony tego koalicjanta.

Co do Jarosława Gowina – jego winą jest oponowanie z pozycji mniejszej partyności i przyznawania – do pewnego stopnia – racji opozycji. Można się zastanawiać, dlaczego Kaczyński zgodził się na atak Adama Bielan na Gowina w momencie, kiedy rząd zaczął forsować wysoce kontrowersyjny podatek medialny. Czy naprawdę prezes uwierzył, że uda się przejąć Porozumienie z niemal wszystkimi posłami? Czy też chodzi mu bardziej o hałas, gonienie króliczka, może o satysfakcję raczej niż o osiągnięcie realnych celów?

W każdym razie rozdźwięk z Gowinem podważa sensowność zgłaszania przez PiS projektów twardych, inicjatyw „odgórnej rewolucji” – czy dotyczy to mediów, sądów, czy innych sfer. Takie raczej nie przejdą. Pewien polityk związany z frakcją Bielan przekonywał wprawdzie, że dla podatku medialnego da się uciąć głosy bez 13 posłów Gowina, a większość z posłów postawiona przed wyborem: szybkie wybory albo posłuszeństwo, wybrałaby to drugie. Ale bez ludzi Gowina większość się nie składa, a ta alternatywa jest pozorna. Trudno sobie wyobrazić gorszy moment dla rządzących na nowe wybory niż teraz, przy przedłużaniu się pandemii i wyraźnej bezradności rządu w walce z nią.

Wypada podkreślić jeszcze jedno – pomysł podatku medialnego wywołał radość pisowskich jastrzębi, jak Ryszard Terlecki. Ale to nie „twardogłowi” go wymyślili, a ludzie z otoczenia Morawieckiego. Premier zaryzykował uderzenie w Polsat, telewizję, która pokazywała go, kiedy – zwłaszcza podczas kampanii parlamentarnej 2019 r. – wycinała go TVP Jacka Kurskiego. Najwyraźniej licytacja na radykalizmy jest istotą wewnętrznej polityki w PiS. Dodajmy: na radykalizmy coraz bardziej nieskuteczne.

Możliwe, że lubiący uchodzić za pragmatyka premier traktuje swój twardy kurs jako dodatkowe zabezpieczenie. Metoda zwalczania pandemii nie stała się w zasadzie przedmiotem sporu w Zjednoczonej Prawicy, pomijając kilka liberalnych gestów Gowina wobec tracących przedsiębiorców. A jednak spekulowano, że kiedy niezadowolone społeczne będzie rosło, Morawiecki może stać się kozłem ofiarnym. Teraz szef rządu staje się nie tylko twarzą ogłaszanego ślamazarnie scenariusza odbudowy, Nowego Ładu, lecz także kimś, kto walczył bohatercko z medialnymi oligarchami.

Ale walczył tak, aby nie wygrać – już ogłoszono, że projekt jest zaledwie „preprojektem” poddanym „prekonsultacjom”.

Pandemia i arogancja

Trzeba jednak odnotować, że premier popełnia w walce z pandemią coraz więcej błędów. Że jego otoczenie coraz bardziej zawodzi słuch społeczny. Trudno go było w pierwszych miesiącach nie bronić. Jego ekipa miotła się i wikłała w sprzecznościach – ale wraz z całą Europą, z innymi rządami nieznanymi prawdą o wirusie i jego konsekwencjach. Do pewnego stopnia tak jest nadal. Chaotyczne lockdowny, wprowadzanie obostrzeń i wycofywanie się z nich to specjalność wielu państw, i to tych dysponujących najbardziej doświadczonymi administracjami. Trudności z dostarczaniem szczepionki to, wbrew demagogii polskiej opozycji, zjawisko ogólnoeuropejskie. Tarcze, choć dziurawe, zapobiegają na razie masowemu bezrobociu.

Ale też większość Polaków coraz wyraźniej kwestionuje w sondażach obostrzenia. Po raz pierwszy nie tylko Konfederacja, lecz także liberalna i lewicowa opozycja stanęły po stronie takich postaw. Te nastroje zmieniają się nie tylko z powodu naturalnego zmęczenia restrykcjami, ale też z racji drażniącego tonu rządowych oficjeli. Którzy cofając niektóre restrykcje, dziwią się potem, że Polacy korzystają z poluzowań, że stawiają się na narciarskich stokach czy w hotelach. Epizody, jak szaleństwo grupki turystów na zakopiańskich Krupówkach, stają się dla ministra zdrowia Adama Niedzielskiego punktem wyjścia do nieznośnych pouczeń w stylu kiepskich pedagogów. Prawo do korzystania ze sklepu czy z hotelu zmienia się w rodzicielską łaskę, którą obdarza się obywateli, ale po to, aby straszyć odebraniem przywileju.

Błędem premiera było, i do pewnego stopnia wciąż jest, wytworzenie atmosfery hurraoptymizmu w kwestii szczepień. Zapowiadano, że wszystko skończy się do wakacji, minister Michał Dworczyk opowiadał przed swoim zachorowaniem, że „jesteśmy na ostatniej prostej”. Może chodziło o zachęcenie do zaszczepiania się. Ale nie ma niczego gorszego niż zawiedziona nadzieja.

Gołym okiem widać, że wszystko potrwa znacznie dłużej. Możliwe, że prognozy zapowiadające „trzecią falę” są prawdziwe, chociaż samo pojęcie też zostało zdeprecjonowane powtarzającymi się anonsami, że



PIOTR ZAREMBA

publicysta

Władza, trwanie, cel

„już, już nadchodzi”. Dywagacje premiera i ministrów o liczbowych warunkach wystarczających do tego, aby luzować, się zmieniały. Choć przyznajmy: cofnięcie się przed przywracaniem restrykcji już w tym tygodniu.

Zarazem, jeśli rząd serio traktuje twarde, lockdownowy kurs, to dlaczego nie zadbał o ustawowe umocowanie restrykcji? Już w ponad 60 sprawach sądy uwolniły świadczących usługi od kar sanepidu. Ta luka to ciche przyzwolenie, aby prawo szło swoim torem, a życie swoim? Nieporadność? Obstawiałbym to drugie. Jest to zarazem zła lekcja. Tracą ci, którzy stosują się do dziurawych, nieprawomocnych przepisów. Wygrywają bardziej asertywni.

Nie da się napisać precyzyjnego scenariusza, ale nie wykluczam niczego, także nasilających się antyrestrykcyjnych wstrząsów – w drugiej połowie roku. W takiej sytuacji słaby rząd, niemogący liczyć na lojalność większości, z premierem niemającym jednoznacznego poparcia we własnym obozie, będzie sobie radził gorzej. Szef rządu otoczony ludźmi pozbawionymi społecznego słuchu – tym bardziej.

Aborcja, nacjonałści i...

Nie ulega wątpliwości, że druga kadencja Zjednoczonej Prawicy przyniosła więcej dowodów tej utraty słuchu. Przykładem jest werdykt Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji. Można go bronić racjami merytorycznymi – jeśli uznać chory płód za odrębną ludzką istotę, trudno mu odmówić ochrony prawnej. Ale też można uznać, że dotychczasowy kompromis był bezpieczniejszy z punktu widzenia społecznej atmosfery. Odwlekał konflikt. Pozwalał uniknąć otwarcie wykrzykiwanego hasła, że „aborcja jest OK”.

Niezależnie od tych sprzeczności rządzący nie mieli świadomości społecznych konsekwencji tego orzeczenia – a przecież TK nie wydał go w politycznej próżni. „Popierałem pójście w kierunku zakazu aborcji eugenicznej, ale pojęcia nie miałem, że to

wywoła taki wybuch” – zwierzał mi się ważny polityk PiS. Dziś jest to kolejne narzędzie polaryzacji – nieprzypadkowo Platforma Obywatelska staje na pozycji „aborcji na życzenie”. To wynika nie tyle ze zmiany poglądów, co z badań nastrojów.

Można kontrargumentować, że polaryzacja na tym tle jest przeceniana, że PiS ma wciąż najwięcej głosów w sondażach, a nastroje młodzieży nie liczą się aż tak bardzo, bo młodych wyborców jest mniej – choćby z powodu niżu demograficznego. Można nawet zauważyć, że światopoglądowa radykalizacja programu PO integruje pękającą Zjednoczoną Prawicę. Trudniej jest myśleć Gowinowi o zmianie sojuszy, kiedy potencjalnymi partnerami są zwolennicy Strajku Kobiet. Ale w dłuższej perspektywie czas nie będzie raczej pracował na rzecz prawicy. A można było tę konfrontację przynajmniej odwlec.

Innego typu straty przyniosła sprawa mianowania i odwołania z funkcji szefa wrocławskiego oddziału IPN Tomasza Greniucha, hajlującego działacza ONR. Tu straty wyborcze są mniej oczywiste. Za to straty polityczne – ogromne, zwłaszcza w wymiarze międzynarodowym.

Kierownictwo IPN popełniło błąd, także moralny. Nie oddaje się kawałka polityki historycznej w ręce człowieka wykonującego, nawet kiedyś, faszystowskie gesty. Który nie całkiem odciął się od tej swojej przeszłości. Ale w obliczu sporów, choćby tego sądowego wokół publikacji „Dalej jest noc”, to więcej niż błąd. To zbrodnia – odwracając maksymę biskupa Talleyranda.

Na Zachodzie panuje przekonanie, że polskie sterowane przez władzę sądy karzą badaczy za podnoszenie tematu krzywd Żydów ze strony Polaków podczas II wojny. To nie tak – proces z autorami „Dalej jest noc” był cywilny, a nie karny, każdy ma prawo bronić dobrego imienia swojej rodziny, a prof. Jan Grabowski występuje chętnie nie tyle jako badacz, ile jako prokurator. Ale jeśli potrzeba było dowodu na przemianę Polski w ducha radykalnie pravicowym, to zdęcia hajlującego Greniucha spełniły tę rolę.

Obecne kierownictwo IPN zostało wyłonione przez PiS. Od kilku tygodni wiadomo było o tej nominacji. Czy nie należało użyć wpływów natychmiast? Tymczasem pozwolono, aby twarzą w tej dyskusji stał się wicemarszałek Terlecki, wyznawca tezy: „Słuchać wycie? Znakomicie!” – wystarczyło, że Kaczyński uważa go za wyrocznię w sprawie IPN. Pomawiana o to, że jest centralistyczną machiną, Zjednoczona Prawica okazuje się w takich chwilach tworem bezwładnym albo reagującym przypadkowymi odruchami. Pamiętajmy, także i w tej sprawie ekstremizm pravicowy jest tam odbierany jako grzech najmniejszy.

Nowe kłopoty

Nadzieją dla PiS jest przywołany już Nowy Ład. Nie wiem, czy jeszcze przez wiele miesięcy będzie on w stanie konkurować rozgłosem z samą pandemią. Ale bez wątplenia paraliżowany z dwóch stron, przez frondę pravicową (Ziobro) i liberalną (Gowin), rząd będzie się starał wywołać wrażenie, że w sprawie społeczno-ekonomicznej odbudowy kraju ma program ambitny i rozległy.

Opozycja powtarza, że to tylko zapowiedzi, jak w przypadku dawniejszych inwestycyjnych obietnic Morawieckiego. Nie całkiem tak jest, potężne unijne pieniądze muszą być podjęte; zresztą wiele punktów programu jest sztywnych, podyktowanych przez samą Brukselę, choćby wydatki na zieloną energetykę czy na cyfryzację kraju. To zresztą jest już powodem kontrowersji wewnątrz obozu rządzącego, np. Solidarna Polska opiera się ekologiczno-energetycznemu segmentowi tego programu. Stąd zwłoka w jego ogłoszeniu.

Można się cieszyć, że w ciągu sześciu lat obiecuje się nam podniesienie składki zdrowotnej do 6-7 proc. PKB. Służba zdrowia czy edukacja to polskie pięty achillesowe. Zarazem są punkty, gdzie rząd reaguje biurokratyczną rutyną. Receptą na zmniejszającą się dzietność mają być nie tyle kolejne ułatwienia dla matek czy rodzin, ile Instytut Demografii i Rodziny oferujący Polakom pronatalistyczną propagandę.

To magiczne myślenie. Chociaż nie lekceważyłbym całego tego pakietu. PiS nieraz uciekał spod noża, pokazując może nieliczne, może obciążone różnymi kosztami, ale jednak osiągnięcia (sprawniejszy system fiskalny, socjalne transfery).

Wobec wieloletniej natury programu odbudowy kluczem do przetrwania w roli hegemonia sceny politycznej będzie jednak radzenie sobie rządu z pandemią i umiejętność rozwiązania sprzeczności we własnym obozie przez coraz starszego i bardziej despotycznego Kaczyńskiego. Przypomnę, że w tej kadencji poza technicznymi ustawami związanymi z kryzysem nie przeforsował on w zasadzie niczego istotnego. Padła i progresywna piątka dla zwierząt, i nie przejdzie – raczej – pravicowo-rewolucyjny podatek mający zmienić geografę mediów. Trwanie przy władzy staje się celem samym w sobie. Coraz trudniej to ukryć. ©

Więdnienie czy walka

OPINIA

Jeszcze żaden z konserwatystów rozważonych na PO po jej stanowisku w sprawie aborcji nie opuścił partii, którą nieraz współzakładał ponad 20 lat temu, a mamy branżową dyskusję o tym, gdzie wymyśleni uciekinierzy dołączą. Do Zjednoczonej Prawicy? Do PiS? Do Gowina (który w sumie jest i nie jest zjednoczony)? Do PSL? A może do Hołowni?

Nie sposób sformułować powodu, dla którego bohaterowie „konserwatywnego buntu” mieliby opuścić swoje ugrupowanie. Nie pociągną za sobą elektoratu, nie mają liderów. Nie jest też jasne, dlaczego mieliby nagle zyskać wiarygodność jako ludzie z zasadami. Bardzo długo przecież współtworzyli partię, w której wszelkie zasady zostały zastąpione przez Pierwszą Zasadę: nie filozofujemy, tylko walczymy z PiS.

Taktyczne i osobiste dylematy konserwatystów mogą ciekawić, jednak o wiele ważniejsze wydaje się uświadomienie sobie, na co właściwie patrzymy: na ostatnie „sieroty po POPiS-ie”. Nie na „sieroty po PO”.

**** konsensus

W latach 2004–2005 większość klasy politycznej i więcej niż połowa elektoratu dałaby się opisać wspólnymi etykietkami: Unia Europejska, dyscyplina finansowa, reformy rynkowe, tradycja narodowa, porozumienie z Kościołem czy kompromis aborcyjny. Partia Jarosława Kaczyńskiego traktowała ruchy radykalnie narodowe albo radykalnie katolickie

z wyższością, jaką okazuje się młodszemu rodzeństwu. Między PO a PiS mieliśmy przepływy myśli i ludzi – nie tak dawno Roman Giertych przypomniał w „Newsweeku”, że w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza byli Stefan Meller, Zyta Gilowska, Radosław Sikorski i Ludwik Dorn. Debata prezydencka Lecha Kaczyńskiego i Donalda Tuska w 2005 r. przypominała pogawędkę w klubie dżentelmenów; co ciekawe, obaj odcinali się od „Gazety Wyborczej”, a ona była obu mało przychylna.

Co tam jednak dwie zaprzyjaźnione (!) partie. Gdybyśmy zajrzeli do gabinetu SLD, to zobaczylibyśmy: reformy, UE, Polska, Kościół. Kierownictwo postkomunistycznej lewicy w 1997 r. z wrogością przyjęło wyrok Trybunału Konstytucyjnego, który zablokował proaborcyjną nowelizację ustawy o ochronie życia. Uzasadnienie TK kierowanego przez Andrzeja Zolla leżało dokładnie w poprzek wartości bronionych przez Sojusz, zarazem jednak odsunęło wizję ciężkiej ideologicznej wojny. W tymże 1997 r. lewica przegrała wybory właściwie przez przypadek, ale już kilka lat później była u władzy. I narzekania na TK się skończyły. Liderzy SLD nie ukrywali ulgi, że aborcję mają z głowy – rozkładali teatralnie ręce, podkreślając, że nic nie mogą, bo cholerny trybunał wszystko zablokował. I zajęli się tym, co przyniosło im zdjęcia w podręcznikach historii: wprowadzeniem III RP do UE; stąd sławne „Unia warta była mszy” Leszka Millera i dobre relacje prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego z Episkopatem.

O ideowości ówczesnego PSL nawet nie ma co się rozpisywać, wszystkie etykiety były dla niego OK, byle kółka rolnicze miały dotacje, a rolnicy subwencje (bądź odwrotnie).

Ten, dla Polaka Anno Domini 2021, niewiarygodny świat, w którym gorące wojny partyjne osobiste i o symbole biegały po piętrach, zaś w fundamentach królowały polityczny konsensus, zniknął, zniknął – i znikł. Ostatni, którzy go symbolizują, to raczej konserwatywni posłowie trochę liberalnej PO. „Posłowie pokroju Rasia i Zalewskiego muszą pogodzić się z faktem, że w 2021 r. nie można być konserwatywnym liberałem, jak to sobie PO wymarzyła w 2001 r. Na wzmocnienie formuły konserwatywnej wewnątrz PO nie ma pozwolenia, a na kolejne ugrupowanie «liberalno-konserwatywne» nie ma w Polsce miejsca. Ktoś, kto jest «konserwatywnym liberałem», musi teraz zostać albo w pełni konserwatystą, albo stać się w pełni liberalny” – oceniał w gazecie „Super Express” prof. Rafał Chwedoruk. Trafnie, bo nadszedł czas samookreślenia. Ale i nietrafnie – w tym znaczeniu, że nie istnieją te obozy „w pełni konserwatywny” czy „w pełni liberalny”.

Fikcje obozu liberalnego

W swoim pierwszym exposé w 2007 r. Donald Tusk mocno jeszcze akcentował ideę wolności indywidualnej – i zakończył dziarskim „Wolni ludzie, tworzyć czas!” Cypriana Kamila Norwida. Potem przyszedł kryzys 2008 r. i po ugaszeniu pożaru „obóz liberalny” został przez Tuska surowo pouczony – wizjonerstwo jest dla chorych, zaś zdrowi pracują nad pragmatycznym rozwiązywaniem problemów, rzucając od czasu do czasu elektoratowi emocjonującą wypowiedź w dowolnej sprawie. Odchodząc, Tusk postawił na czele rządu i partii Ewę Kopacz, archetyp postawy „a co wy mi tu o jakichś wizjach gadacie, trzeba solidnie pracować, ot co”.

Po Kopacz władzę nad partią przejął Grzegorz Schetyna. Jesienią 2020 r. starałem się docisnąć byłego już przewodniczącego PO o zasady ideowe partii. Czy lekcje religii mają być finansowane z budżetu państwa? Odpowiedź: to właśnie musimy przedyskutować z partnerami, z którymi chcemy budować koalicję przeciwko PiS. Innymi słowy – najważniejsze to wspólnie wygrać z PiS, reszta – potem się zobaczy. W tym sensie Schetyna, nawiasem mówiąc, przez długi czas wzorowy liberalny konserwatysta, był nieodrodnym dziedzicem Tuska.

Pragmatyczne? Pozornie tak, bo łatwiej układać się stronom niemającym silnych przekonań. W istocie Schetyna powielał model z lat powszechnego konsensusu. Zgoda co do bardzo ogólnych zasad – trochę kapitalizmu, trochę katolicyzmu oraz co nieco narodu z Europą na czele, słuchajcie, przecież tak naprawdę kogo takie spory obchodzą – i hajda na PiS. Hajda na partię, która wylamuje się z powszechnej zgody.

Dodajmy uczciwie, że w takiej atmosferze konserwatysty z PO czuli się jak ryba w wodzie. Nikt ich nie drażnił, oni też nikogo nie drażnili. Kompromis aborcyjny, kompromis kapitalistyczny, kompromis genderowy, kompromis sądowy (w znaczeniu – a może by jednak reformować sądownictwo, a nie tylko „bronić przed dyktaturą PiS”?). Tak, można by się o to kłócić, tylko po co? Dwa tygodnie po mojej rozmowie ze Schetyną wyrok TK wysadził w kosmos całą ideologię „u nas ecie-pecie, byle być na

JAN WRÓBEL
publicysta



**NIE MA INNEJ DROGI
DLA KONSERWATYZMU NIŻ
FORMUŁOWANIE WIZJI POLSKI
– KRAJU WSPIERAJĄCEGO
ZARÓWNO HETEROSEKSUALISTÓW,
JAK I HOMOSEKSUALISTÓW,
RODZICÓW PRAGNĄCYCH
TRADYCYJNEGO WYCHOWANIA
DZIECI I TYCH PROGRESYWNYCH.
POLSKA KONSERWATYWNA
TO POLSKA WSPÓLNEJ
PRZESTRZENI**

wojnie z PiS”. Nagle okazało się, że kto w odpowiedzi na niewygodne i budzące kontrowersje tematy ma odpowiedzieć: „to problem, o którym trzeba rozmawiać”, jest dinozaurem. Ruch wywołany przez Strajk Kobiet pokazał atrakcyjność formuły rewolucji obyczajowej. Wojna z PiS jest tylko fragmentem rewolucji.

Koalicja Obywatelska, podobnie zresztą jak PSL i ruch Hołowni, nie mają symetrycznej odpowiedzi dla tych, którzy chcą walczyć z PiS i nawet popierają Strajk Kobiet, ale z feminizmu biorą tylko ogólne wskazania co do poprawy losu kobiet, a z idei gender tylko przesłanie, że nie ma co sztucznie rozdymać różnic między mężczyznami a kobietami. Dalej nie pójdą. Chcą niezawisłych sądów i zaorania TVP, cieszą się, że aktyw feministyczny gotów orać neo-KRS i TVP Info. Lecz chcą też, aby chłopcy wychowywani byli raczej na chłopców niż na osoby z penis(ki)em i aby rodzina przedstawiana była jako pożądany model relacji męsko-damskiej, a matka i ojca nie nazywać w dokumentach „rodzic A” i „rodzic B”. Nie chcą, aby zamiast wykładowczyń i uczniów były „osoby nauczające” i „osoby nauczone”. I na pewno nie chcą, aby łamanie reguł gender nadpoprawności powodowało stygmatyzację w internecie.

Kolibry (jak jeszcze w latach 80. nazywało się konserwatywnych liberałów) tak samo są dzisiaj spóźnieni w sporze z wojowniczym feminizmem, jak reszta PO. Nie wykazywali przez lata nawet tej

autonomii przekazu, jaką prezentuje skromne ugrupowanie Barbary Nowackiej – sojusznik PO w ramach parlamentarnego klubu Koalicja Obywatelska. Zawsze można powiedzieć, że peowską pravicę powstrzymywała pragmatyczna ocena sytuacji – nie można zaangażować sporów w koalicji (ciekawe, że Inicjatywie Polskiej nie przeszkadza afiliacja koalicyjna w wyrazistym formułowaniu przekazu). W istocie jednak zdecydowała, owszem, pragmatyka, tyle że środowiskowa – coś możemy zyskać na stawianiu się, skoro dzięki ideowej płyciznie całej PO mamy w tej partii tak dobrze?

Rezultaty tej postawy przyszedł teraz. PO mało wiarygodnie zmienia kurs w sprawie aborcji, konserwatysty spóźnieni i mało wiarygodnie przypominają o sobie dopiero w reakcji na posunięcia większości. Dialog, ale i spór z (umownie mówiąc) rewolucją feministyczną był takim samym obowiązkiem kolibrów, jak spór ze Zjednoczoną Prawicą. Bo jeśli nie żyją tym sporem, to po co w ogóle są?

Fiksacje obozu konserwatywnego

Obóz drugi, „w pełni konserwatywny”, został już zmiażdżony przez PiS, który z konserwatyzmem ma niezwykle mały zbiór wspólny. Nie chodzi mi o żonglowanie podręcznikowymi definicjami, po prostu partia stawiająca znak równości między dobrym działaniem państwa a kontrolą państwa przez partię, koło konserwatyzmu nawet nie stała. Dawny TK bardzo konserwatywnie bronił „życia poczętego” i na prawdziwą walkę z nim nikt się nie powazył. Dzisiejszy trybunał jest gruchotem pozbawionym moralnego znaczenia – dzięki działaniom PiS. Niejedyny to przykład świadomego wypłukiwania bezstronności z instytucji państwa. Gdzie nie spojrzeć oko Saurona, tam to, co publiczne, staje się partyjne, tyle że albo po awanturze, albo po cichu.

Istnieją pisowscy konserwatysty. Reprezentanci tego nurtu przyznają, że „pewne elementy” działań partii są błędne, ale zaraz po smutnym westchnięciu rejterują z drogi wiodącej do krytyki partii Kaczyńskiego. Jak? W sprawdzony sposób: mówić o innych, demonizować i dehumanizować przeciwnika, tłumaczyć (kłamać), że „jest wojna cywilizacji”, odsuwać autorefleksję, wyszukiwać wszelkie podłości w działaniach wrogów, aby usprawiedliwić podłość władzy. Zjednoczona Prawica zniszczyła w Polsce wspólną przestrzeń, pisowscy konserwatysty przyczyniają odpowiedzialność za zniszczenia na publicystów i działaczy opozycji. Współtworzą z Jarosławem Kaczyńskim wymyśloną rzeczywistość – PiS pomagając, ale topiąc konserwatyzm. Kolibry wykazały się brakiem odwagi pod parasolem PO, „piskonsy” zrobili to samo pod parasolem PiS – tylko w ich przypadku wygląda to znacznie brzydziej.

Wciąż w cudzym wazonie?

Kluczem zmian ostatnich lat nie jest idea konserwatywna, lecz idea zarządzania policją, szkołą, mediami, gospodarką przez prezesa partii (jak ten niemłody człowiek daje sobie radę z tym wszystkim, to naprawdę zagadka). Kolibry z PO nie dlatego nie są w PiS, że spóźnili się na pociąg. Po prostu z przerażeniem patrzą na fatalne w konsekwencjach antypaństwowe i nieodpowiedzialne harce partii Kaczyńskiego. Im nie wystarczy formuła „głosowania za, ale bez przyjemności”. Chcieli – i chcą – głosować przeciwko. Krótko mówiąc, kolibra dużo więcej odpycha od konserwatystów w Zjednoczonej Prawicy niż od własnej PO.

Plan polityczny to tylko część obrazu. Istotnym rysem zmian ostatnich miesięcy jest łatwo zauważalna zmiana języka dużej części opozycji. To język walki z konserwą, Kościołem, męską dominacją i pravicą wskazywaną jako otulina dla faszyzmu i patriarchy. Zbliżeni do PiS konserwatysty próbują widzieć problem w ofensywie genderowo-feministycznej. Niestety, jest inaczej. Problemem podstawowym jest jałowość reakcji Kościoła i prawicy na nową, trudną sytuację. Nie ma innej drogi dla konserwatyzmu niż formułowanie wizji Polski – kraju wspierającego zarówno heteroseksualistów, jak i homoseksualistów, zarówno rodziców pragnących tradycyjnego wychowania dzieci, jak i tych progresywnych. Polska konserwatywna to Polska wspólnej przestrzeni.

Właśnie tej przestrzeni, którą zwalczają pisowscy, aktywni progresywni, nie mała część hierarchów Kościoła oraz liczni fanatycy antypisu. Kolibry o tę wspólną przestrzeń nie umieli walczyć, zbudzili się więc z ręką w nocniku. Wybór, który przed nimi stoi dzisiaj, to jednak nie jest wybór, gdzie się rozpuścić – w Polsce liberalnej, czy też w Polsce pisowskiej, lecz: więdniemy dalej w cudzym wazonie czy walczyliśmy ze wszystkimi wrogami wspólnej przestrzeni. ©

Nieuchwytna tożsamość

OPINIA

W polskiej debacie publicznej przy różnych okazjach – a to kolejnej kłótni w łonie koalicji rządzącej, a to sondażu dającego PiS samodzielną większość – powraca temat jednoczenia opozycji. Jedni zachęcają, drudzy odradzają, ale obie strony zgadzają się, że współpraca jest trudna, bo partie opozycyjne są tak różne. Moim zdaniem jest dokładnie odwrotnie – współpraca jest trudna, bo partie opozycyjne są tak do siebie podobne.

Wóz przed koniem

Nie jestem wielkim entuzjastą jednoczenia całej opozycji w jeden blok – od Koniecznego i Zandberga z Lewicy po Hołownię, Sawickiego i prawe skrzydło Koalicji Obywatelskiej. Po pierwsze, polityka to nie matematyka, a zatem wynik wyborczy takiej koalicji nie musi być wynikiem równym sumie poparcia dla poszczególnych ugrupowań. Po drugie, nawet jeśli niektóre sondaże wskazują dziś na sukces zjednoczonej opozycji – np. niedawne badanie Ipsos dla OKO.press dało jednolitej liście 57 proc. poparcia – to przecież taki twór nie istnieje. Ankietowani

odpowiadają, kierując się pewnym wyobrażeniem tego, jak skonsolidowany blok powinien ich zdaniem działać, a nie oceną tego, jak realnie działa.

To nie oznacza, że pomysł łączenia się

w większe całości jest z gruntu zły. Problem polega na tym, że zwolennicy tego podejścia stawiają wóz przed koniem, a rozwiązanie taktyczne myślą z budowaniem długofalowej strategii. Są jak te partie opozycyjne, które regularnie zgłaszają wobec tego czy innego ministra wotum nieufności, jakby tą zużytą zagrywką miały zmienić bieg krajowej polityki. Na co liczą? W teorii na dyskusję, która ujawni słabości danego ministra i rządów Zjednoczonej Prawicy w ogóle. W porządku, ale żeby dyskusja miała sens, trzeba mieć do zaproponowania alternatywę. A na to często sił nie starcza.

To samo można powiedzieć o debatach dotyczących zjednoczenia. Dziś część zwolenników takiego kroku narzeka, że problemem w realizacji ich politycznego marzenia są zbyt wyraziste tożsamości ideowe poszczególnych ugrupowań. A jest przeciwnie – problem dla uporządkowanej współpracy to właśnie brak tychże tożsamości. Kiedy partia ma w miarę solidne podstawy intelektualne i względnie jasny program, może podejmować negocjacje z innymi podmiotami bez strachu, że straci swój charakter. Wyborca może się dowiedzieć, jakie elementy programu partia odkłada na bok w imię realizacji większego dobra, jakim jest współpraca przeciwko szkodliwej władzy. Paradoksalnie, owa współpraca byłaby łatwiejsza, gdyby poszczególne formacje miały uchwytne „osobowości”. Gdy ich brakuje, tym, co w oczach wyborców odróżnia jedno ugrupowanie od konkurencji, staje się przede wszystkim partyjne logo. I dlatego schowanie go za sztyldem jakiejś koalicyjnej listy rodzi tak wielkie obawy części polityków. Opozycja jako blok złożony z odrębnych podmiotów, ale zgodny co do pewnej części wspólnej, może funkcjonować jako przekonujący byt polityczny. Opozycja „bez własności” po ewentualnym zjednoczeniu będzie przypominać kulę plasteliny uturlaną z różnych kolorów.

Wyborcy PO czy lewicy mogą zaakceptować, że ich najważniejszym taktycznym celem jest odsunięcie Zjednoczonej Prawicy od władzy. Ale pytanie „co dalej?” jest z nami już dziś. Co składa się na tę część wspólną, w oparciu o którą partie opozycyjne miałyby budować rzeczywistość po PiS? Zwłaszcza w warunkach nakładających się na siebie kryzysów.

Wielu komentatorów zwracało uwagę, jak PiS przyzwyczaja nas do nienormalności, jak konsekwentnie przesuwa granicę tego, co kiedyś było w polityce niedopuszczalne. Wystąpienia działaczy z ambony, oskarżenia o korupcję rzucane przez Jarosława Kaczyńskiego przy okazji mszy w rocznicę śmierci matki, transmisja tej uroczystości przez państwową telewizję, wypuszczanie nieumundurowanych policjantów z pałkami teleskopowymi w tłum pokojowych demonstrantów, całkowity zakaz aborcji, mianowanie nazisty (choćby „byłego”) na stanowisko dyrektora w IPN. Przykłady można mnożyć.

Nad destrukcyjnymi działaniami rządu w kraju unoszą się kryzysy jeszcze poważniejsze – klimatyczny (i związane z nim ruchy migracyjne), energetyczny czy najdotkliwiej odczuwany przez nas obecnie kryzys zdrowotny. Żaden z nich nie zniknie po odsunięciu PiS od władzy, po likwidacji TVP Info czy nawet naprawieniu sytuacji w Trybunale Konstytucyjnym. Nie znaczy to, że te postulaty są złe – ale z pewnością są niewystarczające. Jeśli rządy Zjednoczonej Prawicy przyzwyczajały nas do nienormalności, to obywatel powinien wiedzieć, jak będzie wyglądała nowa, lepsza normalność po PiS-ie.

Dwie drogi wyjścia z kryzysu

W czasach kryzysu, kiedy świat, który do tej pory wydawał się w miarę stabilny, zaczyna się chwiać w posadach, kiedy zmieniają się gospodarka, rynek pracy czy codzienne relacje społeczne, ludzie reagują z grubsza na dwa sposoby. Pierwszy, znany z historii, to słynna „ucieczka od wolności”, gotowość powierzenia władzy komuś, kto obiecuje „zaprowadzenie porządku” i „rządy silnej ręki”. W chwilach niepewności poszukiwanie punktu oparcia wydaje się naturalnym rozwiązaniem.

Problem w tym, że polityka silnej ręki nie tylko grozi utratą wolności, ale też nie daje żadnych gwarancji zapanowania nad zachodzącymi zmianami czy większego bezpieczeństwa. Rządy PiS są tego doskonałym przykładem – partia, która zdobyła najpełniejszą władzę w historii III RP, wciąż narzeka, że ktoś stoi jej na przeszkodzie w realizacji programu: a to

znów pojawi się redystrybucja, a przywileje starszych i najbogatszych zostaną zakwestionowane. Rozwiązania polityczne do tej pory uznawane za ekscentryczne, takie jak dochód gwarantowany czy podatki majątkowe, będą musiały znaleźć się w pakiecie”. To nie wycinek programu skrajnie lewicowej partii. To fragment opublikowanego kilka miesięcy temu artykułu zespołu redakcyjnego „Financial Timesa”, jednego z najbardziej prestiżowych dzienników świata, zdecydowanie bardziej kojarzonego z gospodarczym liberalizmem niż lewicą.

Zmiany, jakie czekają za rogiem, nie ominą Polski, zwłaszcza jeśli – jak przewidują choćby autorzy brytyjskiego tygodnika „The Economist” – pandemia i zagrożenie z nią związane nie będzie jednorazowym zdarzeniem, które pewnego dnia zniknie, ale zjawiskiem, z którym musimy nauczyć się żyć.

Złodzieje nadziei?

Część polityków w Europie, ale także nowa administracja w Stanach Zjednoczonych, przedstawia obecną pandemię jako tragiczną, ale w pewnym sensie „dogodną” okazję do przeprowadzenia z dawna odkładanych reform – w polityce społecznej, sektorze energetycznym, a nawet w polityce zagranicznej. Polskie partie opozycyjne wciąż zdają się tej możliwości nie dostrzegać. I to mimo że trzon ich wyborców to dzisiejsi 30- i 40-latkowie, a więc ludzie, na których w coraz większym stopniu będzie się opierało funkcjonowanie państwa. Jeśli partie opozycyjne będą miały odpowiedzi na pytanie „co dalej?”, a przynajmniej intelektualne podstawy do zaproponowania alternatywy, będzie im łatwiej: łatwiej przekonywać wyborców, łatwiej współpracować i łatwiej rządzić, kiedy już osiągną upragniony cel i odsuną PiS od władzy.

Ciekawe jest to, że opozycja na jakimś poziomie te potrzeby doskonale rozumie. Czemu, jak nie podbudowaniu nadziei i przedstawieniu swoich pomysłów na Polskę po PiS, mają służyć organizowane raz na jakiś czas konwencje i „nowe otwarcia”? Rzecz w tym, że hasła rzucane na partyjnych eventach, zamiast konsekwentnego powtarzania i dopracowywa-

ŁUKASZ
PAWŁOWSKI

publicysta*



Część polityków w Europie, ale także nowa administracja w Stanach Zjednoczonych, przedstawia obecną pandemię jako tragiczną, ale w pewnym sensie „dogodną” okazję do przeprowadzenia z dawna odkładanych reform – w polityce społecznej, sektorze energetycznym, a nawet w polityce zagranicznej. Polskie partie opozycyjne wciąż zdają się tej możliwości nie dostrzegać

sędziowie, a to nauczyciele, a to prywatne media, a to opozycja, a to inne tajemnicze, potężne siły. I obiecuje, że jeśli tylko dalibyśmy jej nieco więcej władzy – i przy okazji oddali nieco wolności – zaraz znajdziemy się w krainie szczęścia. Takie obietnice to ułuda. Nasz świat nigdy nie będzie „skończony” i wolny od konfliktów – może być jedynie lepszy lub gorszy. Dlatego w sytuacji potężnych kryzysów podmywających fundamenty dawnego porządku jedynym rozsądnym wyjściem jest nie poszukiwanie oparcia w przeszłości, lecz myślenie o tym, jaka ma być przyszłość.

„Radykalne reformy – odwrócenie dominujących kierunków polityki ostatnich czterech dekad – powinny zostać poddane pod rozwagę. Rządy będą zmuszone odgrywać bardziej aktywną rolę w gospodarce. Na usługi publiczne muszą spojrzeć bardziej jak na inwestycje niż obciążenia i szukać sposobu ograniczenia niepewności na rynkach pracy. Na agendzie

są szybko zapominane. Czy ze strachu przed reakcją wyborców, z lenistwa, czy zwykłego bałaganiarstwa – nie wiem, ale skutki są negatywne. „Platforma Obywatelska jest złodziejem nadziei” – napisali niedawno w OKO.press Agata Szczeniak i Piotr Pacewicz po konwencji PO, powołując się na osobę pracującą na zapleczu opozycji. To słuszna intuicja, choć ta ocena pasuje nie tylko do Platformy.

Amerykane mawiają, że „good policy is good politics”. Po polsku nie brzmi to tak zgrabnie, ale oznacza, że dobre pomysły programowe to dobry sposób na uprawianie polityki. To prawda. Zwłaszcza w czasach kryzysu. ©

*autor jest doktorem socjologii, doradcą politycznym i współtwórcą „Podkasty amerykańskiego”. Napisał książkę „Druga fala prywatyzacji. Niezamierzone skutki rządów PiS”. W latach 2013–2020 był sekretarzem redakcji, a obecnie jest członkiem redakcji tygodnika „Kultura Liberalna”

Od początku XXI w. deklarowane poglądy lewicowe wśród polskich młodych dorosłych były w odwrocie, z drobnymi przerwami, a historyczne dno zanotowały w 2015 r., czyli w momencie dojścia PiS do władzy, gdy deklarowało je zaledwie 10 proc. badanych. Prawicowe lub centrowe co trzeci. Od tamtego czasu sporo się jednak zmieniło. Od mniej więcej 2018 r. lewicowe sympatie najmłodszej grupy polskich wyborców zaczęły pięć się w górę. W grudniu 2020 r. zanotowały wręcz skok z ponad 15 do 30 proc. – jak podał CBOS, a wynik badania szybko zagościł w obficie komentujących go mediach.

W zaledwie pięć lat popularność deklarowanych idei lewicowych wśród młodych wzrosła więc trzykrotnie. Co więcej, przegoniła także sympatie dla idei prawicowych (ok. 27 proc.) i centrowych. Lewicowość stała się więc najpopularniejszą identyfikacją polityczną młodych Polek i Polaków. W III RP nigdy nie było jeszcze takiej sytuacji. W 1990 r. sympatie lewicowe też były bliskie 30 proc., lecz wtedy wśród młodych dominował centryzm.

Na pierwszy rzut oka to doskonała wiadomość dla polityków Lewicy. Najbliższe lata powinny być dla nich pasmem sukcesów, prawda? Niekoniecznie, i to z kilku względów. Na jeden z nich zwrócił uwagę Jakub Dymek („Lewica rządzi wśród młodych. Albo i nie”, DGP z 18 lutego), wskazując, że to przede wszystkim efekt polaryzacji, a nie większej świadomości lewicowego społeczeństwa. W ostatnich dwóch latach wzrosły też nieco sympatie prawicowe, za to dominujący przez lata centryzm jest obecnie na historycznie niskim poziomie. Spór ideowo-polityczny osiągnął po prostu tak wysoką

PIOTR WÓJCIK

publicysta



**POLSKIE SPOŁECZEŃSTWO
NIE STAJE SIĘ LEWICOWE.
ONO SIĘ LAICYZUJE
I LIBERALIZUJE,
A TO JEST RÓŻNICA**

Na lewo, czytaj: nie na prawo

temperaturę, że większość młodych odczuwa potrzebę opowiedzenia się po którejś ze stron. Rząd jest kojarzony z prawicą, a po wyroku TK de facto zakazującym aborcji w Polsce nastroje antyrządowe stają się coraz bardziej popularne, więc młodzi „zapisują się” (tylko mentalnie) do lewicy.

Prawa płaca minimalna

Deklaratywne określanie się jako „lewicowiec” w Polsce to najczęściej zwykła etykieta. Mówi ona o człowieku jedynie tyle, że nie lubi prawicy. Bez wątplenia wpłynęła na to głośna narracja, według której wszystko, co na lewo od PiS, jest lewicą (względnie „lewactwem”). Przez prawicowych publicystów cała opozycja bywa wrzucana do jednego, rzekomo lewicowego worka, więc jeśli wierzyć tej perspektywie, lewicowcami byłiby nawet Sławomir Nitras (były członek Unii Polityki Realnej) czy Michał Kamiński, który swego czasu odwiedził w więzieniu prawicowego dyktatora Augusto Pinocheta, a teraz paraduje w studiach telewizyjnych w masce z czerwoną błyskawicą. Oczywiście można zmienić poglądy (Kamiński po latach przyznał, że żałuje), ale nie wskazuje, byśmy w tych konkretnych przypadkach mieli do czynienia z prawdziwym „przejściem na lewicę”.

Czy więc ci młodzi, świeżo upieczeni „lewacy” z badania CBOS dzielają tradycyjne postulaty Lewicy jako partii czy lewicy jako ruchu społecznego? Otóż nie, a właściwie uznają je za głupie i szkodliwe. Na portalu Ciekaweliczby.pl opublikowano wiele badań przeprowadzonych w panelu Ariadna i prezentujących poglądy elektoratów polskich partii w kluczowych kwestiach gospodarczych. Jedną z nich było podniesienie pensji minimalnej. Otóż według 51 proc. wyborców partii Lewica jej wyraźny

wzrost może sprawić, że przedsiębiorcy zwolnią część pracowników (co jest klasycznym argumentem doktryny wolnorynkowej i nie znajduje pokrycia w rzeczywistości – a przynajmniej nie w Polsce w ostatnim czasie). Nawet w elektoracie Koalicji Obywatelskiej zwolenników tej odpowiedzi było nieco mniej (49 proc.), a wśród wyborców PiS 33 proc. Tradycyjny lewicowy argument za podniesieniem płacy minimalnej – że przedsiębiorcy będą musieli po prostu ograniczyć zyski – nie znajduje posłuchu wśród wyborców Lewicy. Zgodziło się z nim zaledwie 8 proc. z nich, co było najniższym wynikiem wśród elektoratów tych trzech partii. Najwyższy odsetek zgadzających się z tym – podkreślmy, rdzennie lewicowym – twierdzeniem zanotowano wśród wyborców... PiS (17 proc.).

Kto nie pracuje, niech nie je

Oczkiem w głowie ideowych lewicowców jest dbałość o system ubezpieczeń społecznych. Niestety akurat wyborcy Lewicy w Polsce najwyraźniej nie podzielają przekonania o jego wartości, gdyż w innym badaniu w panelu Ariadna aż 71 proc. z nich stwierdziło, że nie ufa polskiemu systemowi emerytalnemu. Co prawda to nieco mniej niż wśród wyborców KO (76 proc.), jednak znacznie więcej niż wśród wyborców PiS (47 proc.). Mógłby ktoś zauważyć, że lewicowcom po prostu nie podoba się model polskiego systemu emerytalno-rentowego. W tym samym badaniu zapytano więc, jaki model byłby najlepszy. 73 proc. wyborców Lewicy (najwięcej spośród trzech analizowanych elektoratów) uznało, że taki, w którym wysokość emerytury zależy od odłożonych składek. Czyli ten, który obecnie jest w Polsce. Dlaczego więc mu nie ufają? Być może dlatego, że część emerytów dostaje świadczenie minimalne,

choć nie odłożyło w ZUS wystarczająco dużo pieniędzy. A polscy „lewicowcy” nie przepadają za przekazywaniem pieniędzy „za nic”.

Po rozszerzeniu programu 500+ na pierwsze dziecko zapytano elektoraty trzech partii także o poglądy na temat tego największego polskiego programu socjalnego. Jedno z pytań (właściwie wszystkie miały w sobie łopatologicznie wyłożoną tezę) brzmiało: „Jak oceniasz fakt, że program 500 plus na każde dziecko obejmuje także rodziny, w których rodzice celowo nie chcą pracować, bo wolą utrzymywać się z zasiłków?”. Aż 77 proc. wyborców Wiosny Biedronia uznało to za niesprawiedliwe. Był to najwyższy wynik. Wśród wyborców PiS stwierdziło tak jedynie 48 proc.

Podobne wyniki pojawiły się w badaniu CBOS „Ocena programu 500 plus po blisko roku od jego wprowadzenia” z 2017 r. „Postrzeganie polityki państwa wobec rodziny zależy w głównej mierze od poglądów politycznych. Działania na rzecz rodziny podejmowane przez państwo doceniają przede wszystkim osoby deklarujące poglądy prawicowe, z wyjątkiem większą rezerwą przyjmują je badani identyfikujący się z lewicą” – brzmiała jedna z konkluzji.

W badaniu European Social Survey z 2016 r. zapytano o podejście do bezwarunkowego dochodu podstawowego. W Polsce zdecydowanie najwyższe poparcie dla tego szeroko dyskusowanego na ideowej lewicy rozwiązania wyrazili wyborcy Partii Razem, jednak tuż za nimi znaleźli się wyborcy PiS, następnie konserwatywnych PSL i Kukiz'15. Wyborcy Zjednoczonej Lewicy, czyli nieistniejącego już bytu utworzonego przez Ruch Palikota, SLD i kilka mniejszych lewicowych ugrupowań, znaleźli się dopiero na piątym miejscu – ex aequo z elektoratem PO.

Powyższe postulaty nadal znajdują się w programach polskich ugrupowań lewicowych. Pytanie, czy w sytuacji ich głośniejszej artykulacji nie zrodzi się konflikt między Lewicą a jej potencjalną społeczną bazą.

Od Nowoczesnej do Kukiza

Osoby deklarujące się jako lewicowe niespecjalnie garną się (a przynajmniej tak było do niedawna) do głosowania na teoretycznie bliskie ich poglądom ugrupowania. W 2017 r. CBOS wydał raport „Elektorat lewicy od roku 2005”. Zapytano tam m.in., na kogo osoby, które oddały głos na lewicę, chciałyby zagłosować w kolejnych wyborach. W 2017 r. aż 38 proc. z nich wybrało Platformę Obywatelską. Zdecydowanie najwyższy odsetek „lewicowców” zadeklarował poparcie partii teraz już może liberalnej, ale wtedy właściwie jeszcze centroprawicowej. A przecież PO, która straciła władzę zaledwie dwa lata wcześniej, przez osiem lat nie wprowadzała nie tylko lewicowych postulatów socjalnych, lecz nawet światopoglądowych. Na postkomunistyczne SLD zamierzało głosować 19 proc., natomiast na jedyną klasycznie lewicową partię w tym zestawieniu, czyli Razem, jedynie 4 proc. Dwukrotnie mniej niż na liberalną Nowoczesną i alt-prawicową Kukiz'15.

Wzrost popularności identyfikacji lewicowej zdecydowanie nie musi więc oznaczać popularności idei lewicowych. To po prostu sprzeciw wobec dominującej narracji prokościelnej, przesadnie patriotycznej i martyrologicznej, a także coraz częściej eurosceptycznej.

Polskie społeczeństwo szybko się laicyzuje. Według badań Pew Research Center nawet najszybciej na świecie. Różnica między odsetkiem deklarujących dużą wagę religii w ich życiu wśród osób powyżej 40. roku życia i w grupie 18-39 lat wynosi aż 23 pkt proc. Za nami są inne silnie religijne kraje – Grecja (22 pkt proc.), Chile (21 pkt proc.), Rumunia (20 pkt proc.), a także Portugalia (20 pkt proc.), o której mówi się, że będzie „kolejną Hiszpanią” (względnie Irlandią – w tych dwóch państwach doszło niedawno do silnego odwrotu od Kościoła).

Polskie społeczeństwo nie staje się więc lewicowe. Ono się laicyzuje i liberalizuje, a to jest różnica. W Polsce „lewicowość” oznacza jedynie nieprawicowość. Właśnie dlatego na nastrojach młodszej części wyborców jak na razie korzysta głównie Szymon Hołownia, który z lewicą nie ma nic wspólnego. Co prawda przygarnął do siebie m.in. lewicową posłankę Hannę Gill-Piątek, tylko że ona sama niedawno przyznała, że Polska 2050 jako ugrupowanie „idzie powolutku w prawo”. Tymczasem Lewica, ugrupowanie, które ma w programie większość tradycyjnych postulatów lewicowych – ze znacznym podniesieniem płacy minimalnej na czele – bezzilnie miota się w sondażach między 6 a 8 proc. I to pomimo setek tysięcy osób protestujących przeciw drastycznemu zaostrzeniu prawa aborcyjnego. Jeśli teraz Lewicy „nie rośnie”, to kiedy miałyby zacząć? Być może nigdy, a przynajmniej nie w najbliższym czasie. Być może szczytem „lewicowości” polskiego społeczeństwa jest sprzeciw wobec władzy Kościoła i ogólny euroentuzjazm, połączone z przekonaniem, że najlepszy podatek to taki niski i liniowy. ©



for. Brendon O'Hagan/Bloomberg

Od roku mamy do czynienia z lockdownami jo-jo. Dokręca się śrubę, zakażeń ubywa, to się ją odkręca i zakażeń znowu przybywa. Tymczasem najistotniejsza w zwalczaniu pandemii jest kontrola podróży

Zabrakło wam dw

Z Yaneerem Bar-Yamem rozmawia Sebastian Stodolak

Wierzy pan, że można się pozbyć koronawirusa całkowicie? O to chodzi w idei „Zero Covid”?
Dokładnie o to.

Brzmi rewolucyjnie. Gdy wprowadzano pierwsze lockdowny, przekonywano, że są one po to, by „spłaszczyć krzywą przyrostu zakażeń” i „zbudować dodatkowe zasoby w ochronie zdrowia”.

Były też państwa, które od początku wyznaczały inny cel, czyli właśnie eliminację wirusa. Mam na myśli Chiny, Wietnam, Tajlandię, Tajwan i Nową Zelandię.

Tak, ale o tym za chwilę. Najpierw Zachód.

Na Zachodzie przyjęto fałszywą narrację: że wirusa nie da się wykończyć. Da się i to jest fakt historycznie potwierdzony. Tyle że ani Europa, ani USA nie miały świeżych doświadczeń z epidemiami, co przełożyło się na fundamentalne niezrozumienie sytuacji. Na Tajwanie mieli doświadczenie z SARS. Nowa Zelandia obserwowała zaś, co robią Chiny.

Więc wyplaszczanie krzywej było po prostu błędną strategią?

Powiem tak: wiosenny lockdown sprawił, że liczba zakażeń spadła. Gdyby podjęto wtedy odpowiednie decyzje, zduszono by ogniska epidemii całkowicie.



for. mat. prasowe

YANEER BAR-YAM

fizyk zajmujący się analizą epidemii, założyciel New England Complex Systems Institute (Instytutu Systemów Złożonych Nowej Anglii), inicjator sieci EndCoronavirus.org

Odpowiednie decyzje?

Mam na myśli wydłużenie lockdownu do chwili całkowitej eliminacji wirusa. Zamiast tego otwarto gospodarkę. Dlaczego? Ze względu na to, że w umysłach Europejczyków i Amerykanów opcja „zabić wirusa” nie istniała.

Europejskie rządy powołują się na ekspertyzę epidemiologów.

Zachodni epidemiolodzy nie badali epidemii chorób odzwierzęcych, nie mieli w tej materii żadnego doświadczenia, więc ich rady nie były trafne. Owszem, zajmowali się epidemiami grypy, bo to na Zachodzie była najpoważniejsza choroba zakaźna pod względem skali w ostatnich dekadach. Ale SARS-CoV-2 to nie grypa.

Jestem tylko dziennikarzem. Nie będę zgrywał eksperta. Wydaje mi się jednak, że nauka polega właśnie na danych i ich analizie. To, że

ktoś nie był na Słońcu, nie znaczy, iż nie jest w stanie określić jego temperatury. To, że ktoś nie zwalczał chorób odzwierzęcych, nie znaczy, iż nie potrafi opracować skutecznej metody ich zwalczania.

Niestety, ale to ma znaczenie. Czy dziennikarzowi, który pisze ciągle o sporcie, powierzyłby pan nagle pisanie o pandemii? Nie. Specjaliści ochrony zdrowia i epidemiolodzy – tak jak dziennikarze – zajmują się różnymi problemami. Jeśli więc ich głównym zmartwieniem była, powiedzmy, grypa, albo uzależnienie od papierosów, to niezbyt wiele wiedzy o innego rodzaju problemach zdrowotnych, w tym epidemii chorób odzwierzęcych.

Istnieje też grupa epidemiologów, która zamiast lockdownu doradzała skupienie się na testowaniu, śledzeniu nowych przypadków zachorowań i izolacji zakażonych.

To też nie może być podstawowa metoda walki z pandemią, choć to wszystko jest niezwykle ważne. Jeszcze raz powtórzę: tym akademikom od zdrowia brakuje doświadczeń z walce z chorobami w rzeczywistym, a nie podręcznikowym świecie.

Pan ma takie doświadczenie?

Tak. Pracowałem z Radą Bezpieczeństwa Narodowego USA, Centrami ds. Kontroli i Prewencji Chorób (CDC) i ONZ przy okazji kolejnych wybuchów

epidemii eboli w ciągu ostatniej dekady. Za każdym razem były głosy, że nie da się wygasić ogniska całkowicie i epidemia się rozleje, a jednak się udawało. Właściwe podejście powinno opierać się na zachowaniach lokalnych społeczności. Mam na myśli takie jednostki populacyjne, z których i do których transport można ograniczać. Wprowadzając ograniczenia w poruszaniu się oraz obejmując taką społeczność krótkim lockdownem, można całkowicie wygasić ognisko choroby.

I to ma przełożenie na walkę z koronawirusem? Ogniska eboli pojawiły się lokalnie w odległych zakątkach świata...

Tak samo jak koronawirus.

Ale on był nieznaną, trochę czasu zajęło zorientowanie się, że mamy do czynienia z nową chorobą. Ebola jest już dobrze znana.

Nawet w tej sytuacji strategia „Zero Covid” ma sens. Tworzymy małe, wolne od wirusa enklawy, ich liczba się zwiększa, a w końcu obejmują cały kraj.

Czyli lockdown wiosenny według pana był za krótki. Gdyby był odrobinę dłuższy, mielibyśmy kłopot za sobą?
Bardzo możliwe.

Pytanie, o ile dłuższy. Ludzie mieli dość.
O dwa tygodnie.

Dwa tygodnie i byłoby po sprawie?

Tak. Weźmy Polskę. Udało się wam spłaszczyć krzywą zachorowań, ale nie zeszliśmy do zera. Gdy infekcji zaczęło ubywać, to był krytyczny moment, to był czas na jeszcze silniejszą reakcję. Austria czy Szwajcaria zeszły do zera, nawet Litwa była blisko tego punktu.

Potem jednak w te kraje – podobnie jak w Polskę – i tak uderzyła druga fala.

Bo pozwoliły na to. Przede wszystkim otworzyły się bez utrzymania dodatkowych ograniczeń w podróżach transgranicznych. Najistotniejsza w zwalczaniu pandemii jest kontrola podróży. Gdy kontrolujesz ruch ludzi, możesz chronić wolne od choroby terytoria.

W Europie ograniczenia w podróżach między państwami były zwykle krótkotrwałe i chaotyczne. Lockdowny sprowadzały się głównie do nakazów pozostania w domu, noszenia maseczek czy niegromadzenia się w miejscach publicznych.

A powinno być odwrotnie: ograniczenia w ruchu transgranicznym powinny być dłuższe, żeby ograniczenia wewnątrz kraju były krótsze. Tymczasem od roku mamy do czynienia z lockdownami jo-jo. Dokręca się śrubę, zakażeń ubywa, to się ją odkręca i zakażeń znowu przybywa. Tak w kółko. W Nowej Zelandii aż 10 z 12 ostatnich miesięcy było zerocovidowych i wolnych od jakich-

kolwiek istotnych restrykcji wewnętrznych.

Takie przykłady jak Nowa Zelandia dla wielu nie są przekonujące. To wyspa o małej populacji. Podobnie wyspami są Tajwan, Tajlandia czy w pewnym sensie Australia.

A widział pan, jak duża jest Australia? To, że coś jest wyspą, nie ma znaczenia. To kwestia ochrony granic i przepływów ludności. Gdy wiesz, jak to robić, dostosowujesz narzędzia do warunków swojego kraju. W Melbourne mieliśmy lockdown, ale w Wiktorii – stanie, w którym się znajduje to miasto – nie. Inne przykłady sukcesu to Wietnam czy Kanada Atlantycka (region w północno-wschodniej Kanadzie – red.).

Kraje, które unikały długotrwałych lockdownów, to też państwa, które są demokratyczne.

To nie ma znaczenia. Wyspa czy nie. Demokracja czy nie. Chodzi o współpracę ludzi. Gdy rozumieją, na czym polega strategia „Zero Covid”, zaczynają kooperować i w końcu znów mogą pić piwo. Weźmy Nową Zelandię, która znów wprowadziła w całym kraju lockdown, choć nie ze względu na wybuch pandemii. Nowozelandczycy byli zero-

unikaniu kontaktu z każdym, kto nie jest domownikiem, noszeniu masek w razie kontaktu z innymi, przzerwaniu się z komunikacji miejskiej na auto, ograniczeniu wizyt w sklepach do tych koniecznych. Wiadomo, że nie wszyscy by posłuchali, ale to, że kilku nie posłucha, nie ma znaczenia. Te działania powinny być dobrowolne.

Czyli nie chodzi o przymus policyjny?

Nie, zupełnie nie. I nie jak w trakcie lockdownów jo-jo. Kluczowe jest szybkie reagowanie w razie, gdy ktoś wykazuje objawy choroby, możliwość szybkiego odizolowania go poprzez przeniesienie do – w zależności od objawów – do szpitala albo hotelu. Wszystko po to, by nie zakaził domowników. Ale i sama rodzina trafia na kwarantannę. Oczywiście wszyscy mają zapewnioną podstawową infrastrukturę, pożywienie itd.

Szkoły też zamykamy?

Tak. Otwarte szkoły wydłużyłyby lockdown o kilka miesięcy. Skupmy się jednak na konkretnie, na Polsce. Jesteście dużym krajem. Polska na pewno ma takie rejony, w których nie ma nowych przypadków koronawirusa. Należałoby je zidentyfikować, objąć ochroną – odci-

inne kraje też nie pozbędą się wirusa?

Tak, ale nie demonizujemy tego zamknięcia. Nie byłoby całkowite. Należałoby tymczasowo ograniczyć się do niezbędnych podróży, a podróżujących – np. pielęgniarki mieszkające w Polsce, ale na co dzień pracujące w Niemczech – zaopatrzyć w odpowiednie pozwolenia, instrukcje i procedury. Jeśli byłibyście zerocovidowi, to waszym zadaniem byłoby chronienie się przed napływem choroby z zagranicy. Jeśli to Niemcy byłoby zerocovidowe, to by się broniły.

Idea, by za cenę 4-6 tygodni siedzenia w domu kupić święty spokój, byłaby pewnie bardziej pociągająca na początku pandemii. Ale czy teraz nie jest na nią za późno? Nikt nie zaufa premierowi, który ogłosił jutro, że powinniśmy wprowadzić najsilniejszy lockdown niż dotychczasowe, na nawet dwa miesiące, ale jednocześnie obieca, że to już ostatni raz. Ludzie go wyśmiewają. Stracił wiarygodność.

Ale z politykami ma to mało wspólnego. To ludzie muszą zobaczyć, że możliwość pójścia na piwo jest tuż za rogiem. Jak będzie presja społeczna na polityków, to ci się jej dodadzą. Największym atutem w przekonywaniu ich do tego jest oczywiście

który ogranicza ich swobody?

Nie – na taki, który pozwala im pójść na piwo z przyjaciółmi.

OK, zostawmy zwykłych ludzi. Sądzi pan, że taka strategia eliminacji koronawirusa zyska na popularności wśród naukowców i speców od polityki publicznej?

Już zyskuje. W Niemczech eksperci od zdrowia publicznego szeroko to dyskutują. Pisze o niej pozytywnie we wstępniaku do „The Lancet” redaktor naczelny pisma Richard Horton. Zauważa wręcz, że wykluwa się obecnie konsensus na temat tego, że „eliminacja koronawirusa jest nie tylko konieczna, ale i osiągalna”. Także „The Guardian” zachęca do jej zastosowania.

Wciąż mam wątpliwości, czy da się sprawić, by ludzie uwierzyli w celowość strategii zielonych stref. Są przemęczeni izolacją. Na polityków patrzą z wrogością. Nie chcą ich do niczego przekonywać, chcą im wygarnąć. Naukowcy i media muszą uświadomić ludziom, że w zielonych strefach nie chodzi o lockdown, tylko o to, by szybko móc znowu wyjść na miasto i normalnie odwiedzać rodzinę, pracować, chodzić do szkoły. Lu-

dzie widzą, że to, co dostają teraz, te lockdowny jo-jo, nie działa. I rozumieją, że zielone strefy to jest wyjście z tego impasu.

W Polsce jako alternatywę dla obecnej polityki przedstawia się strategię szwedzką, nazywaną czasem strategią osiągnięcia odporności stadnej. To skompromitowana strategia. Nikt poważny o tym już nie mówi. Szwecja ma bardzo dużo zgonów, a ich gospodarka jest poturbowana. Szwedzi zresztą już ze swojej pierwotnej strategii zrezygnowali.

Ale pełnego lockdownu nie robią.

I się na tym przejadą. Polska też.

Czekamy wszyscy, aż nas zaszczepią.

Ale jak długo można czekać? Nawet tam, gdzie szczepienia idą szybko, proces ten potrwa wiele miesięcy. No i szczepionki nie ochronią nas w pełni przed każdą możliwą mutacją koronawirusa. Niektórzy twierdzą, że powinniśmy traktować Sars-CoV-2 jak grype. Bzdura. Ta „grypa” jest 10 razy bardziej śmiertelna. Jeśli zwykła grypa zabija 600 tys. ludzi rocznie na świecie, to niepowstrzymany wirus zabiłaby 6 mln. Ale lockdowny jo-jo to także błąd. Niektórzy mówią, że służą realizowaniu polityki „młota i tańca” do momentu zaszczepienia, ale co to za młot, co to nie zabija wirusa? Mówię panu, że „Zero Covid” ma szansę stać się głównym podejściem w walce z pandemią. Jeśli Polska nie dołączy do tego obozu, będzie na straconej pozycji. Nie da się funkcjonować z na wpół otwartą gospodarką przez długi czas, gdy inni będą już otwarci.

A nie ma pan wrażenia, że utrzymywanie polityki lockdownu jest niektórym na rękę? Pozwala wzmocnić władzę polityczną, a może przy okazji robić różne interesy...

To prawda, co pokazuje, jak nieporadni i strachliwi są zachodni liderzy. Tam, gdzie pokonano wirusa, rządy bez problemu wygrywają kolejne wybory, a w krajach, w których tego nie zrobiono...

Na przykład w USA...

Właśnie... W tych krajach przegrywają.

Załóżmy, że podejście „Zero Covid” zaczyna się przyjmować, eliminujemy główne ogniska wirusa. Ale czy da się wyplenić go do zera bezwzględnie?

To zależy, jak dobrze się to podejście przyjmie. Jeśli „Zero Covid” rozleje się globalnie – to tak. Jeśli nie, trzeba będzie nieustannie monitorować nowe ogniska zarazy i działać.

To będzie chyba dość kosztowny monitoring.

Możliwe, ale to jest jak z ryzykiem pożaru. Też się je nieustannie monitoruje i reaguje w razie potrzeby, a utrzymanie straży pożarnej jest kosztowne.

W strategii „Zero Covid” szczepionki nie są chyba zbyt istotne? Nie.

Za dużo pieniędzy w nie zainwestowano, by przyklasnąć strategii, która ich nie potrzebuje.

To prawda, że Big Pharma jest problemem, ale mam pewien pomysł: może niech zarabia na czymś innym, a nie na wirusie?

Na początku wspominał pan, że błędna reakcja Zachodu na COVID-19 to wynik braku doświadczenia z pandemią. To wystarczające rozgrzeszenie za błędy, które doprowadziły do śmierci ponad 2 mln ludzi?

Są osoby oraz instytucje winne tej sytuacji, ale nie pora na szukanie podpalacza. Zajmowanie się tym, gdy płonie dom, jest bezsensowne. Najpierw trzeba ugasić pożar. A w przyszłości, oczywiście, trzeba będzie przeanalizować błędy raz jeszcze i stworzyć lepsze mechanizmy reagowania na pandemię, bo będą coraz częstsze. Najważniejsze jest zrozumienie, że to nie jakaś centralna instytucja ma zapobiegać pandemiom, lecz mają robić to ludzie, współpracując ze sobą na różnych poziomach. Kluczowe pytanie na dziś brzmi: jak skłonić ich do współpracy? Walka z pandemią to nie wysyłanie załogi na Księżyc, czyli zadanie realizowane przez nielicznych, którym cała reszta się tylko przygląda. Porównanie pandemii z wojną jest słuszne – to jest jak wojna, każdy ma rolę do odegrania.

W porządku, ale kiedy wiadomo, że akurat ten nowy wirus doprowadzi do pandemii? Przecież nie prowadzilibyśmy wojny z COVID-19, gdyby patogen powodował swędzenie pod pachami.

To prawda. Ważne jest wychwycenie sygnału.

A co jest sygnałem?

Silne objawy niepokoju i świadczące o nich działania. Gdy ktoś krzyczy: „Pali się!”, nie zastanawia się pan, czy chodzi o mały, czy o duży pożar. Biegnie pan gasić albo ewentualnie ucieka. Niestety w przypadku pokonano wirusa, rządy bez problemu wygrywają kolejne wybory, a w krajach, w których tego nie zrobiono... Proszę mi wierzyć, Chińczycy wprowadzali lockdown w ponad 21-milionowym Pekinie nie po to, by walczyć z łagodną chorobą. To był sygnał dla Zachodu, który został w dużej mierze zignorowany.

Chiny to też, jak się dzisiaj coraz poważniej spekuluje, przyczyna całego kryzysu. Wirus mógł się wydostać z ich laboratorium.

Proszę się tym nie zajmować. To generowanie szumu. Mówienie o tym, gdy wirus szaleje, to po prostu szukanie wymówki, by nie zajmować się tym, czym trzeba. A trzeba zwalczyć wirusa do ostatniego zakątku.

A jeśli się nie uda i będziemy skazani na lockdowny jo-jo? Co wtedy radziłby pan robić zwykłym ludziom? Nie wiem. Nie wiem, co radzić komuś, kto znajduje się w piekle.

óch tygodni

covidowi, ale wykryli trzy nowe, importowane mutacje choroby. Dopóki nie prześledzą kontaktów zakażonych osób, kraj będzie zamknięty. To kwestia kilku dni, góra dwóch tygodni. Ludzie się buntują? Nie. Rozumieją, o co toczy się gra. W jednej prowincji w Argentynie też udało się uwolnić od wirusa. Hindusi idą teraz w tym kierunku. Ograniczają podróże, wprowadzają lokalne lockdowny i szybki wywiad epidemiologiczny. Nawet w slumsach udaje im się wyplenić wirusa. Jest tylko jedna prowincja w Indiach, która ma obecnie prawdziwy problem z pandemią, wszystkie pozostałe notują w sumie ok. 5 tys. przypadków dziennie. Proszę pamiętać, że mowa o kraju zamieszkiwanym przez ponad miliard ludzi.

Gdyby Polska wprowadziła teraz lockdown w myśli strategii „Zero Covid”, ile musiałyby on trwać? Cztery do sześciu tygodni, może odrobinę dłużej.

A jak dokładnie miałyby wyglądać?

Musiałby to być lockdown z prawdziwego zdarzenia. Najpierw potrzeba nam lidera, najlepiej lokalnego, który ma dar przekonywania i poparcie. On powinien wytłumaczyć ludziom zasady, które mają obowiązywać. A potem – już w trakcie – na bieżąco, codziennie informować, jak daleko jest do sukcesu. Ludzie muszą mieć świeże dane, z pierwszej ręki. Lockdown powinien opierać się na starannym

nając od innych rejonów, dopóki one też nie pozbędą się wirusa. Te rejony nazywamy właśnie „zielonymi strefami”. W momencie gdy pojawiają się kolejne zielone strefy, zaczynamy je łączyć, odmrzamy je, podróże między nimi stają się możliwe. To jest odwrotność strategii, którą przyjmowano latem w wielu miejscach, czyli strategii czerwononych stref, polegającej na zaostrzeniu reżimu dopiero w reakcji na przyrost zachorowań. Co z tego, że zdusisz zachorowania w jednym miejscu, skoro w tym samym czasie wzrosną w innym?

W folderze reklamowym to rozwiązanie wygląda świetnie. Jak to zorganizować w praktyce?

Strategię „Zero Covid” powinno się realizować, zaczynając lokalnie, np. od metropolii. Najpierw oczyszcza się z wirusa np. Kraków, potem chroni się taką „zieloną strefę” przed sąsiednimi rejonami, które dopiero są w trakcie procesu. Gdy i one są czyste, łączą się w jedną strefę, czekając na kolejne. To proces przestrzenny, rozrastający się. Im mniejszy region, od którego zaczynasz, tym szybciej pozbywasz się wirusa. Strategia zielonych stref sprawi, że w końcu można będzie ze znajomymi na piwo bez maseczki na twarzy, na mecze, koncerty.

Ale jednocześnie trzeba będzie się zgodzić na zamknięcie granic, dopóki

logika tego podejścia. Technicznie rzecz biorąc, ono musi zadziałać. Ważne jest też, że można je wdrożyć właściwie w każdym momencie. Ale pamiętajmy, że im wcześniej to zrobimy, tym mniejsze straty poniesiemy w przyszłości.

A miałem wrażenie, że pana strategia musi być wdrażana odgórnie, jeśli miałyby zadziałać. Kto więc miałby o niej zdecydować?

Powtarzam: ta strategia będzie najsukuteczniejsza, jeśli będzie wdrażana lokalnie, więc decyzje także powinny być podejmowane lokalnie. W teorii strategię „Zero Covid” może na własną rękę wdrożyć nawet pojedyncza jednostka, jak gmina czy powiat. W ramach ogólnonarodowej polityki możesz natomiast wybrać szczebel, na którym zakotwiczasz tę strategię – dajmy na to województwo. Potem możesz wprowadzać dodatkowe niższe poziomy albo te jednostki łączyć. To przypomina trochę puzzle.

A przymus?

Jaki przymus?

Jakoś tę strategię trzeba wdrożyć. Same rekomendacje nie wystarczą.

Ta strategia nie zadziała w oparciu na przymusie, instrumentach prawnych. Tu trzeba zrozumienia i poparcia ludzi. Dlatego tak ważne jest wdrażanie jej na poziomie lokalnym.

Ludzie mają z uśmiechem zgodzić się na lockdown,



Na Zachodzie przyjęto fałszywą narrację:

że wirusa nie da się wykończyć. Da się i to jest fakt historycznie potwierdzony. Tyle że ani Europa, ani USA nie miały świeżych doświadczeń z epidemiami, co przełożyło się na fundamentalne niezrozumienie sytuacji

Magdalena Cedro, Elżbieta Rutkowska

W całej sprawie chodzi o sprawę niebagatelną – o przyszłość mediów na świecie. Bo chociaż to platformy takie jak Google, Facebook czy Twitter wiodą dzisiaj prym w docieraniu do odbiorców, to strumień informacji nadal płynie z redakcji i od dziennikarzy. W czym problem? W skrócie można powiedzieć, że ci, którzy produkt wytwarzają, na nim nie zarabiają. Kasę zgarnia nie całkiem uczciwy, za to bardzo potężny pośrednik.

– Warunki gry są bardzo nierówne. Giganci cyfrowi tak dalece zmonopolizowali rynek, że wydawcy mają coraz mniejszą możliwość funkcjonowania, a to odbija się na ich sytuacji finansowej oraz na jakości dziennikarstwa – mówi Jan Zygmunowski z Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie, współprzewodniczący Polskiej Sieci Gospodarczej. – Coraz wyraźniej widzimy, że wysokiej jakości dziennikarstwo nie utrzyma się ze zrzutek i pay-wallów. Taki model się po prostu nie sprawdza – dodaje. Prowadzi on bowiem do podziału na media elitarne, nastawione na wysublimowanego czytelnika, który jest w stanie zapłacić za rzetelność i za sprawdzoną informację, oraz te darmowe – o wątpliwej jakości. To zabija też jakość publicznej debaty. Cyfrowi giganci owszem, udostępniają do niej przestrzeń, lecz także gromadzą o swoich użytkownikach dane i decydują o wyświetlanych treściach. Co więcej, należy do nich również rynek reklamy. Wydawcy mogą je wyświetlać na swoich portalach, ale to, jakie dostaną za to wynagrodzone, również nie jest oczywiste, bo giganci nie udostępniają szczegółowych danych o zyskach z reklam.

Odlubianie i polubianie Australii

Za wydawcami wstawił się australijski rząd. W grudniu 2020 r. złożył w parlamencie projekt ustawy regulującej stosunki mediów informacyjnych z platformami cyfrowymi – News Media and Digital Platforms Mandatory Bargaining Code. „Platformy cyfrowe zasadniczo zmieniły sposób produkcji, dystrybucji i konsumpcji treści medialnych” – uzasadnił potrzebę regulacji rząd Scotta Morrisona, dodając, że dąży do „zapewnienia australijskiej gospodarce pełnego wykorzystania zalet technologii cyfrowej, chroniąc jednocześnie silne i zrównoważone australijskie media informacyjne”.

Nowe przepisy mają zapewnić sprawiedliwe wynagrodzenie firm medialnych za treści, czyli nakłonić platformy internetowe do płacenia za udostępniane materiały. Jak? Przez państwowy arbitraż, który będzie narzucał warunki współpracy, jeśli bigtechy nie podpiszą umów z wydawcami dobrowolnie. Na razie ustawa dotyczy Facebooka i Google, ale może też objąć inne platformy, jeśli wydawcy nie będą mogli wyegzekwować od nich należnej zapłaty.

Bigtechom to się nie spodobało. – Google początkowo próbował szantażować rząd Australii wycofaniem się z tego kraju, ale odpuścił i pierwszy zaczął zawierać umowy z wydawcami – przypomina Jacek Wojtaś, prawnik z Izby Wydawców Prasy. – Teraz podobną drogą idzie Facebook: kilka dni temu zablokował linki do treści informacyjnych, ale po paru poprawkach w ustawie wrócił do rozmów o płaceniu za treści. To pokazuje, że mate-

Sukces australijskich wydawców i wspierającego ich rządu w starciu z cyfrowymi gigantami może pomóc dziennikarstwu także w Unii Europejskiej

Kto tworzy, kto zarabia

riały tworzone przez redakcje informacyjne są dla cyfrowych gigantów ważne, bo generują ruch, na którym zarabiają. A skoro tak, to trzeba podzielić się zyskiem z tymi, którzy te treści tworzą. Zasada wydaje się oczywista, ale kiedy przychodzi do płacenia, okazuje się bardzo trudna do wyegzekwowania – stwierdza.

Akcja Facebooka spowodowała, że Canberra skorygowała swoje plany, m.in. wydłużyła czas na dogadanie się stron przed wkroczeniem arbitrażu – do pierwotnych trzech miesięcy negocjacji dodano dwumiesięczny okres mediacji. Wtedy firma Marka Zuckerberga poszła w ślady Google'a i zaczęła dogadywać się z wydawcami.

Kontrakty z wyszukiwarką zawarli już wszyscy najwięksi gracze: News Corp, Seven West Media i Nine Entertainment. Jak pisze Reuters, powołując się na lokalne media, Seven i Nine mają dostawać po ok. 23 mln dol. rocznie. Umowa z News Corp Ruperta Murdocha ma zasięg globalny i koncern nie ujawnia jej wartości. Z Facebookiem list intencyjny podpisał już Seven, który zapowiada zawarcie umowy w ciągu dwóch miesięcy. Gazeta „The Sydney Morning Herald” podaje też, że negocjacje z tą platformą wznowiły Guardian Australia, News Corp i Nine.

Prawo do wynagrodzenia

– Australijska regulacja jest dobra dlatego, że skutecznie wymusza na platformach podjęcie rozmów z wydawcami, bo inaczej wejdzie państwowy arbitraż i sam ustali zasady płatności. We Francji, gdzie Google opierał się o wiele dłużej, nie było aż tak mocnego argumentu, ale i tam nieugięte stanowisko rządu i urzędu antymonopolowego w końcu poskutkowało i wielu wydawców ma umowy potwierdzające ich prawa do wynagrodzenia za treści, choć jeszcze nie wszyscy – mówi Jacek Wojtaś.

Paryż jako pierwsza unijna stolica implementował przepisy dyrektywy 2019/790 w sprawie praw autorskich i praw pokrewnych z 2019 r. Na długo przed terminem – państwa członkowskie mają czas na wprowadzenie określonych na poziomie UE reguł do swojego prawa do 7 czerwca. Dyrektywa nie

określa opłaty na rzecz wydawców, ale mówi o prawie do wynagrodzenia. – W trakcie prac dyskutowano o „podatku od linków”, ale jak w wielu tego typu sytuacjach lobbying gigantów cyfrowych uniemożliwił przechnięcie go na poziomie UE. Natomiast dyrektywa wprost mówi, zarówno w preambule, jak i w zapisach szczegółowych, o prawie do godziwej rekompensaty za wykorzystanie treści – podkreśla Jan Zygmunowski.

Dyrektywa nakłania państwa członkowskie do wprowadzania szczegółowych zapisów regulujących kwestie wynagradzania wydawców. Zgodnie z nią roszczenia nie można obejmować podlinkowania artykułu i wykorzystania jego bardzo krótkiego fragmentu. – Największe spółki cyfrowe zasysają zdjęcie, tytuł i opis. To nie to samo co zacytowanie dwóch zdań przez użytkownika, który się do nich odnosi w jakimś poście – zauważa Zygmunowski i zwraca uwagę, że we Francji zapisy dyrektywy mówiące o prawie do wynagrodzenia interpretuje się na korzyść wydawców, a nie tak, jak chciałoby tego bigtechy.

Google zgodził się na zawarcie umowy z grupą 121 wydawców francuskich mediów, których materiały pokazuje w wynikach wyszukiwania. Po negocjacjach zgodził się wypłacić redakcjom łącznie 76 mln dol. przez najbliższe trzy lata. Ci, których umowa nie uwzględnia, twierdzą jednak, że gigant wykrzesał różnicę pomiędzy redakcjami, by części z nich nie płacić. Poza umową znalazła się m.in. francuska agencja prasowa AFP. Sprawie przyjrzał się urząd monopolowy, który uznał, że Google naruszył zasady konkurencyjności. Regulator może nałożyć za to karę w wysokości do 10 proc. obrotów firmy. Te w 2020 r. szacowane były na 183 mld dol. Przy czym – jak podkreśla Reuters – ostateczna decyzja będzie należała do urzędu. Wiadomo jednak, że Francja nie boi się karać bigtechów. W zeszłym roku tamtejszy odpowiednik UOKiK nakazał Apple zapłacenie rekordowej kary 1,1 mld euro za praktyki monopolistyczne związane z dystrybucją i sprzedażą iPhone'ów.

Media: to dobry wzór

Paryż zastosował arbitraż, ale Australia poszła o krok dalej i wprowadziła przepisy, które narzucają go z mocy prawa. I właśnie takiego arbitrażu na wzór australijski chcieliby europejscy wydawcy. Skupiające prasę Starego Kontynentu organizacje EMMA, ENPA, EPC i NME – zrzeszenia mediów magazynowych i informacyjnych oraz Europejska Rada Wydawców – wraz z Microsoftem zadeklarowały dążenie do wypracowania takiego rozwiązania prawnego, które zagwarantuje, że europejscy wydawcy otrzymają wynagrodzenie za korzystanie z treści przez cyfrowe platformy mające dominującą pozycję rynkową i przez to nazywane strażnikami dostępu (gatekeepers). „Rozwiązanie powinno nakładać obowiązek uiszczania opłat za korzystanie przez strażników dostępu z treści wydawców prasowych oraz zawierać takie przepisy dotyczące arbitrażu, by zapewnić stronom możliwość negocjowania uczciwych umów” – stwierdzają EMMA, ENPA, EPC, Microsoft i NME. „Przepisy powinny uwzględnić model ustanowiony w prawie australijskim, który umożliwia arbitrażowi ustalenie sprawiedliwej ceny na podstawie oceny korzyści, jakie każda ze stron czerpie z umieszczenia treści informacyjnych na platformach cyfrowych, czy kosztów wytworzenia treści” – czytamy we wspólnym komunikacie.

– Kluczowe jest, by nasi regulatorzy nie dali się zwieść przekonaniu, że umowy poboczne są tym samym, ponieważ wcale tak nie jest – zwraca uwagę Christian Van Thillo, przewodniczący European Publishers Council. – Wszyscy wydawcy powinni zawrzeć umowę, nikt nie powinien zostać pominięty – podkreśla.

Także w Australii – po tym, jak Google i Facebook doszły do porozumienia z największymi graczami i złagodzone przepisy – mniejsi wydawcy zaczęli się obawiać, że ich pozycja negocjacyjna będzie zbyt słaba. Szef urzędu antymonopolowego Rod Sims nie widzi jednak powodów do niepokoju. „Jeśli Google i Facebook nie zawrą kontraktów z najmniejszymi nawet podmiotami, to zostaną do tego zmuszeni – uspokaja w rozmowie z Reutersem. Dodaje, że skoro bigtechy odpuściły i dogadały się z mediami kontrolującymi prawie 90 proc. australijskiego rynku, to nie ma powodu, by pokpił sprawę, zostawiając odlegiem pozostałe 10 proc.

– Przepisy o arbitrażu wprowadzone na szczeblu unijnym miałyby z pewnością większą moc, ale można je też uwzględnić przy implementowaniu dyrektywy w poszczególnych krajach. Czy uda się nam zmusić plat-



formy do płacenia jak w Australii? Na pewno będzie do tego potrzebne wsparcie rządu – podkreśla Jacek Wojtas.

Z tym nad Wisłą może być problem, bo Polska zaskarżyła art. 17 dyrektywy. Implementacja w terminie też się najprawdopodobniej nie uda. – Polski rząd nie skorzystał wprawdzie z procedury przedłużenia czasu na wdrożenie dyrektywy, ale skądinąd wiemy, że resort kultury projekt implementacji zaplanował dopiero na trzeci lub czwarty kwartał tego roku. Nie będziemy też raczej jedynym krajem, który z tym nie zdąży – mówi Jacek Wojtas.

Poprosiliśmy ministerstwo o aktualny terminarz prac nad implementacją dyrektywy 2019/790. Spyaliśmy też, czy Polska zdąży wprowadzić odpowiednie przepisy do czerwca i jakie wnioski dla kształtowania tych przepisów resort wyciąga z wydarzeń w Australii. Czy rozważa wprowadzenie podobnych zasad arbitrażu? „Harmonogram prac legislacyjnych będzie publicznie dostępny po wpisaniu projektu do wykazu prac”, a „projekt będzie wzorowany raczej na rozwiązaniach przyjmowanych w UE. Australia jest poza UE, ma też inny system prawny” – czytamy w odpowiedzi.

Skutkiem ubocznym scedowania na państwa członkowskie obowiązku egzekwowania prawa do wynagrodzenia dla wydawców będzie powstanie w Unii prawnego patchworku. Co kraj, to rozwiązanie. – To nie jest sytuacja nowa i nieznaną. Tak się dzieje nagminnie w procesie tworzenia praw w gospodarce cyfrowej. Najpierw powstaje propozycja paneuropejska, dość rozsądna, a potem pojawiają się lobbyści, którzy mówią, że tak się właściwie nie da. Proces się rozmywa i ostatecznie na nowe rozwiązania decydują się pojedyncze państwa – komentuje Jan Zigmuntowski. Przykładem jest podatek od gigantów cyfrowych, który miałby zasilać budżet UE. Prace na ogólnoeuropejskim poziomie utknęły i państwa takie jak Francja, która w debacie o opodatkowaniu bigtechów również zaszła najdalej, zdecydowały się działać na własną rękę.

Czy w przypadku wynagradzania wydawców możliwe jest jednak wspólne europejskie rozwiązanie? W ocenie Jana Zigmuntowskiego przykład australijski i to, jaką wywołał on debatę w UE, pokazuje, że jest potrzeba wprowadzenia „podatku od linków”. Pojawiły się nawet głosy, by tę kwestię podjąć pod zaproszeniem przez Komisję Europejską w grudniu Kodeks usług cyfrowych – wielką unijną legislację, która ma nałożyć na bigtechy odpowiedzialność za publikowane na ich platformach treści. Bruksela wznowiła też w styczniu konsultacje na temat sprawiedliwego opodatkowania w gospodarce cyfrowej. I chociaż chodzi tu o podatek cyfrowy, to ekspert z Akademii Leona Koźmińskiego podejrzewa, że kwestia „podatku od linków” może wrócić wraz z nim. W tej sprawie cyfrowi giganci mają naprzeciwko siebie wielkie koncerny medialne, zwłaszcza francuskie i niemieckie, które również łatwo nie odpuszczą. Pytanie jednak, co z mniejszymi wydawcami i czy małe portale również mogą liczyć na uwagę europejskich regulatorów.

Powoli we właściwym kierunku

– Choć powoli, wszystko idzie w dobrą stronę. Coraz więcej krajów rozumie potrzebę uregulowania tej kwestii i wywierania presji na cyfrowych gigantów, by przestrzegali prostej i oczywistej zasady, że twórcami treści należy się za nie wynagrodzenie. Dostrzegają to także firmy technologiczne. Microsoft, który ma swoją przeglądarkę i wyszukiwarkę Bing, od lat płaci wydawcom za udostępnianie tam treści. To duży podmiot, który może wykorzystać sytuację i przejąć część rynku od Google. Rywalizacja tych koncernów między sobą też może się więc przyczynić do powszechnego uznania praw wydawców – stwierdza Wojtas.

– Internet i media społecznościowe nie były łaskawe dla wolnej prasy i większość mediów mocno na tym ucierpiała – podkreśla Jean-Pierre de Kerraoul, szef ENPA. – Demokracja potrzebuje jednak wolnej prasy. Każdy projekt legislacyjny, który wzmacnia demokrację i wspiera wolną prasę, powinien być więc promowany także przez sektor technologiczny, który jest produktem tych samych swobód i wartości – uważa.

Chociaż przyszłością mediów i ich finansowego przetrwania Unia Europejska już się zajęła, to ostatecznie o rezi do ręki dostały przede wszystkim rządy poszczególnych państw. I to one mają zdecydować głośno w sprawie przyszłości mediów w Europie. Jednym rządom będzie zapewne zależało na tym bardziej, innym mniej. Przykład australijski tak jednak nagłośnił problem, że nie sposób go dłużej ignorować. ©

Niebezpieczne lekarstwo

**PRZY PROJEKTOWANIU
NOWEJ DANINY USTAWODAWCA
POWINIEN SOBIE PRZYPOMNIEĆ
LEKARSKĄ MAKSYMĘ:
„PO PIERWSZE NIE SZKODZIĆ”**

Podatek od usług cyfrowych (zwany podatkiem cyfrowym) ma w sobie coś z antybiotykiem. W większości przypadków należałoby go uznać za morderczą truciznę dla sprawiedliwości podatkowej, są jednak sytuacje, kiedy może być jedynym skutecznym lekarstwem na poważną chorobę – unikanie opodatkowania. Właśnie dlatego pomimo wątpliwości wiele państw wprowadza to rozwiązanie, a Unia Europejska rozpatruje możliwość wdrożenia podatku cyfrowego tymczasowo na terenie całej Wspólnoty. W UE do wprowadzenia rozwiązań podatkowych wymagana jest jednomyślność wszystkich 27 państw członkowskich, o którą niełatwo. Nie czekając zatem na konsensus, swój podatek wprowadziły m.in. Francja, Hiszpania i Włochy (nie powinno dziwić, że według doniesień prasowych czołowym jego przeciwnikiem jest Irlandia, o czym za chwilę).

Podatek celowany

Wprowadzone tam rozwiązania różnią się w szczegółach, jednak ich cechy wspólne pozwalają zbudować pewien ogólny obraz. Jest to więc podatek skierowany do określonej grupy podmiotów, które z jednej strony wyróżniają się bardzo wysokimi przychodami (minimum 750 mln euro rocznie na świecie), a z drugiej uzyskują te przychody z konkretnych usług. W zależności od wersji mogą to być usługi reklam internetowych, ale również sprzedaż danych (np. użytkowników serwisów społecznościowych) i umożliwianie sprzedawania towarów lub usług. Najważniejsze jest to, że podstawą dla wyliczenia podatku ma być cały przychód z tych usług. To ważne, bo inaczej niż

w zwykłym podatku dochodowym podstawa podatku nie jest pomniejszana o koszty (np. wynagrodzenia pracowników, najem biur czy sprzęt komputerowy). Jednakże konsekwentnie proponowane stawki są dużo niższe niż w podatkach dochodowych i wynoszą

2-5 proc. Dla porównania: polski podatek dochodowy dla spółek wynosi zwykle 19 proc.

Właśnie te cechy podatku cyfrowego mogą czynić z niego truciznę. Przede wszystkim przez odstępianie od zasady powszechności opodatkowania. Zwykle te same daniny (ustalane według tych samych zasad) powinien płacić każdy, np. wielka fabryka mebli i rodzinna kawiarnia. To ma zapewnić, że wszyscy według swoich możliwości przyczyniać się będą do budowania dobra wspólnego. Ten podatek skierowany jest zaś do wąskiej grupy podmiotów. I choć nie jest to rozwiązanie zupełnie niespotykane, zazwyczaj wymaga uzasadnienia, dlaczego określona grupa podmiotów traktujemy szczególnie. Przykładem może być akcyza od papierosów, która służy nie tylko zaspokajaniu potrzeb fiskalnych państwa, lecz także zniechęcaniu do szkodliwego nałogu.

Ustalanie podatku w oparciu o przychód też budzi kontrowersje. Głównie dlatego, że podatek przychodowy jest niekorzystny dla przedsiębiorców dopłacających do swojej działalności (np. dopiero ją rozpoczynających albo przechodzących przez kryzys, kiedy przychody są, ale za małe, by pokryć koszty). Wreszcie wprowadzenie dodatkowego podatku obok już istniejącego VAT i podatku dochodowego po prostu utrudnia prowadzenie działalności, zwiększając zakres obowiązków administracyjnych.

Co chcemy leczyć

Jaka zatem choroba wymaga takiego lekarstwa? To problem niedostosowania tradycyjnych podatków dochodowych do świata gospodarki cyfrowej. Rozwiązania, których trzon był tworzony w drugiej połowie XX w., działały rozsądnie w odniesieniu do tradycyjnych przedsiębiorstw takich jak fabryki czy stacjonarne sklepy. Niestety w starciu z nowymi technologiami ich stosowanie prowadzi do absurdalnych wyników.

Większość krajów na świecie zawiera i stosuje umowy o unikaniu podwójnego opodatkowania. Polska podpisała ok. 90 takich umów z różnymi państwami. Wszystkie one opierają się na jednym wzorze przygotowanym przez Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD). Model przypomina trochę kolorówankę. Mamy linie (szkic przepisów), które dają nam ogólny obraz tego, co wyjdzie, ale mamy też pewną dozę dowolności w wyborze kolorów (szczegółowe rozwiązania, np. stawki podatku u źródła i szczegółowe definicje niektórych pojęć). Czasem przekracza się trochę linie, ale zwykle na koniec i tak wyjdzie naszkicowany, powiedzmy, pies, tylko nie wiadomo, czy będzie brązowy, czy niebieski.

Nazwa umów o unikaniu podwójnego opodatkowania oddaje ich cel. Chodzi o to, żeby podatnicy prowadzący działalność w dwóch krajach nie płacili podatku dwa razy.

Zasada jest taka, że podatek dochodowy należy płacić tam, gdzie się zarabia. Idea jest szczytna, ale problem pojawia się, kiedy ktoś zapyta, co to właściwie znaczy. Model umowy przewiduje, że dochody z działalności gospodarczej zwykle opodatkowane są tylko tam, gdzie podatnik ma siedzibę. Wyjątkiem jest sytuacja, kiedy w innym państwie ma biuro, fabrykę czy inną fizyczną placówkę, którą nazywa się stałym zakładem. Wtedy dochód związany z działalnością zakładu może być opodatkowany tam, gdzie jest taki zakład. W pewnym uproszczeniu chodzi przede wszystkim o to, że jeśli podatnik osiąga swój dochód w kraju, w którym nie ma żadnego stałego kąta, to zwykle jego działalność ma tam charakter incydentalny. Nie ma zatem żadnego ekonomicznego sensu, by takim incydentem zajmowała się administracja podatkowa. Jednakże wydaje się, że autorzy modelu OECD to miłośnicy „Małego Księcia” i zawartej tam maksymy „Należy wymagać tego, co można otrzymać”. Stosunkowo proste jest egzekwowanie podatku od tych, którzy mają majątek w państwie żądającym zapłaty. W razie problemów państwo może zaspokoić swoje roszczenia w drodze przymusowej egzekucji. Inaczej jest z podatnikami, którzy cały swój majątek mają gdzie indziej. Wtedy wysiłek, którego wymagałaby taka egzekucja, mógłby przekroczyć oczekiwane korzyści (szczególnie przy ograniczonej skali działalności podatnika).

Takie rozwiązanie nie było pozbawione sensu w tradycyjnej gospodarce. Niestety jego autorzy nie przewidzieli pojawienia się internetu. Dla cyfrowych gigantów stały zakład stał się niepotrzebnym zbytkiem, który bardziej utrudnia niż ułatwia działalność. Mogą oni zarabiać właściwie wszędzie, nie mając siedziby nigdzie. I nie można już się mówić o incydentalnym charakterze – ani siedziba, ani zakład nie są zupełnie potrzebne, by zdominować miejscowy rynek.

Część cyfrowych gigantów ma w Polsce swoje spółki zależne, które płacą podatki dochodowe. Z ich sprawozdań finansowych wynika jednak np., że taka spółka świadczy usługi wyłącznie na rzecz podmiotów z grupy, a więc klienci muszą je kupować od spółki siostry za granicą. W innym przypadku polski podmiot świadczy usługi tylko dla „wyznaczonych klientów w Polsce”. Innymi słowy, firmy świadczące usługi w internecie mogą dość swobodnie decydować, jak i skąd obsłużyć klientów. Mogą dowolnie wybrać miejsce swojej siedziby, biorąc pod uwagę korzystny klimat podatkowy. Nie przez przypadek cyfrowi giganci mają swoje siedziby na Europie np. w Irlandii czy Luksemburgu. Podlegają opodatkowaniu właśnie tam i nie muszą już płacić danin publicznych w innych państwach, gdzie mają duże dochody. Dzięki korzystnemu opodatkowaniu ich usługi są tańsze niż u tradycyjnych przedsiębiorców, którzy nie mogą tak łatwo uciec przed obciążeniami. Giganci zyskują więc dodatkową przewagę konkurencyjną.

Czas trwania prowizorki

Oczywiście najlepszym rozwiązaniem tego problemu byłoby dostosowanie umów o unikaniu podwójnego opodatkowania do świata gospodarki cyfrowej, nad czym właśnie pracuje OECD. To jednak żmudny proces. Nie wystarczy wypracować dobrą definicję, trzeba zmienić każdą z dwustronnych umów. Wystarczy, że jedno państwo nie weźmie w tym przedsięwzięciu udziału i może się ono stać bezwartościowe.

Warto wiedzieć, że według planów KE podatek cyfrowy ma być rozwiązaniem tymczasowym – do momentu wypracowania zmian w umowach (przy czym używany w UE termin „tymczasowy” jest dość pojemny i może oznaczać np. 50 lat). A że podatek cyfrowy nie jest ściśle dochodowy, tylko przychodowy (obrotowy), można argumentować, że umowy o unikaniu podwójnego opodatkowania go nie dotyczą.

Tu dochodzimy do projektu składki reklamowej, która ma być polskim odpowiednikiem podatku cyfrowego. W części to się właściwie udało, bo składka od reklamy internetowej przypomina inne rozwiązania europejskie, choć stawka jest dość wysoka (5 proc.), a przedmiot dość wąski (tylko usługi reklamowe). Co innego dodanie przy okazji składki od reklamy konwencjonalnej, która ma wszystkie wady podatku cyfrowego (selektywność, przychodowość, komplikacja), nie mając jednak jego zalet. Problem siedziby i stałego zakładu kompletnie nie dotyczy kin i tradycyjnych mediów, które przecież wymagają pewnej bazy tam, gdzie świadczą usługi. Nie da się wydawać gazety bez dziennikarza, a radio wymaga koncesji i miejsca do nadawania. Tradycyjni wydawcy i nadawcy nie korzystają z dobrodziejstwa mobilności gospodarki cyfrowej. To zaś oznacza, że nowy podatek będzie należny nie zamiast podatku dochodowego, tylko obok niego. Co więcej, dla mediów tradycyjnych nie będzie stosowana jedna 5-proc. stawka, ale kilka różnych – do nawet 12 proc. To oznacza, że podatek, który miał wyrównywać szanse pomiędzy uprzywilejowanymi podmiotami cyfrowymi a tradycyjnymi reklamobiorcami, będzie wręcz jeszcze pogłębiał nierówność.

Nie wydaje się zatem, by polskie lekarstwo w postaci składki reklamowej było właściwą odpowiedzią na podatkową chorobę. Dobrze byłoby więc, żeby ustawodawca przy projektowaniu nowej daniny kierował się lekarską maksymą: „po pierwsze nie szkodzić” i nie doprowadził do sytuacji, w której leczenie zabija pacjenta. ©

OPINIA

PIOTR LEONARSKI

adwokat i doradca podatkowy w kancelarii B2R
Law Jankowski
Stroiński Zięba
i Partnerzy



Złodziejstwo w pigułce

Po co fałszować leki, skoro można je ukraść? Coraz częściej są one wynoszone bezpośrednio z fabryk. **Koncerny i urzędnicy udają, że problemu nie ma**

Patryk Słowik, Jakub Styczyński

Polska jest eldorado przestępczości lekowej. Dopiero co, w styczniu, napisaliśmy w Magazynie DGP o sfalszowanych lekach, gdy w lutym dowiedzieliśmy się o międzynarodowym śledztwie, w którym uczestniczyły polskie służby. Policjanci z Centralnego Biura Śledczego Policji, Zarząd w Poznaniu, pracowali kilkanaście miesięcy, by ustalić sposób działania członków zorganizowanej grupy przestępczej. W tej sprawie współpracowali z francuską żandarmerią, włoskimi Carabinieri i tamtejszą służbą celną, a wszystko pod patronatem Europejskiego Urzędu ds. Zwalczenia Nadużyć Finansowych z siedzibą w Brukseli (OLAF).

Ustalono, że kilkanaście osób działających na terenie Europy w ramach zorganizowanej, międzynarodowej grupy przestępczej co najmniej od lutego 2018 r. mogło sprowadzić z Azji do Polski prawie 0,5 tony substancji czynnej. Towar ten następnie przesyłano za granicę, gdzie produkowano podrabiane leki. Gotowe fałszywki wracały do Polski – według śledczych mogło tu trafić kilkadziesiąt milionów sfalszowanych produktów największych światowych koncernów farmaceutycznych. Sprzedawano je dalej za pośrednictwem stron internetowych odbiorcom w Europie i USA. Rozbicie grupy nastąpiło na przełomie stycznia i lutego 2020 r. Zatrzymano 13 osób, z czego dwie poza granicami naszego kraju. Na poczet przyszłych kar i grzywien zabezpieczono luksusowe pojazdy warte ok. 600 tys. zł, a także ponad 900 tys. zł w gotówce.

Naszą uwagę zwrócił jeden dodatkowy szczegół: z ustaleń śledczych wynika, że gang mógł także „pozyskiwać” (czytaj: kraść) oryginalne lekarstwa z zakładów farmaceutycznych. Bo niekiedy nie ma sensu bawić się w fałszowanie medykamentów, skoro na wyciągnięcie ręki są produkty w pełni legalne. Tym bardziej, że wart majątek towar często jest chroniony gorzej niżeli auta pracowników fabryki stojące na przyzakładowym parkingu.

O tym, że do kradzieży z fabryk dochodzi w Polsce, nasi rozmówcy mówili nam od dawna. Teraz jednak zdobyliśmy na to dowody. Ustaliliśmy, że w trakcie wspomnianego wyżej śledztwa funkcjonariusze polskiej policji wykryli kolejne kradzieże w fabryce leków w Kutnie. Produkowane są w niej medykamenty z zakresu pulmonologii, kardiologii, gastrologii, neurologii, dermatologii oraz ginekologii.

– Doszło do czynności przeszukania pomieszczeń zajmowanych przez dwóch podejrzanych w tej sprawie będących pracownikami firmy farmaceutycznej. Ujawniono i zabezpieczono środki medyczne produkowane w firmie farmaceutycznej mającej swoją siedzibę na terenie Kutna – potwierdza Łukasz Wawrzyniak, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Poznaniu. I dodaje, że obaj pracownicy, u których znaleziono towar, zostali aresztowani. Z naszych informacji wynika, że zdaniem śledczych proceder ten był najprawdopodobniej związany z funkcjonowaniem międzynarodowej szajki przestępc-



W poniedziałek, 1 marca w DGP wyjątkowy dodatek dla biur rachunkowych



- Ulga na zle długi sprawia problemy na przełomie lat
- Jak uniknąć błędów w sprawozdaniach finansowych przygotowywanych przez biuro rachunkowe
- W jaki sposób rozliczyć dostawy okien do Anglii i Irlandii Północnej

DODATEK DLA PRENUMERATORÓW

czej, choć to oczywiście zostanie wyjaśnione w toku postępowania.

Im głośniejszy, tym lepiej

Potwierdziło się, że leki są kradzione z polskich fabryk. Dotychczas mówiono o takich praktykach w Chinach, na Ukrainie, w Rosji i we Włoszech.

– Z naszej perspektywy temat kradzieży leków z fabryk nie istnieje. Zakładamy, że może dochodzić do takich zdarzeń, ale póki producenci się nie skarżą, nie wnioskujemy o – przekonuje nas jeden z ważnych urzędników Ministerstwa Zdrowia. Jego zdaniem skala lekowego złodziejstwa jest niewielka. Gorsza jest tendencja. Nieoficjalnie bowiem mówi się, że przestępcy z roku na rok kradną coraz więcej. A to dlatego, że dopóki jest to temat tabu, dopóty tego typu kradzieże są w miarę bezpieczne.

– Bardzo niewiele wiadomo na temat tego, jak poważnym problemem są kradzieże leków bezpośrednio z fabryk. Mało kto o tym wspomina, a firmy farmaceutyczne albo o tym nie wiedzą, albo nie chcą nikomu o tym mówić. Nie świadczyłoby to dobrze o systemie jakości i procedur bezpieczeństwa w tych firmach – zauważa prof. Zbigniew Fijałek, kierownik Zakładu Farmacji Kryminalistycznej, szef zespołu ds. sfałszowanych leków Wydziału Farmaceutycznego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, w latach 2005–2015 dyrektor Narodowego Instytutu Leków.

I tak jest w rzeczywistości. Pracownicy koncernów, zazwyczaj chętnie udzielający nam informacji (choć na ogół nieoficjalnie), pytani o kradzieże leków z fabryk nabierają wody w usta.

– Nie mogę o tym mówić – twierdzi jeden z menedżerów.

– Ale pytaacie o jakieś konkretne zdarzenie? – dopytuje się drugi.

– Są inne, ciekawsze tematy – zniechęca nas trzeci.

Jak zauważa prof. Zbigniew Fijałek, także informacja o kradzieży z fabryki w Kutnie wypłynęła nie dlatego, że firma się o niej dowiedziała, lecz w wyniku dużego śledztwa służb rozpracowujących międzynarodową grupę przestępczą. Po prostu nie dało się tego ukryć. Gdy spytaliśmy o szczegóły tej sprawy producenta, mówił o nich niechętnie. Pomijał też całkiem pytania dotyczące procedur bezpieczeństwa w fabryce. Na jego stronie internetowej czytamy, że firma zatrudnia setki osób – w większości ludzi młodych, silnie zorientowanych na rozwój firmy w połączeniu z rozwojem osobistym.

– O tym, że leki mogą być kradzione bezpośrednio z fabryk, mówiło się w Polsce niewiele. Bardziej przytomni eksperci wskazywali jednak, że jesteśmy głęboko naiwni, twierdząc, że ten problem nas w ogóle nie dotyczy. To, że nic o nim nie wiemy, nie świadczy o tym, że w ogóle go nie ma, ale że jest on niezdiagnozowany i brakuje odpowiedniego nadzoru – podkreśla Marek Tomków, wiceprezes Naczelnej Rady Aptekarskiej. Zaznacza przy tym, że sytuacja jest podobna do tej, gdy nikt nie wierzył, iż z Polski wywozi się leki z pseudoefedryną do produkcji metamfetaminy. A po latach okazało się, że byliśmy jednym z największych eksporterów medykamentów w tym celu w Europie.

– To też kolejna sprawa, która pokazuje niedoinwestowanie inspekcji farmaceutycznej: zarówno głównej, jak i podległych wojewodom wojewódzkich inspektorów farmaceutycznych. Garstka urzędników musi nadzorować miliardowy rynek leków. To fizycznie niemożliwe, żeby dało się odpowiednio skontrolować wszystkie obszary – zaznacza wiceszef samorządu aptekarskiego.

Jeden z ekspertów pracujących dla czołowej na europejskim rynku firmy doradczej z zakresu bezpieczeństwa biznesu potwierdza, że kradzieże z fabryk leków w Polsce się zdarzają. I nieważne, jak procedury bezpieczeństwa wyglądają na papierze – tam często są wzorcowe. Praktyka to co innego. Przykładowo, czy szefostwo przymknie oko na informację, że po zakończeniu zmiany zniknęło tysiąc blistrów leków?

– Rodzime podmioty po macoszemu traktują temat bezpieczeństwa. Porównanie jego poziomu w polskich i zachodnich korporacjach przypomina zestawianie poloneza z mercedesem – twierdzi ekspert.

U nas standardem jest przetrząsanie toreb wychodzących z fabryki pracowników. Na Zachodzie oraz w lepiej zorganizowanych polskich firmach prowadzi się natomiast audyt ilości produkowanych leków. I przeszukuje internet w poszukiwaniu ofert medykamentów – złodzieje najczęściej próbują opchnąć towar w sieci. Zdarza się też tak, że leki przeznaczone do utylizacji (np. z powodu jakiejś wady produkcyjnej) wcale utylizowane nie są. Brakuje nad tym nadzoru.

Na (rzekomej) utylizacji zresztą można się nieźle dorobić. Policja w Zgierzu zainteresowała się działalnością jednej z firm, które się tym zajmują. Z naszych informacji wynika, że w toku przeszukania na terenie należącym do firmy ujawniono produkty lecznicze przekazane do utylizacji przez trzy apteki oraz dwie hurtownie. Część przeterminowanych leków była zapakowana w pudła kartonowe i oklejona naklejkami z napisem „TO MALTA”. Mimo że prowadzone postępowanie tego nie potwierdziło, leki te mogły być przygotowane do wysyłki na Maltę w celu wprowadzenia do powtórnego obrotu. Funkcjonariusze policji ustalili, że mechanizm polegał na odbieraniu przeterminowanych produktów leczniczych i przesyłaniu ich do punktu zbiorczego w Radomsku, skąd – zgodnie z procedurą oraz dokumentami przewozowymi – powinny zostać przewiezione pod Warszawę, do składowiska należącego do firmy odpowiedzialnej za utylizację.

Tyle że następnie leków wcale nie niszczone. Przesłuchany kierownik składowiska odpadów należących do firmy utylizacyjnej nie potrafił wyjaśnić, jak to się stało, że medykamenty były zapakowane w kartonowe pudła niczym przesyłka gotowa do drogi.

Specjalizujące się w utylizacji leków firmy nie podlegają nadzorowi farmaceutycznemu.

– W zasadzie nikogo to nie interesuje, a przecież mowa o olbrzymiej liczbie często pełnowartościowych leków odrzuconych tylko dlatego, że np. maszyna nie napełniła tabletkami wszystkich miejsc w blistrze – wskazuje prof. Fijałek.

Po cichu albo na bezczelnego

W jaki sposób dochodzi do kradzieży leków? Metoda najbardziej chałupnicza to – jak w fabryce w Kutnie – wynoszenie pojedynczych produktów przez pracowników. Można pomyśleć, że to żaden wielki biznes, ale jeśli jedno opakowanie danego medykamentu kosztuje na czarnym rynku ponad 1 tys. zł, optyka się zmienia. Zdaniem ekspertów jeden pracownik, zachowując umiar w kradzieżach, może w ciągu miesiąca wynieść towar o wartości nawet 100 tys. zł. I tu możliwe są dwa warianty: albo ktoś działa na własną rękę i ile wyniesie, tyle jego, albo jest „na ryczałcie” u bandytów. Takie osoby dostają z góry umówioną kwotę za wynoszenie preparatów.

– W ciągu doby fabryki mogą wyprodukować nawet milion jednostek. Niech tylko promil z tego zostanie skradziony, to można mówić o tysiącach tabletek. Jeżeli firma nie realizuje procedur bezpieczeństwa, to pracownicy mogą rzeczywiście wynosić spore ilości medykamentów. A firma może nawet tego nie zauważyć albo to zignorować i szybko wyprodukować kolejne sztuki – zaznacza prof. Zbigniew Fijałek.

W państwach byłego bloku komunistycznego, szczególnie w fabrykach działających na rzecz zachodnich producentów jako podwykonawcy, popularna jest metoda na „trzecią zmianę”. Oznacza to, że np. do godz. 18 pracownicy produkują leki legalnie. A potem, do godz. 22, te same osoby, na tym samym sprzęcie i stosując tę samą metodę produkcyjną, wytwarzają pigułki na czarny rynek (legalnie ich sprzedać nie można, gdyż opakowania nie będą posiadały oryginalnych numerów identyfikacyjnych). Tego typu działalność zazwyczaj odbywa się za przyzwoleniem kierownictwa fabryki. Ba, dostaje ono swoją dółkę. Stratne są głównie duże koncerny farmaceutyczne. Te zaś – jak słyszymy – często co najmniej się domyślają, jak wygląda praktyka, wołają jednak przymknąć na to oko, bo produkcja w państwach o tańszej sile roboczej jest i tak o wiele bardziej opłacalna niż we Francji czy Niemczech, w których korporacje mogłyby zadbać o każdy szczegół.

Wariant maksymalny to wjazd przestępców do fabryki i po prostu spakowanie dziennej produkcji do wozów. Takie obrazki, jak z fil-

mów sensorycznych, nie są niczym niespotykanym we Włoszech, gdzie przestępczością lekową zajmują się profesjonalne struktury mafijne.

– Mafia włoska kradnie głównie leki przeciwnowotworowe i na choroby metaboliczne, których opakowanie kosztuje kilka tysięcy euro. Takich medykamentów nie kupuje się przez internet, więc fałszerze dbają, by wprowadzić je do legalnej sieci dystrybucji – wskazuje Zbigniew Fijałek.

Szczególnym rodzajem kradzieży – już poza fabrykami, ale jeszcze produktu będącego pod kontrolą producenta – jest okradanie transportów. Międzynarodowe organizacje szacują, że wszystkie kradzieże drogowe w Europie przynoszą straty na poziomie ok. 14 mld dol. rocznie. Około 2 proc. z tego (280 mln) to kradzieże leków.

Jak okrada się TIR-y z leków? W sumie to dość proste. – Kierowca parkuje ciężarówkę, bo musi odpocząć, a gdy wraca do auta, znajduje pustą ciężarówkę. Takich sytuacji jest najwięcej. Są też rozboje: banda uzbrojonych zbirów zatrzymuje transport i każe kierowcy spaść. Bardziej spektakularne akcje to np. kradzież z jadącego tira. Wyprowadziła się w tym zwłaszcza mafia rumuńska. Zwykle późnym wieczorem jeden samochód podejżdza z przodu i „zajmuje” kierowcę. Tymczasem z drugiego auta, z tyłu, przestępcy „w biegu” włamują się na pakę ciężarówki, po czym przerzucają kartony leków do swojego pojazdu – wyjaśnia prof. Zbigniew Fijałek.

Bywa tak, że kierowca TIR-a jedzie przez cztery kraje, staje w piątym, zrywa plombę i dopiero wtedy spostrzega, że ktoś mu wyniósł pół ładunku albo cały. Z plombami mafie radzą sobie tak, że je podrabiają na drukarkach 3D.

Okradanie transportu, często tuż po wyjeździe towaru z fabryki, jest szczególnie popularne w Rumunii i Bułgarii.

Z raportu Transported Asset Protection Association wynika, że między styczniem a czerwcem 2020 r. doszło do 18 dużych kradzieży w obszarze EMEA (Europa, Bliski Wschód i Afryka). Przykłady? W lutym 2020 r. w rosyjskim Szelkowie skradziono... 20 ton medykamentów. W maju 2020 r. w brytyjskim Salford złodzieje ukradli towar o wartości – bagatela – niemal 200 tys. dol. Lek o dwa razy większej wartości także w maju zginął na granicy hiszpańsko-francuskiej. Jak? Do dziś nie wyjaśniono. W sierpniu 2020 r. okradziono ciężarówkę w Niemczech. Straty oszacowano na równo 0,5 mln euro.

Rekord należy jednak do Rosjan. We wrześniu do jednego z podmoskiewskich magazynów wtargnęli uzbrojeni po zęby zamaskowani bandyci. Wynieśli leki, 2 mln maseczek oraz 600 termometrów elektrycznych o wartości ponad 700 tys. euro.

Lepszy kradziony niż sfałszowany?

Pewnym paradoksem jest, że kradzieże oryginalnych leków nie są dla pacjentów tak groźne jak sprzedaż medykamentów podrabianych. Bądź co bądź do nabywcy trafia produkt, w którym znajduje się substancja czynna, na dodatek najczęściej w takiej ilości, w jakiej powinna być. Lek wykradzony z fabryki nie różni się zazwyczaj niczym od produktu, który trafił do legalnego obiegu i przebył drogę z fabryki do hurtowni, a następnie do apteki. Z jednym wszak zastrzeżeniem. Otóż niektóre medykamenty wymagają przechowywania w szczególnych warunkach, np. w określonej temperaturze. W przypadku leków kradzionych ten określony przez producenta standard zazwyczaj nie jest zachowany i lek, który powinien przez cały czas znajdować się w temperaturze nie wyższej niż 4 st. C, leży np. w nasłonecznionym koszu na bazarze.

Tymi, którzy na kradzieżach leków tracą najwięcej, są producenci. Ci jednak wolą nie zgłaszać procedury służbom. W niektórych miejscach ze strachu przed bandytami. W innych – w obawie o konsekwencje wizerunkowe. Najczęściej zaś po prostu menedżerowie uznają, że wystarczy wyrzucić złodziei z pracy. A szkody z punktu widzenia przedsiębiorcy są niewielkie – ot, w ostateczności wystarczy podkręcić śrubę uczciwie pracującym i wyprodukować o kilka procent opakowań więcej. ©



O tym, że do kradzieży z fabryk farmaceutycznych dochodzi także w Polsce, nasi rozmówcy mówili nam od dawna. Teraz jednak zdobyliśmy na to dowody

Eliza Sarnacka-Mahoney, korespondencja z USA

Dzień słoneczny, bez opadów, temperatury do 5 st. Celsjusza. Kolejny front arktyczny spodziewany w połowie weekendu. Prawdopodobieństwo kryzysu energetycznego jak w Teksasie: na szczęście bardzo niskie – tak w piątkowy poranek 19 lutego mówił do mnie z telewizora lokalny meteorolog ze stacji telewizyjnej CBS Denver.

I nie odmówił sobie przyjemności przypomnienia, że jesteśmy szczęściarzami, bo mieszkamy w stanie Kolorado, któremu zimy niegroźne. Polarny żywioł sprzed tygodnia, który tak mocno doświadczył pobliski Teksas, także i nam sprezentował 30-stopniowe mrozy, ale prąd był, woda w kranach również, ulice pozostały przejezdne, bo je odśnieżano, nawet szkoły, które właśnie wznowiły naukę, pozostały otwarte. Najwięcej „ofiar” było wśród rur, ale w starych i nieremontowanych budynkach. W Kolorado od lat obowiązują przepisy o ocieplaniu instalacji, by można było na nich polegać bez względu na pogodę.

Tak więc niedawne zapowiedzi zbliżającej się potężnej śnieżycy pewnie w ogóle nie zrobiłyby na mnie wrażenia, gdyby nie wieści, że zima ma dotrzeć nawet do Houston i Nowego Orleanu – a zakopany w śniegu Teksas i oblodzona Alabama to nie są obrazki, które zbyt często się ogląda. Władze południowych stanów potraktowały ostrzeżenia poważnie i już od połowy przedwalentynkowego tygodnia apelowały do mieszkańców o zrobienie zakupów i pozostanie przez weekend w domu. Ale ludzie podchodzili do tych informacji różnie. – Słyszałam, że spadł kiedyś śnieg i nawet zamknęły szkoły, ale czy to naprawdę była zima? – powątpiewała 19-letnia Ella Stecklein w rozmowie z reporterem telewizji KPRC 2 News w Dallas. Frank Billingsley, meteorolog tej stacji, w czwartek 11 lutego pokazywał widzom scenariusze pogodowe przygotowane przez synoptyków z USA i Europy. – Trzymajmy kciuki, by to Europejczycy mieli rację, bo zwiastują nam tylko jeden dzień mrozu w powalentynkowy poniedziałek – zwracał się do widzów.

Ale potężna burza śnieżna zadrwiła z wszelkich prognoz – i nikt w Teksasie nie był gotowy na to, co się wydarzyło. Na to, że przy kilkunastostopniowym mrozie miliony ludzi pozostaną bez prądu i wody, że będą zamarzać we własnych domach. Ze przestaną pracować szpitale, a sklepy wyprzedzą żywność. I że ta dramatyczna sytuacja potrwa nie kilka godzin, nawet nie jeden dzień, ale prawie tydzień.

Z pustego nikt nie należy

– Żyjemy. Tylko wciąż nie wierzę, że to wszystkim dzieje się naprawdę – mówi mi Owen Unangst, gdy udaje mi się do niego dodzwonić po południu w piątek, 19 lutego. To sąsiad, który dwa tygodnie temu pojechał z żoną do Austin w Teksasie, by pomóc dzieciom opiekować się małym wnukiem. – Prądu nie ma, to już szósty dzień z rządu, ale podobno w końcu mają włączyć wodę. Tylko nie wiem, czy nas wtedy nie zaleje, bo mogły popękać rury – opowiada. Uspokaja, że wodę do picia ma. – Jeszcze w niedzielę tknęło mnie przecucie i kupiłem na zapas 40-litrowy baniak. Na szczęście nie odcięli nam gazu, więc można się i ogrzać, i upichcić coś ciepłego, i stopić w garnku śnieg, by było czym spuszczać wodę w ubikacji. Ale od tygodnia żadne z nas nie brało pryszniców – dodaje.

Gdy pytam, jakie rzeczy wstrząsają nim najbardziej, opowiada: – Po pierwsze, wypadki na drogach. Teksas nie ma sprzętu odśnieżającego, po prostu nic, czym zwykłe drogowcy walczą z zimą, więc ulice i chodniki są nieodśnieżone i oblodzone. Po drugie, ludzie opatuleni w koce i kołdry, stojący w kilometrowych kolejkach przed sklepami i pompami z wodą. Jest pandemia, więc wszystko robi się jeszcze trudniejsze niż normalnie, a czekanie na mrozie się przedłuża, bo w sklepach obowiązują limity klientów. I po trzecie, pożary. Wczoraj zginęła kolejna dwójka ludzi, bo w domu zapalił się im grzejnik. Ale dramat i w tym, że straż pożarna ma do dyspozycji tylko zapas wody, który przywozi ze sobą w wozi. Hydranty przecież nie działają – mówi.

Gdy w końcu pytam, jak ocenia reakcję stanowych władz na katastrofę, dopytuje,



Zawsze sam

Teksas nie zostałby tak ciężko doświadczony przez atak zimy, gdyby nie jego niechęć do wszystkiego, co wspólne i federalne

o co mi chodzi. Bo, zaznacza, jeśli chodzi o gubernatora Grega Abbotta, broniącego nacierzy, to już stracił nerwy i nie chce na ten temat nic więcej słyszeć. – Realna pomoc jest minimalna, bo z pustego nikt nie należy. Szpitale, przychodnie i ośrodki pomocy społecznej – wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Nikt prądu nie wyczaruje, bo go nie ma. Czy to nie ironiczne, że największy producent energii w kraju nie jest w stanie zapewnić jej własnym mieszkańcom? – kończy Owen.

Rząd to wróg

Dlaczego arktyczny cyklon tak zdewastował Teksas, zaś nie poczynił spustoszeń w sąsiednich Arkansas, Luizjanie czy Missisipi? Odpowiedź jest prosta, choć nie znaczy, że łatwa do zaakceptowania. Teksas zapłacił cenę za to, że jako jedyny w kontynentalnej części USA nie należy do krajowej sieci energetycznej – stan posiada własną i sam nią zarządza. Katastrofa energetyczna oraz humanitarna, której doświadczył, jest wynikiem systemowych zaniedbań.

Przyczyn, dlaczego Teksas chce pozostać niezależny i samowystarczalny, należy szukać w wydarzeniach sprzed 200 lat. Stał się częścią unii w 1845 r., lecz zanim to nastąpiło, po oderwaniu od Meksyku w 1836 r. był niezależnym państwem. Meksyk nigdy go nie uznał, zaś wejście w skład USA potraktował jako kradzież, która stała się zarzewiem wojny z lat 1846–1848. Lecz nie wojna jest tu ważna, ale idea niezależności. Ten pomysł pojawił się wśród białych osadników, którzy ścigali w tę część Ameryki, bo chcieli tu stworzyć bawelniane imperium. Był tylko jeden problem – potrzebowali niewolników, a Meksyk w 1829 r. ogłosił abolicję. Po przegranej przez Meksyk wojnie (stracił Teksas i tereny dzisiejszej Kalifornii, Nowady, Utah, Arizony, Nowego Meksyku, Kolorado oraz Wyoming) zaczęto sprowadzać niewolników do Teksasu, a bawelniana ekonomia kwitła. Niewiele ponad 20 lat później Teksas jako stan konfederacki odegrał kluczową rolę w wojnie secesyjnej. Ale nie pogodził się z jej wynikiem, zaś w odpowiedzi na abolicję w Teksaszczykach zaczął budzić się duch nacjonalizmu i izolacjonizmu. A wraz nim przeświadczenie, że

rząd federalny jest wrogiem. Model rynku energetycznego (i nie tylko), jaki ukształtował się w tym stanie, jest efektem właśnie tego przekonania.

W 1935 r. Kongres ustanowił Federal Power Act – ustawa powoływała do życia dwie krajowe sieci elektroenergetyczne: wschodnią oraz zachodnią, ich granicą były Góry Skaliste. Teksas do nich nie przystąpił i pozostał przy własnej, znanej dziś jako ERCOT (Electric Reliability Council of Texas). Dlaczego? Po pierwsze, bo jako największy producent energii w kraju (dziś odpowiednio 41 proc. i 25 proc. amerykańskiego wydobycia ropy i gazu) założył, że bez problemu pokryje własne zapotrzebowanie i nigdy nie będzie potrzebował pomocy. Po drugie, nie miał zamiaru oddawać nikomu nic za darmo, choćby w ramach transferów rezerw w przypadku awarii. Po trzecie, najważniejsze, nie chciał przyjmować federalnych regulacji, co musiałby zrobić, gdyby włączył się do krajowej sieci.

Do lat 90. XX w. rynek energii w Teksasie funkcjonował podobnie jak w innych częściach kraju, tylko w mniejszej skali: podzielony był między kilku głównych dostawców, a interes konsumenta chroniły ustawy regulujące ceny i sposób przesyłania prądu. Jednak gubernator George W. Bush (przyszły prezydent) był otwarty na sugestie przyjaciół nacierzy – szczególnie szefa nieistniejącego dziś Enronu, który w 2001 r. zbankrutował na skutek kreatywnej księgowości – by rynek sprywatyzować. Oficjalnie dla dobra konsumenta, bo wszak walka o klienta oznacza niższe ceny. Nieoficjalnie chodziło o coś innego. Enron nie był pierwszym, choć z czasem stał się największym koncernem sektora usług energetycznych – ta branża dostrzegła, iż bycie pośrednikiem między producentem a nabywcą energii generuje zyski większe niż zwykła marża producencka.

Stanowe władze zatwierdziły prywatyzację w 1999 r. Od tej pory mieszkańcy Teksasu mogli wybierać między dziesiątkami dostawców i najróżniejszych taryf. Ci, którzy zużywali mało energii lub zużywali w najmniej popularnych godzinach, mogli liczyć na ceny nawet o połowę niższe niż w pozostałych częściach



Front arktyczny Uri sparaliżował Teksas na prawie tydzień. Padła sieć energetyczna i wodociągowa. Z powodu mrozów i zaccadzeń zmarło prawie 80 osób

Dot. Montinique Montreux/Getty AP/EAST NEWS

kilku regulacji, w tym o obowiązku konserwacji sieci.

– Podstawą pracy naszych energetycznych planistów pozostają przestarzałe, nieaktualne w dobie globalnego ocieplenia modele pogodowe. Nie przewidują one mrozów, dlatego są świetną wymówką, by nic nie robić – wyjaśnia prof. Michael Webber, ekspert energetyczny z Uniwersytetu Teksasu w Austin. – Bardziej od ignorancji boli jednak fakt, że tegoroczna katastrofa nie przyszła bez zapowiedzi. Mieliśmy do niej przymiarę – dodaje.

Webber nawiązuje do awarii sieci z początku lutego w 2011 r. Wówczas nad Teksasem także przetoczył się potężny front arktyczny. Mróz trzymał przez trzy dni i by uchronić system przed zapaścią, wprowadzono rolling blackouts, czyli rotacyjnie odłączano prąd na oddalonych od siebie obszarach. Przerwy nie trwały nigdzie dłużej niż godzina, traf jednak chciał, że zbliżał się finałowy mecz o mistrzostwo NFL, który odbywał się w Dallas, a to najważniejsze sportowe wydarzenie w USA. Zakłócenia w komunikacji, w tym lotniczej, sprawiły, że wielu fanów nie zdołało dotrzeć na stadion, co spotęgowało społeczne oburzenie i żądania wyjaśnień, co dokładnie spowodowało awarię.

Raport zamówiony przez Teksas w Federalnej Komisji Regulacji Energetyki (Federal Energy Regulatory Commission) i Północnoamerykańskiej Korporacji ds. Stabilności Energetycznej (North American Electric Reliability Corporation) wskazywał, że teksańska sieć musi zostać przygotowana na skrajne warunki pogodowe. Niestety, zamiast do stanowej legislatury, raport powędrował do szuflady. Remont z funduszy publicznych wymagałby podniesienia podatków, co każdy szanujący się teksański polityk uważa za przestępstwo z gatunku łamania praw człowieka. Z kolei zmusić przedsiębiorców, by wyłożyli własne pieniądze, mogłyby tylko regulacje prawne, a te narzuca zniechęcający Waszyngton. Oba rozwiązania były więc nie do przyjęcia.

Po awarii w 2011 r. ERCOT przeprowadził także własną ocenę stanu sieci oraz sporządził listę wytycznych, co i jak zabezpieczyć. Ale dokument przedstawiono w formie rekomendacji, do których zainteresowane podmioty gospodarcze mogą, lecz nie muszą się stosować.

Koniec z tym

Jest wtorek, 23 lutego, tydzień po ataku mrozów. Obrazek amerykańskiego połu-



Można się spodziewać, że gdy Waszyngton i w tym roku zapłaci za ratunek, kolejne apele oraz raporty podzielą los poprzedników. I tak w nieskończoność, od klęski do klęski. O, nie. Teksas musi wreszcie zacząć płacić za swoje wybory! – pisał rozeźlony komentator dziennika „Star Tribune”

dnia zmienił się nie do poznania. Temperatury w Teksasie poszybowały do 20 stopni na plusie, wszędzie trwa odwilż. Z nielicznymi wyjątkami prąd, gaz i woda wróciły do wszystkich gospodarstw domowych.

Na skutek wychłodzenia bądź zaccadzenia zginęło prawie 80 osób, setki trafiły do szpitali. Uszkodzenia sieci kanalizacyjnych oraz wodnych są tak rozległe, że ciągle prawie 15 mln mieszkańców stanu musi gotować wodę przed jej użyciem do celów spożywczych. Okazało się też, że w najczarniejszej godzinie to wolontariusze przejęli na siebie odpowiedzialność za pomoc potrzebującym. Opowieści o kościołach i salach gimnastycznych zmienianych w garkuchnie czy kierowcach krążących po mieście, by wyłuskiwać z namiotów zamarzających bezdomnych, dominują we wszystkich lokalnych mediach.

Włodarze Teksasu spędzili większą część dramatycznego tygodnia, urządzając polowanie na czarownice i szerzenie dezinformacji. Gubernator Abbott do dziś szuka głównych „winiących” wśród producentów energii odnawialnej – twierdzi, że wiatraki zamarzły, stąd dramatyczna przerwa w dostawach prądu. Za nic ma dane, z których wynika, że farmy wiatrowe generują około jednej piątej stanowej energii. Nie zdementował też, choć uczynił to wszystkie teksańskie media, fake newsa puszczanego w obieg przez Alexa Jonesa z serwisu Info Wars o tym, że za katastrofę energetyczną odpowiada

prezydent Joe Biden. W przeddzień ataku zimy rzekomo zabronił Teksasowi pozyczać energię od sąsiadów i nie podpisał zgody na udzielenie mu pomocy federalnej. W istocie Biden podpisał pakiet pomocowy 14 lutego i objął nim wszystkie poszkodowane terytoria. Zaś za faktem, iż Teksas nie mógł od nikogo pożyczyć prądu, stoi jego niezależność energetyczna.

Wreszcie katastrofa zmusiła statystycznego zjadacza chleba w Teksasie do refleksji, czy energetyczna polityka stanu rzeczywiście mu służy. Odpowiedzi na to pytanie szukają zwłaszcza ci, którzy nie doświadczyli przerw w dostawach prądu, a za to z dnia na dzień ich rachunki podskoczyły z 26 dol. za megawatogodzinę (MWh) do prawie 9 tys. dol. – i teraz muszą zapłacić nawet po kilkanaście tysięcy dolarów. Wszyscy ci szczęśliwcy odbywają przyspieszony kurs teksańskiej ekonomii i ze zdumieniem odkrywają, że w chwili największego zapotrzebowania dostawca energii może od nich zażądać nawet kilkaset razy więcej, bo tak działa rynek, na którym nie obowiązują żadne ograniczenia.

Czy znaczy to, że w najbliższej przyszłości Teksas w końcu posłucha ekspertów i zastosuje się do ich rad, może nawet połączy swoją sieć z resztą kraju? Michael Webber jest zdania, że tak. – Skala dewastacji jest tym razem po prostu zbyt wielka, by można było znów na wszystko machnąć ręką. To będą powolne zmiany, ale nie wątpię, że w końcu się zaczną – mówi.

Nie wszyscy jednak są optymistami, zwłaszcza mieszkańcy innych stanów. Ci patrzą na katastrofę w Teksasie i widzą w niej przede wszystkim kolejną wpadkę, której można było uniknąć. „Dlaczego reszta kraju ma wciąż płacić za politykę podatkową Teksasu i wynikające z niej zaniedbania?” – grzmiał w czwartek 18 lutego Tom Harner w komentarzu dla dziennika „Star Tribune” z Twin Cities w Minnesocie. Harner przypomniał, że Teksaska Komisja ds. Sektora Użyteczności Publicznej (Texas Public Utility Commission) już 30 lat temu, w 1989 r. rekomendowała bezzwłoczną inwestycję w zabezpieczenie stanowej sieci elektroenergetycznej przed atakami zimna, tylko że tradycyjnie te przestrogi zlekceważono. „Można się spodziewać, że gdy Waszyngton i w tym roku zapłaci za ratunek, kolejne apele oraz raporty podzielą los swoich poprzedników. I tak w nieskończoność, od klęski do klęski. O, nie. Teksas musi wreszcie zacząć płacić za swoje wybory!” – zaapelował rozeźlony komentator. ©

TEKST PROMOCYJNY

PANORAMA GOSPODARCZA

Walka z pandemią COVID-19

Walka z COVID-19 wymaga interdyscyplinarnego podejścia i zaangażowania nie tylko lekarzy, ale też socjologów, psychologów, ekonomistów, politologów, a przede wszystkim ludzi uczciwych, działających dla dobra społeczeństwa. W Instytucie Immunologii i Terapii Doświadczalnej im. Ludwika Hirszfelda PAN naukowcy prężnie pracują nad aktualnymi zagrożeniami. Rozmowa z Dyrektorem Prof. dr hab. Andrzejem Gamianem.

Nad czym obecnie Państwo pracują, co jest teraz priorytetem?

Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej im. Ludwika Hirszfelda PAN został utworzony 1952 roku, wtedy poważnymi chorobami były takie schorzenia jak czerwonka, kiła czy gruźlica. Jednym z podstawowych wyzwań Instytutu są zagadnienia społecznej medycyny. W obecnym czasie pracujemy nad szczepionką przeciwko SARS-COV-2 opartą na kilku innowacyjnych obserwacjach.

W swojej pracy skupiamy się nad różnymi grupami zagadnień. Immunologia probiotyków to obecnie jeden z głównych profili badawczych Instytutu.

Probiotyki to żywe, pożyteczne dla naszego organizmu bakterie i drożdże, które współdziałają z układem pokarmowym. W organizmie są zarówno dobre bakterie, jak i te złe – probiotyki zaliczają się do tych pierwszych. Najbardziej znane probiotyki to bakterie kwasu mlekowego. W centrum naszych zainteresowań znajduje się także immunologia promieniowców, czyli grupy drobnoustrojów, których spora część to bakterie, znajdujące się w pożywieniu. Do grupy tej należą również patogeny, wywołujące groźne choroby ludzi i zwierząt. Laboratorium Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej im. Ludwika Hirszfelda PAN zaliczane jest do laboratoriów referencyjnych w naszym kraju. Zajmujemy się nietypowymi gruźlicami czy promienicami, które są znacznie niedoszacowane.

W Instytucie prowadzimy także badania nowotworów, mechanizmów przerzutowania, nad immunologią nowotworów, lekami przeciwnowotworowymi oraz innymi aspektami tych chorób: profilaktycznymi, diagnostycznymi i terapeutycznymi. Wczesne wykrycie raka daje chorym szansę na całkowite wyliczenie, a przynajmniej znacznie dłuższe życie. Niepokojące symptomy pojawiają się zwykle wtedy, gdy choroba jest zaawansowana, guz się rozrasta lub pojawiają się przerzuty do innych tkanek i narządów. Kolejna ważna metodologia, która jest rozwijana w Instytucie to glikobiologia. Jest to metodologia badań cukrów i cukrowców oraz powiązań cukrów z innymi cząsteczkami. To stale rozwijająca się dzie-

dzina, która odgrywa ważną rolę w badaniach medycznych, biochemicznych i biotechnologicznych. Kilkanaście laboratoriów, które stosują ową metodologię stanowią chlubę Instytutu. Badania te wymagają odrębnego warsztatu oraz wiedzy naukowców. Stosujemy tę metodologię jako jedni z nielicznych na świecie!

Proszę opowiedzieć o projekcie dot. Clostridium difficile.

Bakterie Clostridium difficile są jedną z najczęstszych przyczyn rzekomobroniowego zapalenia jelit, poważnego schorzenia spowodowanego nadmiernym namnożeniem C. difficile w świetle jelita grubego. Choroba ta dotyka wielu osób. Przyczyną jest stosowanie antybiotykoterapii, wtedy przewód pokarmowy jest wyjątkowo, a C. difficile zaczyna się namnażać. Dochodzi wtedy do perforacji jelit, czego skutkiem może być śmierć pacjenta. W rozmowach z lekarzami okazało się, że jest to bardzo poważny problem i groźna choroba. Niestety antybiotyki okazują się mało skuteczne przy eliminowaniu tego drobnoustroju. Leczenie jest skomplikowane, wymaga ścisłej izolacji, dlatego pracujemy nad szczepionką i lekiem, który pomoże chorym.

Jak pandemia wpłynęła na państwa prace?

Stanowiła poważne wyzwanie, pozytywną stymulację do działania, od razu powstał zespół wraz z laboratorium diagnostyki COVID-19. Codziennie wykonywa-



ne są testy metodą PCR. Z sukcesem utworzyliśmy zespół składający się z 10 grup wybitnych fachowców w swoich dziedzinach, którzy pracują na światowym poziomie. Staramy się opracować prototyp szczepionki przeciwko wirusowi SARS-COV-2, którą będzie można modyfikować w odpowiedni sposób na wypadek, gdyby wirus mutował.

Czy Pana zdaniem warto się szczepić?

Warto się szczepić, aby przetrwać epidemię. Szczepionki są w pełni bezpieczne i skuteczne. Wejście na rynek każdej z nich wymaga spełnienia wielu wysokich standardów wypracowanych przez kraje Unii Europejskiej.

- Augustyna Szczepańczyk

www.panoramagospodarcza.pl

SAPANIE TO ŻYCIE

Ile razy pani zasnęła w sposób niekontrolowany? Ja tysiące. Non stop mi się to zdarza. A jemu to się **nie może nigdy zdarzyć**

Z Magdą Hueckel i Tomaszem Śliwińskim rozmawia Magdalena Rigamonti

Sapie?

MAGDA HUECKEL (MH): Sapie.

I tak do końca życia takie sapanie...

TOMEK ŚLIWIŃSKI (TŚ): O, tak mówiłem w filmie.

Dlatego przypominam.

MH: I wtedy ja na to: oj, zobaczysz, nie będzie tak.

Pamiętacie swoje kwestie sprzed 10 lat?

MH: To nie kwestie. Tak wyglądały nasze rozmowy.

Nie graliście w tym filmie?

MH: Nic nie graliśmy. Najgorsze dla mnie jest to, kiedy czuję swój własny fałsz i zakrywam się nogami ze wstydu. W „Naszej kłątwie” go nie wyczuwam.

TŚ: Czytałem komentarze, że mieliśmy napisane dialogi.

MH: Albo że siedzimy i chlejemy.

TŚ: Emocje były tak duże, że po pięciu minutach zapominaliśmy o kamerze. Wprowadziliśmy zasadę, że staramy się nie rozmawiać wcześniej. Jeśli coś się wydarzyło w szpitalu, omawiamy to dopiero wieczorem w domu przed kamerą. Wszystko po to, żeby było naturalnie, żeby nie odgrywać scen. Bliscy znajomi, którzy potem oglądali ten film, mówili, że w „Naszej kłątwie” to jesteśmy my, bez udawania.

Gdzie on jest?

MH: Leo?

TŚ: W szkole. W trzeciej klasie.

Z respiratorem?

MH: Ma stymulator nerwu przepony.

Widać to?

MH: Widać.

Sapie?

TŚ: Jak się to podłącza, to sapie, ale inaczej niż z respiratorem. Ma wszczepione dwa krążki pod skórę, do których podpina się takie anteny. One wysyłają sygnał, który powoduje skurcz przepony.

Potrafi to obsługiwać?

MH: Sam mnie kiedyś zawołał, czy mogę go nauczyć obsługi tego sprzętu, bo co będzie, jak wyjdę do sklepu i nie wrócę. Miał siedem lat.

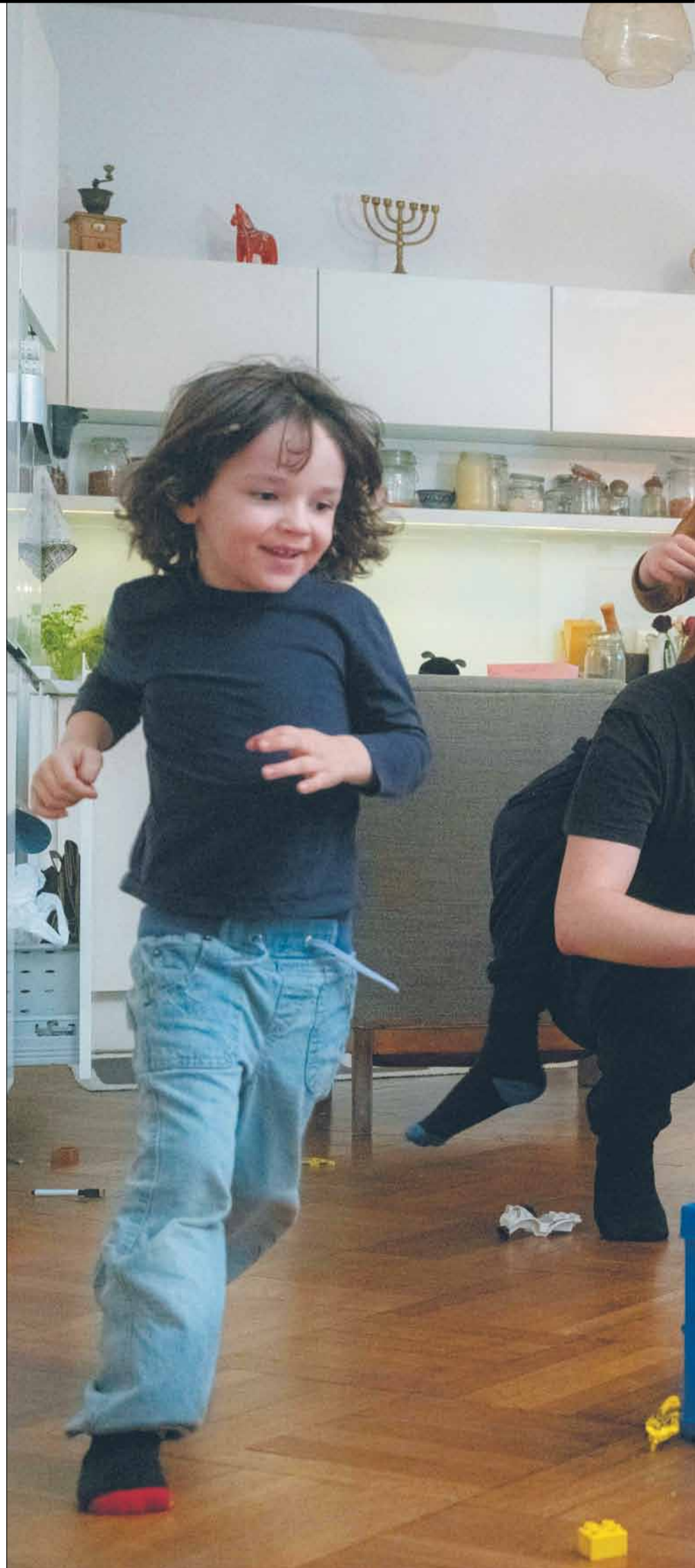
TŚ: Nie wiem, co tam w jego głowie się umyśliło. Właśnie dzięki temu sprzętowi Leo chodzi do szkoły. Nie potrzebuje stałego opiekuna przy sobie.

MH: W razie czego nauczycielka w szkole poradzi sobie z tym urządzeniem.

TŚ: Leo ma to w plecaku. Jego problemy z oddychaniem nie są tylko w trakcie snu, ale też w momencie braku aktywności albo wtedy, kiedy organizm skupia się na walce z jakąś infekcją.

Ile kosztuje?

MH: Z pół bańki razem z operacją.



Magdalena
i Maksymilian
Rigamonti



Państwo płaci?

MH: Nie. Trzeba sobie kupić samemu. Będziemy dokładali starań, żeby państwo refundowało, żeby to się odbywało w Polsce. Na razie państwo refunduje respirator i tracheotomię, co ratuje życie.

TŚ: Ale jest to dużo gorsza jakość życia. Chcielibyśmy, żeby wynaleziono na tę chorobę lek.

W Polsce ktoś próbuje?

MH: W kilku laboratoriach na świecie próbują. We Francji, we Włoszech, w Izraelu i w Stanach. W Polsce nie ma na razie badań. Ale staramy się, żeby były. Zbieramy pieniądze. Organizujemy koncert, wydajemy płyty. 18 mln euro na to potrzeba, czyli

ok. 72 mln zł. Wiem, że te pieniądze są, wiem, jak te pieniądze się przejada. Z drugiej strony zdaję sobie sprawę, że trudno jest zbierać kasę na badania, bo to abstrakcja. Za tą abstrakcją stoi 1,3 tys. osób na świecie. I ich wolność.

Słuchałam tych utworów. Pierwszy zaczyna się sapaniem, dlatego rozmowę zaczęłam od sapania.

MH: Dla nas sapanie to życie. Oby zawsze było. Oby kiedyś zamieniło się w naturalny oddech.

Ilu w Polsce jest ludzi z kławą Ondyny?

MH: Wiadomo o około 30. Choć pewnie jest więcej, bo przyspiesza diagnostyka, rów-



fot. Maksymilian Riganonti

niez dzięki temu, że o tym mówimy. Sporo osób też jest w programach wentylacji domowej, choć bez diagnozy. Mają respirator, ale nie wiedzą, co im jest. Mówi się, że w 2028 r. lek ma szansę wejść na rynek.

Na 18. urodziny państwa syna.

MH: Byłoby jak znalazł. Wszystko się może po drodze wydarzyć, ale nadzieja jest.

TŚ: Te dwie płyty to muzyczna historia przechodzenia przez kłątę Ondyny, przez jedną noc, od momentu położenia dziecka spać.

MH: To proces, opowieść o zejściu na dno, odbiciu się od niego i o nadziei. W tej muzyce jest zaklęta niemal fabularna opowieść.

TŚ: Której punktem wyjścia jest klasyczna kołysanka, czyli położenie dziecka do snu.

MAGDA HUECKEL

artystka fotograf, artystka wizualna, scenografka, podróżniczka. Współtwórczyni krótkometrażowego filmu dokumentalnego „Nasza kłątwa” nominowanego w 2015 r. do Oscara. Współautorka projektu muzycznego „Ondinata. Pieśni dla Ondyny” (ONDINATA.COM)

TOMASZ ŚLIWIŃSKI

reżyser i scenarzysta. Reżyser filmu dokumentalnego „Nasza kłątwa” nominowanego w 2015 r. do Oscara. Współautor projektu muzycznego „Ondinata. Pieśni dla Ondyny” (ONDINATA.COM)

MH: Ondynowe dzieci do snu kołyszą dźwięki respiratorów.

TŚ: Zaprośmy wielu artystów, wielu się zgłosiło samych.

MH: To jak kula śniegowa. Mam nadzieję, że teraz muzyka jako narzędzie do zdejmowania kłątwy okaże się skuteczna.

Przez lata zdejmowaliście kłątwe filmem.

MH: Czasem słyszę, jak ktoś mówi, że film widział o takiej dziwnej rzadkiej chorobie, że z niego wie o kłątwie.

„Kłątwa” to straszna nazwa na chorobę.

TŚ: Pamiętam, jak po nominacji do Oscara Amerykanie mieli do nas pretensje, że mówimy o tej chorobie „kłątwa On-

dyny”. Oni używają oficjalnej medycznej nazwy CCHS.

MH: Kiedyś słowo „kłątwa” też funkcjonowało, teraz tam obowiązuje poprawność.

TŚ: Jednak kiedy obejrzą nasz film, to zrozumieją.

MH: Zresztą gdybyśmy używali nazwy CCHS, nikt by tego nie zapamiętał.

TŚ: Przestaniemy mówić „kłątwa Ondyny”, jak będzie lekarstwo, jak już nasze dziecko przestanie być cały czas na granicy życia i śmierci.

On wie, że jest na tej granicy?

TŚ: To jest sztuka, jak z nim rozmawiać, żeby czuł powagę tematu, ale jednocześnie nie był nią przerażony. Wie, że nie może zasnąć.



Nie widzę sensu w umartwianiu się, w samobiczowaniu. Trzeba robić tak, żeby się cieszyć z tego życia. Pamiętam, jak te proporcje się zmieniały. Kiedy urodził się Leo, wszystko było czarne. Rozpacz to była. Aż zaczęły się pojawiać miłe chwile

MH: Czekaliśmy na jego pytanie: co będzie, jak zasną. Zapytał, kiedy byliśmy na wakacjach w Afryce. Cudowny dzień, palmy, plaża, zachód słońca. Myślę, że musiał mieć do tego sielskie warunki.

„Co będzie, jak zasną, mam?” Tak zapytał?

MH: Tak. Najtrudniejsze pytanie.

„Umrzesz, synku” – tak pani odpowiedziała?

MH: Mhm.

Łzy?

MH: Nie. Byłam jak skała. Albo jak z jakiejś stali. Tylko łożądek ściśnięty. Chyba już nie płacze. Czasem może.

Widział „Naszą kłątwe”?

MH: Jak był mały. Teraz, kiedy już jest bardziej świadomy – nie.

Kiedy mu pokażecie?

MH: Kiedy będzie chciał. Na razie nie wychodzi z tą inicjatywą.

Nic pan nie mówi.

TŚ: Wydaje mi się, że nie myślę o tym, że każdy sen, każda noc to jest granica życia i śmierci.

MH: A ja myślę. Ostatnio często.

TŚ: OK, myślę, ale nie każdej nocy.

MH: Może ostatnio mam taki czas, że myślę, że on w każdej chwili...

Może przestać oddychać?

MH: Mhm. Że coś pójdzie nie tak.

TŚ: To jest na innej warstwie. To nie jest oswojenie się z tą perspektywą.

MH: Tego się nie da oswoić.

TŚ: Można sprawić, że to nie paraliżuje.

Jest cały czas zimny chuch strachu na karku – tak mam to rozumieć?

MH: Jest.

TŚ: Bardziej smutek.

MH: Ja czasem czuję ten chuch. Nagle podmuchy nawet. Czy aby na pewno go dobrze podłączyłam. Myślę, że każdej nocy wstajemy po trzy razy sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wyje alarm.

Bo coś się przekrzywiło, odłączyło?

MH: Bo spada saturacja, bo trzeba zmienić pozycję, poprawić anteny, zmienił baterie.

TŚ: Czasem się budzę, bo jest cisza. I myśl, czy on jest podłączony, czy wszystko OK. Nie chcę więcej mówić, bo nie chcę, żeby czuł się obciążony.

MH: Nie chciałabym, żebyś tak mówił.

TŚ: Wróć, chodzi o to, żeby on był pewien, że nas nie obciążył.

MH: Żeby nie czuł się winny.

TŚ: Żebyśmy się czuli, że go wychowaliśmy bez obarczania traumą. Żeby ta nasza trauma nie przechodziła na niego. Nie chcemy, żeby ta choroba go definiowała. Choroba to tylko jeden z elementów. Jedni mają alergię, drudzy celiakię, a on ma maszynę do spania.

MH: Która go ogranicza. Nie pójdzie na tak zwane nocowanki do kolegów. W każdym wieku będzie pojawiać się coś nowego.

TŚ: Wyjazdy szkolne były problemem. Na szczęście udało nam się to wszystko zorganizować. Jadę incognito, jestem w hotelu obok i na noc go zabieram. Ma swoją piżamę i szczotkę do zębów w pokoju z dziećmi i gdy wszyscy idą spać, zabieram go w tej piżamie. A rano przed pobudką odstawiam.

Dzieci z klasy o tym wiedzą?

TŚ: O chorobie wiedzą. O tym, że znika na noc podczas wycieczek i nie śpi z nimi w pokoju, też wiedzą. Ale nie spotykają mnie podczas tych wyjazdów. Nie funkcjonują tam jako rodzic, chcą dać mu wolną przestrzeń i samodzielność.

MH: To jest do czasu. Gdy się ma 10 lat, to dzień jest atrakcją, ale przychodzi moment, kiedy impreza jest nocna. Wtedy będzie trochę trudniej.

TŚ: Znamy nastolatków z kłątwą Ondyny.

MH: Nie mogą pić alkoholu. Żadnych używek. Bo nie wiadomo, jak organizm zareaguje.

TŚ: To, że te dzieci są chore, zostało im powiedziane. Nie widać po nich.

MH: I niby wszyscy, którzy nas znają, wiedzą, że nasz syn choruje na taką nietypową chorobę, że nie może zasnąć bez maszyny, bo umrze, to i tak zdarzają się dziwne sytuacje. Mieliśmy iść sami w góry. Z Leo miała zostać koleżanka, która już nie raz to robiła. I jeszcze nasz kolega. Przed wyjściem powiedziała odruchowo: żeby tylko nie zasnął. A kolega na to: ano tak, bo potem będzie dokazywał wieczorem.

Ludzie zapominają.

MH: Zapominają, bo widzą zdrowego, fajnego 10-letniego chłopaka, który ma tylko małą bliznę po tracheotomii.

TŚ: Mieliśmy dziesiątki takich sytuacji.

MH: Kiedyś mnie to wkurzało, teraz przywykłam. Z jednej strony jesteśmy otoczeni wieloma ludźmi, z drugiej żyjemy w samotności tej choroby. Nawet dziecko nie czuje, że jest chore. **TŚ:** Jak się odłączy respirator, to nie czuje, że jest coś nie tak. Nie zaczyna puchnąć ani się dusić, nie czuje, że jest mu ta maszyna potrzebna do życia. Dlatego często nastolatki kwestionują tę chorobę. Albo robią tak, żeby sprawdzić, potestować, być na granicy.

MH: Zасыpiają na trzy minutki i sprawdzają, czy coś się dzieje.

TŚ: Leo nam ostatnio zasnął w samochodzie.

MH: Dojeżdżaliśmy już do miejsca docelowego. Droga bez pobocza, kręta. I on mówi: chce mi się spać, chce mi się spać. „Leoś, oddychaj, nie zasypiaj, nie ma gdzie się zatrzymać, za minutę dojedziemy, wytrzymaj”. Kimnął na chwilę. Dojechaliśmy, a on: „Zasnąłem i nie umarłem”. I niestety to jest bardzo dobry komunikat dla niego, że zasnął i nie umarł. Niedobry dla nas. Znamy takie przypadki, że ktoś tak testował siebie. Ile raz pani zasnęła w sposób niekontrolowany? Ja tysiące. Non stop mi się to zdarza. A jemu to się nie może nigdy zdarzyć.

TŚ: Płytkie zaśnięcie może nic nie zrobić. No, ale wiadomo, że od płytkiego zaśnięcia do głębokiego snu jest krótka droga.

Przeżyłam poważny wypadek mojej córki, wiem, co to znaczy strach o życie.

MH: My ten strach mamy każdego dnia.

Cierpienie uszlachetnia?

TŚ: To jest nam wpajane. Cierpienie niepracowane nie uszlachetnia.

MH: Zabić może.

TŚ: Cierpienie w naszej kulturze ma być cnotą samą w sobie. Krzyż, który się niesie, musi ciążyć coraz bardziej i bardziej.

MH: Nie widzę sensu w umartwianiu się, w samobiczowaniu. Trzeba robić tak, żeby się cieszyć z tego życia. Pamiętam, jak te proporcje się zmieniały. Kiedy urodził się Leo, wszystko było czarne. Rozpacz to była. Aż zaczęły się pojawiać miłe chwile. Pierwszy raz się uśmiechnął, potem poszliśmy na spacer, potem wyjechaliśmy. Teraz też są momenty potwornie ciężkie, skrajnego zmęczenia, lęku o niego i smutku, ale nie skupiamy się na tym.

TŚ: To lekcja pokory wobec życia.

Niedawno zrobiliście państwo film o wchodzącym w dorosłe życie chłopaku chorującym na kłątwe Ondyny.

MH: Nie o naszym synu.

Wiem, w filmie mama jest sama, ojciec odszedł.

MH: Większość odchodzi.

TŚ: Matka zostawiana z chorym dzieckiem... **MH:** W wielu przypadkach ojciec odchodzi, bo matka wie lepiej. Nie dotykaj dziecka, nie ruszaj, bo ja wiem lepiej. I ten ojciec zostanie wypchnięty. Nie mówię o tym w kategoriach winy, mówię o pewnym mechanizmie, który się pojawia.

TŚ: Nie jestem pewien, czy cierpienie tę matkę uszlachetnia.

MH: Nie ja jestem pierwowzorem.

TŚ: Ta filmowa matka to wypadkowa historii matek chorych dzieci, które znamy. Opowiadamy o sytuacji, do której nigdy byśmy nie chcieli dojść.

MH: To opowieść o dziecku, młodym człowieku, którego zagrał Bartosz Bielenia, chorym na kłątwe Ondyny, który nie ma możliwości zerwania pępowiny i pójścia w świat.

TŚ: Matka uważa, że skoro tyle poświęca, to ma prawo trzymać dziecko przy sobie. Silna zależność.

MH: Niemal patologiczna zależność.

TŚ: My postanowiliśmy być we dwojkę kontra choroba. Często jest tak, że to matka bierze ten ciężar na siebie...

Pani wzięła większy ciężar?

MH: Był moment, że tak. Tomek kończył studia i byłam więcej z Leo. Ale potem to się wyrównało. Naszym na wielkim zaufaniu do siebie. Kiedy „Nasza kłątwa” zrobiła taki wielki sukces, Tomek podróżował po świecie. Dla mnie jednak było jasne, że gramy do jednej bramki.

Pani opisuje jakiś idealny świat. Sama mam dwoje dzieci, jestem matką kwoką, zagarniającą te dzieci...

TŚ: To proszę pomyśleć o matkach kwokach chorych dzieci, o tym, w jakim strachu żyją, jak się obwiniają za to, co się dzieje, że dziecko jest chore.

MH: Być może nie jestem reprezentatywną matką. Moje macierzyństwo zaczęło się od separacji. Cztery miesiące czekania. Leo w inkubatorze. Rzadko go brałam na ręce. Po trzech miesiącach nauczyłam się karmić piersią, co było moim największym życiowym sukcesem. To samo było przy drugim dziecku, bo w ósmym miesiącu ciąży miałam zdiagnozowanego raka piersi. I znowu separacja. Tomek zajmował się drugim synem, bo ja musiałam ratować swoje życie.

Film o sobie to miała być terapia?

MH: Gdyby nie film, to coś innego byśmy sobie znalazli.

TŚ: Poszedłem do szkoły filmowej wtedy, kiedy Magda była w ciąży z Leo.

MH: Musiałeś robić jakieś zaliczenia, etudy. **TŚ:** Zaczęło się od tego, że musiałem zrobić dwuminutowy film, którego tematem miała być rozmowa. Maciej Ślesicki, który prowadził te zajęcia, był bardzo restrykcyjny. Trzeba było wszystko oddawać w terminie. A my byliśmy cały czas w szpitalu, więc nagrałem to nasze życie w szpitalu.

MH: Nagrałeś, a Ślesicki powiedział: no tak, ja nigdy nie dostanę Oscara, a ty może dostaniesz.

TŚ: Mówił to w kontekście tego, że nie miałby odwagi tak prywatnej rzeczy przerabiać.

MH: Potem Łoziński to zobaczył.

TŚ: I powiedział: róbcie, macie taką sytuację, że to trzeba zrobić.

MH: Mieliśmy ciężką rozmowę w kuchni.

Czy odkrywać siebie, narażać się na zarzuty o ekshibicjonizm?

TŚ: Tak. Testowo nagraliśmy naszą rozmowę na kanapie. Ona jest w filmie.

MH: Przedtem robiłam dużo autoportretów. Miałam poczucie, że jak teraz się wycofam z autoportretu filmowego, to znaczy, że zakwestionuję swoją dotychczasową drogę. Stanęliśmy wobec czegoś, co jest totalne. Zrozumiałam, że to dla mnie też egzamin artystyczny z uczciwości.

TŚ: To było opiekowanie się chorym dzieckiem, a z tyłu głowy myślenie, jak o tym opowiedzieć.

MH: Kręciliśmy też sceny na OIOM-ie, gdzie wszystkie dzieci ledwie zipią. Oczywiście tam nie można było wchodzić z kamerą. I wszystkie matki jakoś zjednoczyły się z nami, żebyśmy ten film zrobili. Pilnowały, czy nie idą lekarze bądź pielęgniarki. A my filmowaliśmy.

Czuły, że będziecie mieć nominację do Oscara.

MH: Wszystkie były totalnie wkręcone. To była też dla nich odskocznia od udręki.

TŚ: Ten film też był taką odskocznia. Wyobrażaliśmy sobie siebie, jakbyśmy byli bohaterami filmu dokumentalnego.

Że to może jednak nie wy.

TŚ: Patrzyliśmy na siebie z boku, z dystansu.

Dużą część waszej kariery zbudowaliście na chorobie syna.

TŚ: To...

To jest obraźliwe?

MH: To, co wydarzyło się potem z tym filmem, dało mi wielką moc. Pamiętam, że jeszcze przed urodzeniem Leo miałam taki kryzys sztuki, kryzys nadprodukcji, że to, co robię, się nie komunikuje. Po naszym filmie zaczęły powstawać fundacje, które rozpoczęły zbiórkę na lek. Ba, pierwsze dziecko w Afryce zostało zdiagnozowane, bo ojciec dziecka gdzieś obejrzał nasz film. Wszędzie na świecie ruszyła diagnostyka. W Polsce zresztą podobnie. Zdałam sobie sprawę, że ten film realnie zmienia świat. Poczulałam, że mamy w rękach potężne narzędzie. I teraz z niego korzystamy. Nie pójdziemy do laboratorium i nie wynajdziemy leku, bo chemii będę się uczyła razem z Leo od siódmej klasy, ale poprzez sztukę możemy docierać do ludzi, komunikować się z nimi, szerzyć informacje, zbierać pieniądze i sobie pomagać w tym wszystkim.

TŚ: Myślę, że dzięki nam środowisko chorych na kłątwe Ondyny się zintegrowało, zaczęło głośno mówić o tej chorobie.

MH: Wcześniej ci ludzie byli poukrywani.

W waszym nowym filmie chłopak ukrywa swoją chorobę, jego matka też.

MH: Znamy takie przypadki. Znamy osobę, która jest prototypem postaci i cały czas ukrywa to, że kiedy zasypia, musi być podłączona do respiratora, bo inaczej umrze. Uważam, że traumę trzeba przetworzyć i wypluć.

TŚ: Wiedziałem, że dopóki nie zrobimy „Ondyny”, to się nie stanie. Samo to, że siebie w tym filmie unicestwiłem, świadczy o tym, że chcemy się już oderwać od autobiografii.

Trwa ósma edycja konkursu „Eureka! DGP – odkrywamy polskie wynalazki”, do którego zaprosiliśmy polskie uczelnie, instytuty badawcze i jednostki naukowe PAN. Do 18 czerwca w Magazynie DGP będziemy opisywać wynalazki nominowane przez naszą redakcję do nagrody głównej. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi na specjalnej gali 23 czerwca, zaś podsumowanie

tegorocznego cyklu ukaże się 25 czerwca w Magazynie DGP. Główną nagrodą jest 30 tys. zł dla zespołu, który pracował nad zwyciężkim wynalazkiem, ufundowane przez Mecenasa Polskiej Nauki – firmę Polpharma, oraz kampania promocyjna dla uczelni lub instytutu o wartości 50 tys. zł w mediach INFOR Biznes (wydawcy Dziennika Gazety Prawnej), ufundowana przez organizatora



MECENAS POLSKIEJ NAUKI



PARTNERZY MERYTORYCZNI



ORGANIZATOR

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

Dd lewej: dr Anna Nowaczek,
dr. hab Andrzej Puchalski,
prof. dr. hab Renata Urban-Chmiel,
dr. hab Renata Dec,
prof. dr. hab. Cezary J. Kowalski

także jest groźna sytuacja, bo wraz z pojawieniem się biegunki otwierają się wrota do kolonizacji przewodu pokarmowego przez szkodliwe szczepy bakterii – tłumaczy prof. Urban-Chmiel.

O jakich bakteriach mówimy? Głównie o Escherichia coli, która zasiedla także ludzkie przewody pokarmowe. Z wieloma szczepami tego gatunku mamy doświadczenia – pomagają nam w trawieniu, a także przyswajaniu niektórych składników odżywczych, w tym witamin B i K. Niektóre jednak produkują toksyny, które prowadzą do powstania chorób, a te – biegunek.

Podstawową metodą stosowaną przez lekarzy weterynarii w walce z bakteriami są antybiotyki. Ale nie tylko – w grę wchodzi również szczepienie. Jałówkom i krowom podaje się takie preparaty przed urodzeniem cieląt, aby w ten sposób mogły przekazać odporność młodym za pomocą siary (odporność siarowa). Ale antybiotyki mają jeszcze jedną wadę – to opcja nuklearna. Raz podane, wymiatają całą florę bakteryjną gospodarza do zera.

Wirusowe bakteriofagi są bardziej jak precyzyjne uderzenie z drona: atakują tylko konkretne szczepy. Nie trzeba ich szukać jak egzotycznych substancji leczniczych głęboko w amazońskim lesie – wystarczy wizyta w oborze. Można je wyizolować z pobranych tam próbek. Trzeba tylko podejść do całej-

Pokażmy bakteriom faga

Jakub Kapiszewski

Do tej przyjaźni – a właściwie kruchej sojuszu opartego na wzajemnych korzyściach – skłania nas to, że przeredza się nasz arsenał do walki z bakteriami. Główną bronią, jaką dysponujemy, są antybiotyki, lecz coraz więcej szczepów bakterii wykazuje na nie oporność. Dlatego naukowcy nie ustają w poszukiwaniu równie skutecznych zamienników. Tu na scenie pojawiają się wirusy. Tak jak SARS-CoV-2 na inkubator upatrył sobie ludzi (a przy okazji oberwało się norkom), tak samo niektórzy jego dalecy kuzyni namnażają się w bakteriach, czasem tylko konkretnego gatunku.

Stąd pomysł: znajdziemy wirusy, które niszczą szkodliwe mikroby. Tą drogą poszli naukowcy z Wydziału Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie (UPL), poszukując sposobu na walkę z biegunkami u bydła. – Bardzo często mają one podłoże bakteryjne, więc wirusy, które namnażają się w wywołujących biegunki mikrobach, to nasi naturalni sprzymierzeńcy – tłumaczy prof. Renata Urban-Chmiel z UPL.

Problemy jelitowe u bydła mogą się wydawać trywialne, ale wcale takie nie są. Biegunki

W środku pandemii zabrzmiało to jak herezja, ale wirusy mogą się okazać **największymi przyjaciółmi człowieka**. A przynajmniej hodowców zwierząt

są powszechnym zjawiskiem i w niektórych stadach cierpi na nie aż 70 proc. cieląt. To poważny kłopot dla hodowców – zwłaszcza jeśli dotyczy jałówek, najważniejszych z gospodarczego punktu widzenia. To dzięki nim następuje wymiana stada i to one zapewniają mleko. Tymczasem długotrwałe problemy jelitowe mogą doprowadzić do tego, że osobniki nie będą się prawidłowo rozwijać (np. nie przybiorą odpowiednio na wadze).

Większość biegunek ma podłoże bakteryjne, ale nie wszystkie. Część z nich pojawia się np. w odpowiedzi na zmianę pożywienia u cieląt. A ta następuje szybko – właściwie krótko po urodzeniu – bo podstawowym konsumentem mleka krowiego nie są bynajmniej młodzi przedstawiciele tego gatunku. – To

go procesu ostrożnie: należy wybrać te fagi, które po namnożeniu się w bakterii doprowadzają do jej zniszczenia. Niektóre wirusy wbudowują bowiem swój materiał genetyczny w bakteryjne DNA i... czekają. A to może doprowadzić do powstania oporności na nie. W idealnych warunkach przed podaniem preparatu powinno się wykonać badanie mające na celu sprawdzenie, czy bakteriofagi faktycznie niszczą szczepy doskwierające danej populacji bydła (podobnie zresztą powinno się robić w przypadku antybiotyków).

Jak podkreśla prof. Urban-Chmiel, celem preparatu nie jest jednak tylko walka z bakteriami. Przyświecająca jego stworzeniu idea była bardziej holistyczna. – Nasz produkt działa również probiotycznie, bo zawiera też „dobre” szczepy bakterii. Chodzi o to, aby po podaniu jak najszybciej w przewodzie pokarmowym odbudowana została krucha równowaga – mówi badaczka. Dlatego też preparat ma postać czopków – podawanie przez pysk narażałoby bowiem jego komponenty na silnie kwasowe środowisko żołądka, a w efekcie – strawienie i znacznie niższą skuteczność. Teraz pozostaje tylko pytanie, na ile taka innowacja będzie w stanie się przyjąć wśród lekarzy weterynarii i hodowców. ©

MECENAS
POLSKIEJ
NAUKI

Destygmatyzacja

Z Justyną Kajtą rozmawia Piotr Szymaniak

Gdy o hajlującym dyrektorsze wrocławskiego oddziału IPN Tomaszu Greniuchu stało się głośno za granicą, został „zrezygnowany”. Do tej pory w nazizm bawili się z reguły mało rozgarnięci skinheadzi, co więc się stało, że brunatne sympatie wykazują historycy? W dodatku chcący pełnić funkcje publiczne.

To przykład, w jaki sposób może przebiegać kariera nacjonalistycznych działaczy, bo Tomasz Greniuch nie jest pierwszą osobą o takich zapatrywaniach, która objęła lub miała objąć ważną funkcję w instytucjach publicznych. Nie pojawił się znikąd, bo był przecież naczelnikiem opolskiej delegatury IPN – i nie było wtedy o nim głośno, choć jego kandydatura wywołała pewne kontrowersje ze względu na członkostwo w ONR. Ale PiS nie zawsze odcina się od Obozu Narodowo-Radykalnego czy Stowarzyszenia Marsz Niepodległości. Punktem krytycznym stały się zdjęcia, na których widać, jak Greniuch hajluje i dokumentujące jego udział w marszu upamiętniającym najazd na Myślenice – pogrom ludności żydowskiej w 1934 r. Jego obecność na kierowniczym stanowisku w IPN byłaby dla PiS źródłem międzynarodowej krytyki, a jednocześnie wejściem w konflikt ze środowiskami żydowskimi.

Greniuch nie był pierwszy? Wystarczy sobie przypomnieć Romana Giertycha, który reaktywował w 1989 r. Młodzież Wszechpolską, a kilkanaście lat później został ministrem edukacji. Byli członkowie MW są teraz posłami Konfederacji, wcześniej weszli do Sejmu z list komitetu Kukiz'15, a kandydatem na prezydenta kraju był Krzysztof Bosak, były prominentny działacz Młodzieży. Ta możliwość „wypłynięcia” zależy oczywiście od kontekstu politycznego, a ten umożliwił teraz wprowadzenie do głównego nurtu polityki osób o poglądach nacjonalistycznych. I nie mówię tylko o IPN, ale też o zmianach, jakich w Ministerstwie Edukacji i Nauki dokonuje Przemysław Czarnek. To długi i cierpliwy marsz przez instytucje, wykorzystujący sprzyjające okoliczności polityczne. To wszystko składa się w pewną całość działań instytucjonalnych, które mają na celu przejęcie kontroli nad polityką historyczną i dyskursem publicznym. Oraz nad tym, jaka narracja o rzeczywistości powinna być dominująca i uprawniona.

Czy ten marsz przez instytucje jest świadomym działaniem? Czy ruchy nacjonalistyczne wprowadzają w życie myśl Rudiego

Wartości nacjonalistyczne nie spotykają się z szerokim poparciem społecznym, ale jeśli nazwiemy je patriotycznymi, **wówczas automatycznie akceptacja dla takich postaw wzrasta**



JUSTYNA KAJTA

doktor nauk społecznych, socjolożka, badaczka, post-doc w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Wrocławskiego, wykonawczyni w projekcie „Prawicowy populizm wśród młodych Niemców i Polaków: Analiza biograficznych motywów wsparcia partii i organizacji prawicowych” finansowanym przez Polsko-Niemiecką Fundację na rzecz Nauki. Autorka książki „Młodzi radykalni? O tożsamości polskiego ruchu nacjonalistycznego i jego uczestników”

Dutschkego, ideologa lewicowego niemieckiego buntu z lat 60. XX w., który twierdził, że zamiast walczyć z instytucjami, należy je przejąć?

Trudno stwierdzić, że to działanie zaplanowane, ale jednocześnie nie wygląda na przypadkowe. Robiąc wywiady z działaczami nacjonalistycznymi, słyszałam od kilku z nich, że cierpliwość oraz praca oddolna są jedną ze strategii ruchu. Wynika to z przeświadczenia, że pewnych zmian nie można wprowadzać radykalnie. Choć oczywiście są osoby, które chciałyby rewolucji, ale wielu przedstawicieli tych środowisk rozumie, że kluczem do sukcesu są cierpliwość, powolne działania, mniejsze i większe sojusze polityczne. Jeśli weźmiemy pod uwagę to, co się dzieje na przestrzeni ostatnich lat, to ta taktyka jest skuteczna.

Co ma pani na myśli?

Z jednej strony widzimy wzrost nieoliberalnego społeczeństwa obywatelskiego, współtworzonego przez organizacje kościelne, środowiska konserwatywne i nacjonalistyczne. Z drugiej strony obserwujemy przenikanie się tego świata nieoliberalnego społeczeństwa ze światem radykalnej prawicy i światem polityki parlamentarnej. To sprzyja



nacjonalizmu



fot. Kyrstian Dobuszynski/Reporte

zmianie głównego nurtu polityki od wewnątrz, czego przejawem jest choćby niedawne utworzenie Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej, którym kieruje Jan Żaryn, zresztą jeden z recenzentów pracy doktorskiej Greniucha. Być może nie jest to proces, który został zaplanowany, ale z czasem takie działania okazały się skuteczne. Na pewno rządy PiS ten proces przyspieszyły.

Politycy z przeszłością w Młodzieży Wszechpolskiej po wejściu do głównego nurtu odcinają się od radykalnych postaw i poglądów. Organizatorzy Marszów Niepodległości starają się, by najbardziej radykalną grupą były rodziny z dziećmi, a nie kibole w kominarkach. Na ile jest to powodowane szczerą chęcią marginalizacji najbardziej radykalnych pravicowców, a na ile jest to próba ocieplenia wizerunku?

Wartości nacjonalistyczne nie spotykają się z szerokim poparciem społecznym, ale jeśli nazwiemy je patriotycznymi, wówczas automatycznie akceptacja dla takich postaw wzrasta. Promowanie Marszu Niepodległości jako największego wydarzenia patriotycznego jest jedną ze strategii ruchu nacjonalistycznego, która ma mu dać zwiększenie liczby sympatyków. Ja to nazywam strategią destygmatyzacyjną. Chodzi o działania, które mają zniwelować negatywny wizerunek nacjonalizmu, a przedstawiać go jako ruch młody, świadomy, zatroskany o najważniejsze wartości i tożsamość narodową. Jest to więc działanie, które ma przyciągnąć osoby o bardziej umiarkowanych poglądach.

Na ile dla ruchu narodowego radykalni nacjonaliści stanowią obciążenie, a na ile są atrakcyjnym środowiskiem, o którego względy warto zabiegać?

W rozmowach z działaczami ONR czy MW spotkałam się z wieloma rodzajami strategii zaprzeczenia rasizmowi, antysemityzmowi i nazizmowi. Przekonywałam im, że nazizm i polski nacjonalizm wykluczają się, bo ten ostatni ma charakter chrześcijański i najważniejszy w hierarchii wartości jest Bóg. To, zdaniem moich rozmówców, wyklucza okrucieństwo, jakie przejawiali naziści. Pojawiały się opowieści uwypuklające postać Jana Mosdorfa, działacza MW i ONR, który zginął w obozie koncentracyjnym. W dyskursie nacjonalistycznym to postać symboliczna, która ułatwia prezentację ruchu jako nieantysemickiego oraz nienazistowskiego, a wręcz jako ofiary nazizmu. Pojawiały się też dużo argumentów, w których moi rozmówcy starają się odcinać od nazizmu czy radykalnych postaw i krytycznie wypowiadają się o osobach, które poprzez gloryfikowanie

Adolfa Hitlera chcą dołączyć do ruchu, bo to mogłoby zaszkodzić jego wizerunkowi i działaniom. To skomplikowane, bo wydaje się, że sukces ruchów nacjonalistycznych polega też na tym, że mogą przyciągać różnymi elementami, a jednocześnie wiedzą, jak kierować pewnymi zachowaniami i informacjami – i w zależności od sytuacji jawią się jako mniej lub bardziej radykalne. Z jednej strony zaprasza się reprezentantów skrajnie prawicowych organizacji na Marsz Niepodległości, a z drugiej odcina się od nich. Dzięki temu ruch ma zdolność przyciągania osób o różnych poglądach – od radykałów po bardzo umiarkowanych.

Jakimi motywacjami kierują się osoby, które trafiają do takich środowisk?

Nie zawsze bycie nacjonalistą powoduje, że wstępuje się do organizacji. Często dopiero ktoś się nim staje pod wpływem edukacji ideologicznej, która ma miejsce wewnątrz organizacji. Dołączając do ONR lub MW, trzeba przejść staż ideologiczny i kandydacki, zanim stanie się pełnoprawnym członkiem. Polega on m.in. na tym, że kandydaci czytają zadaną literaturę ideologiczną i historyczną, a później zdają z tego materiału egzamin. Przez to, że pewne osoby decydują o tym, jakie książki będą czytały, to określona argumentacja czy sposób myślenia stają się wspólne dla nowych członków. Są oni de facto formowani od tego, by być nacjonalistami, choć niektórzy oczywiście są nimi już na etapie decyzji o wstąpieniu do organizacji.

A co jest tym magnesem, który przyciąga do takich organizacji młodych ludzi?

Moje badania były jakościowe, oparte na wywiadach biograficzno-narracyjnych, co oznacza, że nie można ich uznać za reprezentatywne statystycznie. Opierając się na zgromadzonym materiale, zaczęłabym od tego, co sprzyja trafieniu do ruchu. Analizując relacje pomiędzy politycznym klimatem domu rodzinnego a późniejszym uczestnictwem w organizacji, okazuje się, że zaangażowaniu sprzyja wychowanie w rodzinie, która jest określana jako patriotyczna, antykomunistyczna, gdzie jest konserwatywno-patriotyczno-katolicki trzon. Patriotyzm wydawał się ważnym zasobem, który taka osoba wносиła do domu. W związku z tym rzadziej pojawiały się sytuacje, by ta działalność spotykała się z ideologicznym czy politycznym sprzeciwem rodziców. Ewentualne negatywne reakcje wynikały przede wszystkim z obaw o bezpieczeństwo czy problemy z prawem. Właściwie wszyscy moi

rozmówcy interesowali się historią. Bywało, że to zainteresowanie przenosiło się na działalność w grupach rekonstrukcyjnych albo studiowanie historii. A te konteksty sprzyjały kontaktom z osobami, które już były zaangażowane w ruch nacjonalistyczny. Poznaniu organizacji nacjonalistycznej sprzyja też kontakty ze środowiskiem kibiców, gdzie poglądy okonacjonalistyczne bywają dość powszechne.

W jakim czasie powstawały pani wywiady?

Główne badania, na podstawie których powstała książka „Młodzi radykalni? O tożsamości polskiego ruchu nacjonalistycznego i jego uczestników”, były prowadzone w latach 2011-2015, natomiast w pod koniec 2019 r. i w 2020 r. przeprowadziłam w ramach polsko-niemieckiego projektu badawczego dodatkowe rozmowy z aktywistami i sympatykami radykalnie prawicowych organizacji. W tych nowszych wywiadach częściej pojawiały się odniesienia do środowisk ministrantów, lektorów czy duszpasterstw, które stanowią ważną przestrzeń do zainteresowania się nacjonalizmem lub spotkań z osobami już zaangażowanymi w organizacje nacjonalistyczne. Jeśli zaś chodzi o motyw, to w przypadku wywiadów gromadzonych w obu projektach pojawiła się chęć zaangażowania się w coś, znalezienia osób, które mają podobny światopogląd, chęć wsparcia działalności grup, których poglądy były choć częściowo spójne z tym, jak o rzeczywistości myśleli moi rozmówcy. Ruch był postrzegany jako przejaw protestu wobec dominacji liberalizmu kulturowego, wobec zakłamania polityki. Można więc powiedzieć, że zwiększające się znaczenie nacjonalizmu do pewnego stopnia wynika z braku posiadania politycznej reprezentacji przez młodych ludzi.

A konflikt kulturowy i ścieranie się tradycjonalizmu z liberalizmem?

Konserwatywna wizja rodziny, przywiązanie do katolicyzmu, narodowa wersja historii, która jest wzmocniana w rodzinie i szkole, sprawiają, że młodzi ludzie, z którymi prowadziłam wywiady, widzą swoje miejsce po neoliberalnej stronie konfliktu kulturowego – o swojej działalności opowiadają w kategoriach obrony kluczowych wartości. A zaliczają do nich religię, konserwatywną wizję rodziny i naród. Jest to spójne z tym, jaką narrację o sobie prezentuje ruch nacjonalistyczny. Bo jeśli przyjrzymy się temu, jakie treści znajdują się w ich deklaracjach ideowych czy w materiałach rekrutacyjnych, zobaczymy

opowieść o alternatywie dla systemu i dla układu politycznego. Członkowie tych ruchów prezentują się jako obrońcy homogenicznego narodu, którzy dostrzegają czyhające nań zagrożenia i im się przeciwstawiają. Którzy sprzeciwiają się słabej pozycji Polski i czynią z dumy narodowej istotny zasób, którego trzeba bronić. Którzy wzywają do obrony wartości i wypełniania moralnego obowiązku, spadku po żołnierzach wyklętych. Ważne jest także to, że nacjonalizm jest postrzegany przez moich rozmówców jako odpowiedź na poszukiwanie autentyczności w rzeczywistości zdominowanej przez relatywizm. On im daje białą-czarną opowieść o świecie, wiadomo, co jest dobre, co złe. A oprócz tego ten ruch oferuje przestrzeń dla osób, które interesują się historią i chciałyby te zainteresowania przekładać na działanie; które mają poglądy konserwatywne i poszukują środowiska, które myśli tak samo; które chcą angażować się w działalność antyaborcyjną, sprzeciwiając się obecności migrantów czy promocji LGBT. Niektórzy poszukują też silnej grupy, w której znajdą namiastkę militarystyki i dyscypliny. W niektórych wypowiedziach pojawiały się wątki wskazujące, że dołączanie do ONR stanowiło substytut nieudanej rekrutacji do szkoły wojskowej. Ale często jest to też próba nadania sensu życiu, poczucia, że robi się w nim coś ważnego, co jednak musi się wiązać ze spójnością poglądów danej osoby i grupy, do której dołącza.

Hajlowanie Greniucha starano się tłumaczyć „błędami młodości”. Czy z takich poglądów się wyraasta?

Nie jestem przekonana, że wiek jest sprzężony z poziomem radykalizmu. Tak jak można wyrastać z pewnych poglądów, tak samo można je nabywać z wiekiem, a duży wpływ na radykalizację postaw mogą mieć na przykład media. Badania z różnych krajów pokazują, że dla środowisk nacjonalistycznych ważną platformą są alternatywne portale informacyjne, które niekoniecznie wprost, ale jednak dystrybuują nieoliberalną, podsyconą teoriami spiskowymi czy fake newsami wizję świata. Podatność na takie komunikaty jest często niezależna od wieku.

Jak dużo jest kobiet w tego typu organizacjach?

Ciągle widoczna jest nadreprezentacja mężczyzn. Trudno o dobre statystyki, ale z moich obserwacji wynika, że na przestrzeni ostatnich kilku lat obecność kobiet zwiększa się, również na stanowiskach kierowniczych – w przypadku Młodzieży Wszechpolskiej spośród 16 pełno-

moćników okręgów trzy to kobiety. Kiedy prowadziłam pierwszą turę badań, na 30 wywiadów tylko trzy były z kobietami, w ubiegłym roku – pięć na 15. Częstszy udział kobiet można uchwycić mniej więcej od lat 2013-2014. Wtedy powstała organizacja Kobiety dla Narodu, a także kobieca sekcja Ruchu Narodowego – obie grupy miały być kobiecym głosem środowiska nacjonalistycznego, kontrą do feministek. Choć nie przetrwały, to jakiś czas temu powstała Narodowa Organizacja Kobiet, nazwa nawiązująca do ruchu z okresu międzywojnia. W 2019 r. NOK zorganizował Narodowy Kongres Kobiet, który miał być odpowiednią na podobne wydarzenia tworzone przez środowiska lewicowo-liberalne. Jednym z celów nacjonalistycznych organizacji kobiecych jest walka z feminizmem, prezentowanym przede wszystkim jako walka o aborcję i niszczenie tradycyjnej rodziny. Nacjonalistki w swoich wypowiedziach zwracają uwagę na chęć promowania innego – konserwatywnego – głosu kobiet.

Czy takie antagonizujące spory, jak ten wokół aborcji, będą sprzyjać zwiększeniu się popularności ruchów radykalnych z obydwu stron ideowej barykady?

O ile rosnąca popularność pravicowych, nacjonalistycznych przekonań nabrała największego rozpędu podczas rządów PO-PSL, a w pierwszych latach władzy PiS środowiska te otrzymały wsparcie instytucjonalne, o tyle teraz, już po kilku latach rządów PiS, odczuwalne jest zmęczenie tą retoryką, zmęczenie turbopatriotyzmem, jak to zjawisko określił Marcin Napiórkowski. Przynajmniej w młodym pokoleniu. To pokazuje niedawny sondaż CBOS, z którego wynika, że pierwszy raz od 20 lat wśród młodych przeważają sympatie lewicowe. Być może jesteśmy w momencie, gdy popularność radykalnych i nacjonalistycznych postaw osiągnęła punkt kulminacyjny? Dość świeżym zjawiskiem byłoby natomiast pojawienie się wśród młodych ludzi kontry do tych postaw. Ponieważ wzrost poglądów lewicowych nie oznacza, że zmalała liczba osób deklarujących sympatie pravicowe, lecz że zmalała liczba osób o poglądach niedookreślonych. Mamy więc mocną prawą stronę, wzmacniającą się lewą, a centrum zaczyna się zamazywać. A to oznacza, że obserwujemy właściwie rosnącą polaryzację społeczeństwa, a to może sprzyjać radykalizacji postaw, co zresztą widać. Natomiast myślę, że możemy być teraz w momencie zwrotnym i trudno z całą pewnością powiedzieć, na którą stronę przechyli się szala. ©

To jeszcze nie koniec IPN

Emocje związane z fatalną decyzją kadrową trudno porównać z tymi, które towarzyszyły sprawie pogromu w Jedwabnem czy współpracy Lecha Wałęsy z SB. **Takiego miejsca w debacie, jakie przez wiele lat zajmował, dziś już IPN nie ma.** Być może przyczyna jest zupełnie naturalna: upływ czasu

Z Łukaszem Kamińskim rozmawia Estera Flieger

„Bodaj żaden inny urząd w III RP nie wzbudził tak wielu negatywnych emocji. I chyba o żadnym innym nie mówiono równocześnie, że to najbardziej udana instytucja w III Rzeczpospolitej” – napisał 10 lat temu prof. Antoni Dudek w książce „Instytut”.

Zgadzam się. Dodałbym, że jest jedną z nielicznych instytucji publicznych tej rangi, która powstała w III RP. Ale mam wrażenie, że IPN wzbudza dziś mniej emocji niż kiedyś.

Mniej?

Oczywiście, choć w ostatnich dniach wygląda to inaczej. Przeszłość Tomasza Greniucha, który miał być dyrektorem oddziału wrocławskiego instytutu, była znana, nie wiem, jak można było uznać, że błędy młodości nie mają znaczenia. IPN został uwikłany w obronę tej postaci, w komunikatach powtarzano stwierdzenia o rzekomych wielokrotnych przeprosinach. Ale żadnego przykładu takich przeprosin z okresu sprzed mianowania nie podano, za to łatwo można było wyszukać liczne wypowiedzi zainteresowanego z lat 2017-2019 wskazujące na poczucie dumy z działalności w środowisku skrajnej prawicy. Wiarygodność instytucji buduje się latami, a zniszczyć ją można w kilka dni. Jedną decyzją podważono lata pracy pracowników IPN, zaś sam instytut cenę za tę katastrofalną decyzję będzie płacił przez długi czas. Najgorsze jest to, że tym razem chodzi nie tylko o wizerunek IPN, ale też obraz Polski w świecie.

A więc rzeczywiście mniej emocji?



foto: Alina Męchysiałmat, prasowe

ŁUKASZ KAMIŃSKI

prezes IPN w latach 2011-2016. Historyk, wykładowca w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Prezes Platformy Europejskiej Pamięci i Sumienia

Mówię o dłuższej perspektywie. Emocje związane z fatalną decyzją kadrową trudno przecież porównać z tymi, które towarzyszyły sprawie pogromu w Jedwabnem czy współpracy Lecha Wałęsy z SB. Budzi inne – polityczne, choć i tych wcześniej nie brakowało. Ale takiego miejsca w debacie, jakie przez wiele lat zajmował, dziś już IPN nie ma. Być może przyczyna jest zupełnie naturalna: upływ czasu.

IPN ma już ponad 20 lat. Proszę dokonać bilansu jego działalności. Sukcesy?

Działalność edukacyjna i naukowa. Nawet osoby sceptyczne uważają, że jeśli chodzi o stan wiedzy o PRL, lecz także do pewnego stopnia o II wojnie światowej, to ma on duże zasługi. Wprowadził do dyskursu tematy wcześniej nieobecne, to np. żołnierze wyklęci – kwestia budząca kontrowersje, ale niewątpliwie jest to ważny wątek, zaś latami pozostawał na marginesie debaty. IPN zawdzięczamy też wprowadzenie do obiegu naukowego ogromnego zbioru źródeł – i wbrew stereotypowi to nie tylko historia aparatu represji, bo akta pozwoliły spojrzeć na wiele zjawisk. Trudno zaś jednoznacznie ocenić, w ja-

kim stopniu udało się zrealizować inne zadania: ściganie zbrodni z okresu II wojny oraz komunistycznych. Efekt daleki jest od tego, czego spodziewano się 20 lat temu, ale też nie można stwierdzić, że nasz model zupełnie się nie sprawdził. Na pewno można było zrobić więcej, lecz jednocześnie trudno nie zauważyć zmiany na lepsze, a widzieć ją nawet w statystykach: śledztw i zakończonych przed sądem spraw jest więcej niż w latach 90. Warto też pamiętać o działaniach, które nie wynikały wprost z ustawy: dobrym przykładem jest proces poszukiwań i identyfikacji szczątków ofiar systemu komunistycznego. To zadanie, które instytut sam wziął na siebie. Dopiero później zostało uregulowane ustawowo.

Porażki?

Dla mnie, jako historyka, to kolejne badania opinii publicznej, które pokazują, że blisko połowa Polaków jest przekonana, że stan wojenny uratował kraj przed rzekomą interwencją sowiecką, co stoi w sprzeczności ze znanymi dokumentami i ustalonymi faktami. To również lustracja: w modelu, w którym jest realizowana, w dużym stopniu nie spełnia swoich funkcji. Co prawda pewien efekt prewencyjny w postaci wycofania się z życia publicznego określonej grupy osób został osiągnięty. Ale liczba wniosków niezwyfikowanych jest większa niż tych, które zostały już poddane temu procesowi, co jednak obciąża przede wszystkim autorów ustawy, a nie IPN.

A największe problemy, jakie trapiły IPN?

Przez wiele lat były to problemy finansowe i organizacyjne. To już przeszłość i dziś IPN został w tej materii



Czyszczenie budynku IPN w Warszawie. Jego fasada została oblana czerwoną farbą w proteście przeciwko powołaniu Tomasza Greniucha na szefa wrocławskiego oddziału instytutu

uprzywilejowany. Zaś powracających kłopotów – z różnym natężeniem – zawsze dostarczali politycy. Oni mogą mieć oczekiwania wobec IPN, lecz problemem jest ich narzucanie – a przecież ustawa gwarantuje instytutowi niezależność. Inną trudnością, wykraczającą również poza IPN, jest mała liczba badaczy zajmujących się II wojną. W samym instytucie dostrzegano ten problem, sam podejmowałem działania, by go rozwiązać, ale sukcesy były umiarkowane. Przez wiele lat pokutowało przekonanie, że II wojna jest dobrze przebadanym okresem i trudno odkryć coś nowego, poza tym stawia dużo większe wymagania przed badaczem niż okresy międzywojenny i powojenny, które obecnie są bardzo popularne.

A czy problemów nie przysparza sama konstrukcja IPN? Historyk Sławomir Nowinowski z Uniwersytetu Łódzkiego i Krzysztof Persak z Instytutu Studiów Politycznych PAN zwracają uwagę, że nieszczęśliwe jest połączenie urzędu, archiwum, instytucji śledczej, naukowej i edukacyjnej.

Nie zgodzę się. Owszem, są problemy generowane przez tę nietypową strukturę, ale pomysł był dobry i w dużym stopniu się sprawdził – np. połączenie badań naukowych oraz edukacji w jednym pionie, jak było przez pierwsze kilkanaście lat. Podobnie jak włączenie archiwum w ramy jednej instytucji – współpraca naukowców i archiwistów przyniosła owoce obu stronom. Problemy zaczęły się, kiedy do IPN zaczęto przyłączać kolejne pionow. W 2007 r. był to pion lustracyjny – po raz pierwszy dodano do instytutu funkcję o wymiarze wprost politycznym. Choć znów potrafię dostrzec zalety

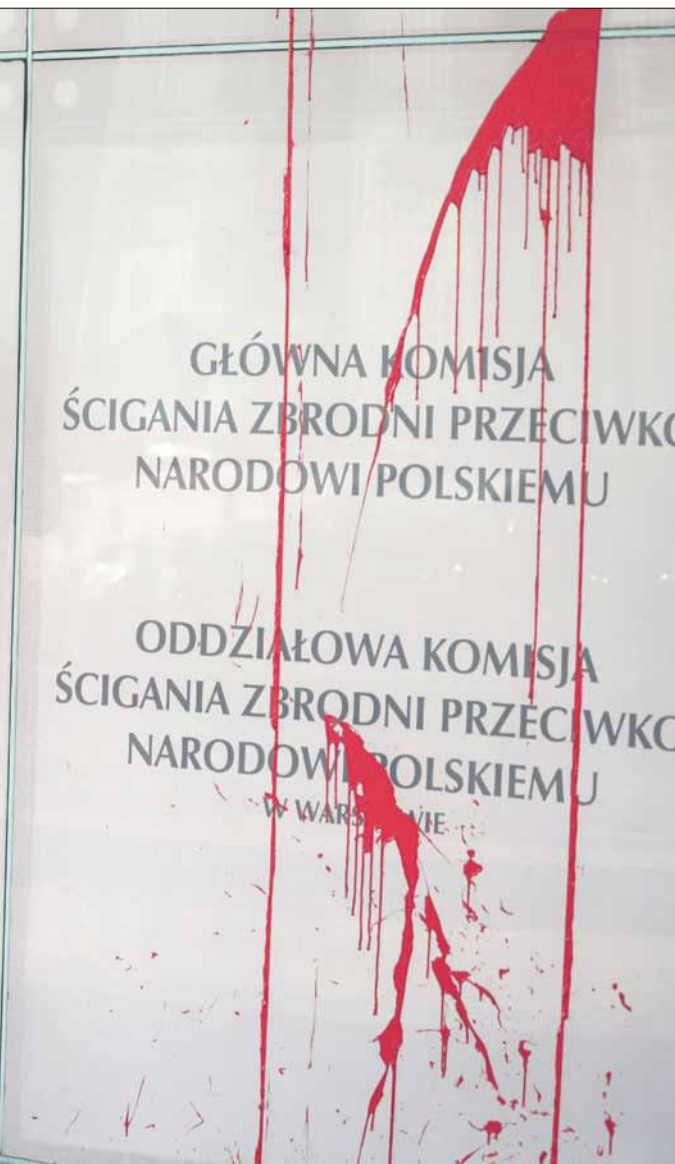
tego rozwiązania – jako historyk często korzystam z katalogów tworzonych przez Biuro Lustracyjne. Nowy sposób myślenia o instytucji, jako instytucji, która kompleksowo ma zająć się sferą pamięci i najnowszą historią Polski, ujawnił się w 2016 r. Został wówczas rozbudowany poprzez dodanie nowego pionu, który zastąpił Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, rozbicie pionu edukacyjnego na dwa i powstanie Biura Poszukiwań i Identyfikacji. Instytut zawsze był trudny w zarządzaniu, bo ustawodawca nie do końca określił relacje między pionami a oddziałami, więc każdy prezes próbował ułożyć wewnętrzną hierarchię. Ale w 2016 r. sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej i między innymi dlatego krytykowałem tę nowelizację.

Najlepszym przykładem pełnej synergii w działaniu IPN było śledztwo z lat 2000-2004 w sprawie pogromu w Jedwabnem.

W jakimś stopniu ten sukces powtórzono w pierwszych latach realizacji projektu poszukiwań i identyfikacji szczątków ofiar systemu komunistycznego, choć połączenie pewnych porządków – badawczego ze ścisłym reżimem prokuratorskim – było trudne. Jednak pomimo napięć się udało.

Wśród pomysłów na reformę IPN wymienia się m.in. wyprowadzenie pionu prokuratorskiego.

Należałoby wówczas być konsekwentnym i wyprowadzić również Biuro Lustracyjne. W jakimś sensie byłoby wówczas instytutowi łatwiej, ale nie jestem przekonany, czy lepiej. Moim zdaniem należy uważnie przyjrzeć się temu pionowi – zastanowić



fot. Paweł Kamiński/Agencja Gazeta

się nad tym, jakie ma możliwości, potrzeby kadrowe, być może tu istnieje przestrzeń do ich redukcji; a także odpowiedzieć na pytanie, co ma on jeszcze do zrobienia. Może warto rozważyć mniejszą grupę prokuratorów, bardziej operatywną, skupioną w jednym ośrodku? Powróci też kwestia tego, czy prezes IPN powinien mieć wpływ na ten pion, bo choć teraz go nie ma, to odpowiada za jego prace i błędy. Włączenie pionu prokuratorskiego do prokuratury powszechnej stanowiłoby marginalizację problemu ścigania zbrodni – bo prokuratura zmagą się z nawałem bieżących spraw, więc te historyczne nie będą dla niej priorytetem.

Rozmawialiśmy o przykładach dobrej współpracy prokuratorów i naukowców. Ale w 2019 r. instytut opublikował oświadczenie, w którym podważał wyniki własnego śledztwa sprzed 14 lat w sprawie Romualda Rajsa „Burego”. Zrobił to bez wiedzy prokura-

tora, który je prowadził, wciąż zatrudnionego w IPN.

To nie powinno się zdarzyć, choć nie zawsze wyniki badań naukowych zgadzają się z efektami śledztwa i wyrokami sądowymi. Ale w tym przypadku dotykamy zjawiska, które mnie niepokoi, a więc skupiania wysiłków instytutu na promocji postaci, co do której istnieją poważne wątpliwości. Jednocześnie osłabia to wysiłki przywracania pamięci o postaciach jednoznacznych, które mogą nas łączyć. Ta sprawa bardzo negatywnie wpłynęła na wiarygodność IPN. Oczekujemy od innych narodów, że będą prowadzić otwartą debatę na temat własnej historii, a zawsze uważałem, że trzeba zaczynać od siebie.

Wprowadzenie do debaty publicznej tematu żołnierzy wykłętych zaliczył pan do sukcesów. Czy, biorąc pod uwagę przykład „Burego”, ten temat nie wymknął się spod kontroli?

Nie użyłbym takiego określenia. Nie odbieram prawa pewnym środowiskom do obrony danych postaci, lecz instytucja publiczna powinna starannie dobierać bohaterów, których chce promować. Jednocześnie umożliwiając dyskusję, bo zawsze uważałem, że IPN powinien być dla niej przestrzenią. Ale czym innym jest umożliwianie dyskusji, a czym innym promowanie osoby, która w moim najgłębszym przekonaniu na to nie zasługuje.

W 2007 r. Jarosław Kaczyński odwiedził krakowski oddział IPN i powiedział do jego pracowników, że są „na pierwszej linii frontu walki o prawdę i godność naszego narodu”. Czy niepolityczny instytut jest możliwy?

Apolityczne instytucje publiczne są niezbędne, a jedną z nich powinien być IPN. Tak był zaprojektowany – i nawet mimo zmian przyjętych w 2016 r., które ograniczyły jego autonomię, to wciąż pierwotna konstrukcja pozwalała postawić go ponad bieżącą politykę. Ustawa wprost ustanawia niezależność prezesa IPN od organów państwa. Ale zawsze politycy mieli jedno narzędzie nacisku: budżet. Bywało, że za własną niezależność instytut płacił cenę w postaci cięć.

Teraz budżet jest rekordowo wysoki.

Ale są inne narzędzia nacisku. To nie tylko przyjęta w 2016 r. nowelizacja ustawy. Na przykład zniesiono zakaz przynależności pracowników IPN do partii, a to był jeden z zapisów, który pokazywał, że instytut jest poza bieżącą polityką. Na instytut wpływa też to, że po raz pierwszy Kolegium IPN składa się z przedstawicieli jednej opcji politycznej. Zmieniły się w stosunku do jego poprzedniczki – rady – kompetencje, w większym stopniu osłabia ono pozycję prezesa, więc to kolejny element wiązania tej instytucji z polityką. Oczywiście wcześniej rada również miała wiele do powiedzenia – w tym przeprowadzała konkurs na prezesa. Ale wyborowi jej członków towarzyszył kompromis polityczny. To była zasada niepisana, ale jej złamanie wpłynęło na osłabienie niezależności całego instytutu.

Rozmawialiśmy o Jedwabnem. Drugim kamieniem milowym w historii instytutu była sprawa Lecha Wałęsy, która również za pana kadencji była przedmiotem ostrego sporu.

W 2005 r., pod koniec kadencji prezesa Leona Kieresza, kontrowersje wzbudzała sprawa nadania Lechowi Wałęsie statusu pokrzywdzonego. Później ogromne emocje polityczne i próby poważnych nacisków na instytut oraz prezesa Janusza Kurtykę towarzyszyły wydaniu książki Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka „SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii”. Wydawało się, że kiedy w 2008 r. publikacja wykorzystująca wszystkie dostępne źródła ukazała się, temat został zamknięty. Bo przecież większość historyków zgodziła się z obrazem, który z niej się wyłaniał. I to nawet tych krytycznych wobec sposobu, w jaki ta książka została napisana. Nie pamiętam prób podważania jej ustaleń podjętych przez zawodowych badaczy. Sprawa wróciła pod koniec mojej kadencji w 2016 r., kiedy wdowa po Czesławie Kiszczaku odowiedziała moje biuro z ofertą sprzedaży akt dotyczących TW „Bolka”. Następstwa tej wizyty były poważne: postępowanie prokuratorskie, odnalezienie oryginału akt, jak i również naciski polityczne – by z jednej strony powstrzymać się od udostępniania materiałów, a z drugiej, by zrobić to jak najszybciej. Rozwiązanie problemu kryło się w ustawie: to pokazuje, że w sytuacjach kryzysowych dobrze zaprojektowana instytucja może sprawnie funkcjonować, odwołując się do procedur.

W ostatnich latach sprawą tego formatu była nowelizacja ustawy o IPN z 2018 r.

Nie należę do grupy, która ma pewność, że skutki tej noweli były do przewidzenia. Przecież podobną ustawę przyjęto w 2006 r. i funkcjonowała ona przez kilkanaście miesięcy, dopóki nie zakwestionował jej Trybunał Konstytucyjny. Wszczęto wówczas śledztwo przeciw Janowi Tomaszowi Grossowi, a nie odbiło się to takim echem, jak wydarzenia sprzed trzech lat. Natomiast tym, co zaskoczyło mnie w 2018 r., był fakt, że nie znalazł się ani jeden poseł, który zwróciłby uwagę na to, że nowelizacja jest przyjmowana w przededniu obchodów wyzwolenia Auschwitz. A odźwięki przyjmowania takich zapisów w Międzynarodowy Dzień Pamięci o Ofiarach Holokaustu był już do przewidzenia. Jest to dla mnie bardzo przykre, że żadnemu politykowi z żadnej opcji nie wystarczyło wyobraźni. Żałuję też, że wycofanie się z usta-

wy nastąpiło po pół roku – dla Polski byłoby lepiej, gdyby to stało się szybciej. Niepotrzebne były też próby, w których brał udział niestety też IPN, obrony tej ustawy. Ale uważam, że to nie instytut popełnił błąd.

A mógł coś zrobić?

Przypuszczam, że instytut był zaskoczony, bo ta ustawa po rocznej przerwie nagle pojawiła się w porządku obrad Sejmu. Jeśli prezes IPN nie miał o tym wiedzy, nie miał pola manewru.

Znów wraca pomysł likwidacji instytutu, który jest właściwie tak stary, jak on sam. Chce tego m.in. Lewica, podobnie jak w przeszłości SLD.

Likwidacja IPN byłaby operacją skomplikowaną. Wystarczy spojrzeć, w jak wiele ustaw wpisane jest jego funkcjonowanie. Te funkcje będzie trzeba przypisać do innych instytucji. Pojawiają się głosy o przekazaniu jego zasobów do Archiwum Państwowego, ale mało kto zwraca uwagę na to, że materiały zarchiwizowane przez IPN stanowią około jednej czwartej tych państwowych. Powstaje pytanie, na ile archiwa państwowe byłyby przygotowane do takiej operacji – czy mają odpowiednie magazyny. A co z lustracją? A co ze śledztwami prowadzonymi w sprawach na gruncie prawa międzynarodowego? One nie ulegają przedawnieniu, a zobowiązana konwencjami Polska nie może przestać podejmować prób – dopóki to możliwe – ich ścigania. Jest pole do dyskusji o tym, jak instytut ma wyglądać, natomiast postulat jego likwidacji uważam za bezzasadny.

O przeniesieniu archiwów mówi się najczęściej, kiedy podnoszony jest temat likwidacji IPN. A przecież idea była taka, że mają pozostać niezależne od sieci państwowych.

Tak. I nikt chyba nie myśli o zmianie. Bo byłby to demontaż bezpieczników: w IPN obowiązuje zasada ograniczonego dostępu, a więc są pewne kategorie osób, które mają nieograniczony dostęp do wszystkich materiałów, przeciwny obywatel zaś do tych określonych, dotyczących dawnych funkcjonariuszy i osób pełniących istotne funkcje publiczne. Po przeniesieniu do archiwów państwowych sąsiad będzie mógł zajrzeć do teczek sąsiada zawierającej dane bardzo wrażliwe. Nie wyobrażam sobie, aby w ramach jednolitej sieci archiwów istniały dwa porządki udostępniania. Bardzo szybko byłoby to obalone na drodze prawnej. A więc jest pytanie: czy chodzi o rozprawienie się z funkcjami IPN, czy po prostu zlikwidowanie tej nazwy, która u tak wielu osób wywołuje negatywne emocje? Mam czasem wrażenie, że one przeważają nad myśleniem w kategoriach państwowych.

Do 2016 r. działało Biuro Edukacji Publicznej, dziś to Biuro Edukacji Narodowej.

Te zmiany nie są przypadkowe. I ja również nieprzypadkowo używam sformułowania „instytucja publiczna”, a nie „państwowa”, bo to sposób myślenia o instytucji, który jest mi bliski. IPN powinien służyć całemu społeczeństwu,

nawet tym, którzy są jego najzagorzalszymi przeciwnikami i najgłośniejszą mową, że należy go zlikwidować.

A jak wygląda sytuacja w innych państwach? Instytucje powołane na wzór IPN nadal działają?

IPN jak wiele podobnych instytucji na całym świecie – nie tylko w krajach postkomunistycznych – jest instytucją nadzwyczajną, powołaną do tego, by radzić sobie z trudnym dziedzictwem. I to oznacza, że kiedyś ta funkcja Instytutu Pamięci Narodowej wygaśnie, ale to jeszcze nie jest ten czas. Niemcy podjęły już decyzję o likwidacji urzędu Gaucka, ale on głównie udostępniał materiały archiwalne Stasi. W Niemczech przyjęto model bardziej rozproszony i wiele instytucji publicznych lub finansowanych z budżetu państwa zajmujących się okresem komunizmu dalej funkcjonuje. Zatem Niemcy, mimo że zaczęli 10 lat wcześniej od nas, jeszcze tego procesu nie kończą.

Warto przypomnieć, że przedwójny powołaniu instytutu do życia prezydent Aleksander Kwaśniewski zmienił zdanie, co wyraził poprzez wzięcie udziału w konferencji poświęconej stanowi wojennemu, która została zorganizowana 13 grudnia 2001 r.

To był bardzo ważny gest nie tylko wsparcia dla IPN wobec prób likwidacji de facto zaraz po jego powstaniu. Zresztą wtedy – w latach 2001–2002 – najłatwiej było go znieść, bo większość materiałów archiwalnych nie została do niego przeniesiona. Tego dnia padły też, aczkolwiek nie wprost, przeprosiny za stan wojenny, jedyne wyrażone przez byłego funkcjonariusza komunistycznego na takim szczelbu.

Ruszył konkurs na prezesa IPN. Pana oczekiwania?

Ustawa wciąż pozwala prezesowi na niezależność. Tylko musi chcieć być niezależnym od polityków.

„Rozwiązaniem nie jest jedynie reforma lub likwidacja samego IPN. Konieczny jest namysł nad tym, jak w sposób kompleksowy zinstytucjonalizować państwową politykę pamięci” – powiedział dwa lata temu „Gazecie Wyborczej” dr Krzysztof Persak.

Jak najbardziej. Najgorszym rodzajem polityki historycznej jest jej nieprowadzenie. Jeśli państwo abdykuje, pojawiają się siły niekoniecznie kierujące się dobrymi intencjami. Konieczne jest przemyślenie zarówno instytucjonalne, a więc jakimi narzędziami państwo operuje, jakie ma instytucje, które dla wspólnych potrzeb wewnętrznych, jak i zewnętrznych prowadzą działalność w sferze pamięci, jak i szersze. Bo polityka pamięci to również przestrzeń do działania dla samorządów i organizacji pozarządowych – państwo jest i powinno być tu obecne, np. poprzez finansowanie. Polifoniczna polityka historyczna będzie dużo skuteczniejsza niż monofoniczna. W każdym z tych wymiarów – a więc rozumienia samego siebie, czyli w sferze tożsamości, jak i działania na zewnątrz, czyli budowania wizerunku państwa i narodu – takie myślenie przyniesie lepsze owoce.

Instytut Pamięci Narodowej powołała do życia ustawa z 18 grudnia 1998 r. Kształtu IPN nabierał przez kolejne dwa lata. Zgodnie z ustawą instytutem kieruje prezes, który „w sprawowaniu swego urzędu jest niezależny od organów władzy państwowej”.

Pierwszym prezesem IPN został prof. Leon Kieres, obecnie sędzia TK. Kiedy jego kadencja (2000–2005) dobiegła końca, Sejm powołał na urząd dr. hab. Janusza Kurtykę, a po jego śmierci w katastrofie smoleńskiej jego obowiązki na ponad rok przejął dr Franciszek Gryciuk. Nowym prezesem został związany z instytutem od samego początku dr Łukasz Kamiński, którego kadencja została z kolei skrócona nowelizacją z 2016 r. Wtedy szefem instytucji wybrany został dr Jarosław Szarek – naukowy i polityczny wychowa-

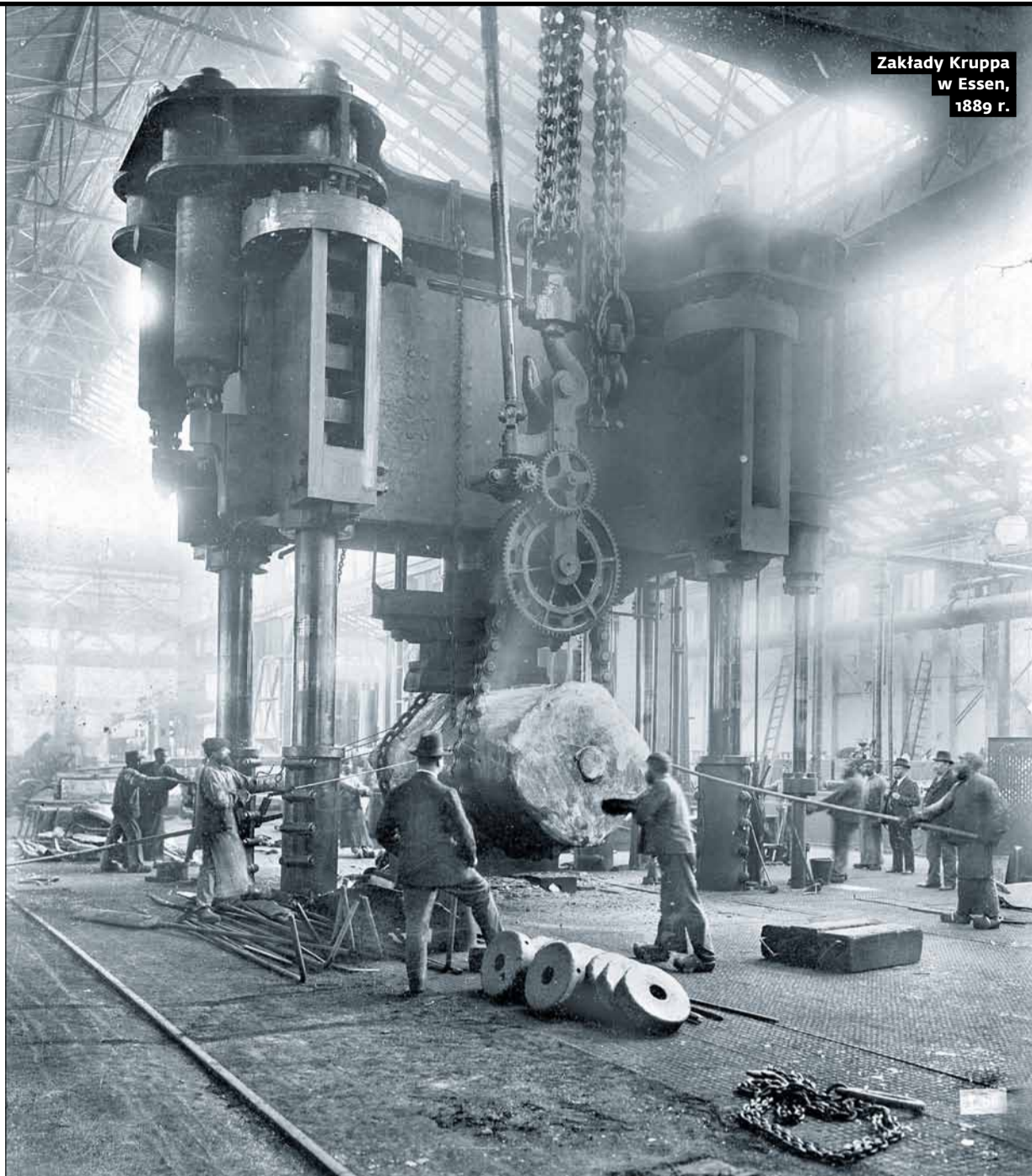
nek Ryszarda Terleckiego. W lipcu tego roku kończy się jego kadencja. Prezesa, zgodnie z ustawą, powołuje Sejm za zgodą Senatu na wniosek dziewięcioosobowego kolegium IPN, które przeprowadza konkurs. Członków kolegium na siedmioletnią kadencję powołuje Sejm (5), Senat (2), prezydent (2) – w obecnym składzie zasiada do 2023 r.

Częściami IPN są: Główna Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu (pion prokuratorski), Biuro Lustracyjne, Archiwum IPN, Biuro Upamiętniania Walk i Męczeństwa, Biuro Poszukiwań i Identyfikacji, Biuro Edukacji Narodowej i Biuro Badań Historycznych.

W 2020 r. budżet IPN wynosił 423 mln zł. W 2021 r. – blisko 398 mln zł (dla porównania pięć lat temu było to 269 mln zł, a w 2012 r. – 223 mln zł).

Instytut zatrudnia ponad 2 tys. pracowników. Ma 11 oddziałów i siedem delegatur.

Do zadań IPN należy archiwizowanie dokumentów wytworzonych przez organy bezpieczeństwa państwa od 22 lipca 1944 r. do 31 lipca 1990 r., prowadzenie śledztw w sprawie zbrodni nazistowskich i komunistycznych popełnionych w okresie od 8 listopada 1917 r. do 31 lipca 1990 r. na osobach narodowości polskiej, jak też na mniejszościach. Ponadto zajmuje się badaniami naukowymi oraz działalnością edukacyjną i wydawniczą. Poszukuje również miejsc pochówku ofiar czystek etnicznych, a także osób, które zginęły, walcząc z systemami totalitarnymi. Instytut odpowiedzialny jest także za upamiętnianie ważnych w polskiej historii wydarzeń, miejsc i postaci.



Zakłady Kruppa
w Essen,
1889 r.

foto: Roger Viollet via Getty Images

Koncerny mocarstw

Andrzej Krajewski

Wostatnim tygodniu Facebook pokazał swoją siłę Australii. Gdy tamtejszy rząd postanowił zmusić korporację do płacenia wydawcom za treści linkowane na portalu, Mark Zuckerberg natychmiast zaordynował działania odwetowe. FB ogłosił zablokowanie wszelkich linków odsyłających do australijskich mediów i to nie tylko na terytorium tego kraju, lecz na całym świecie.

W odpowiedzi 17 lutego premier Scott Morrison zamieścił na facebookowym profilu post, w którym podkreślił, że działania korporacji są „tylko aroganckie, co rozczarowujące”. I ostrzegł Zuckerberga, że „te działania tylko potwierdzają obawy wyrażane przez rosnącą liczbę krajów na temat zachowania firm Big Tech, które myślą, że są większe niż państwa i że zasady nie powinny ich obowiązywać”.

Twórca FB raczej nie wziął sobie tych słów do serca, bo niecały tydzień później Australia ogłosiła kompromis. Korporacja zdjęła „ban”, zaś rząd wprowadził do ustawy poprawki. Wysokość opłat ma zostać wynegocjowana podczas rozmów wydawców bezpośrednio z amerykańskim koncernem. Jednocześnie może on być zwolniony z konieczności płacenia, jeśli zainwestuje w rozwój „przemysłu informacyjnego”.

Dlatego, choć wielu Amerykanów poczuło się zdradzonych przez koncerny za „zbanowanie” Donalda Trumpa i wręcz ostentacyjne wsparcie demokratów, to odgrywiają one bezcenną rolę w podtrzymywaniu dominacji USA. Zwłaszcza że dawne atuty Ameryki mocno skruszały. Imperiom od wieków potrzebne są korporacje. I to nawet bardziej niż korporacjom imperia.

Wojna o handel

„Z całego swego wielkiego państwa Anglicy nie odkryli właściwie niczego: Portugalczycy zamknęli przed nimi Afrykę, Indie Wschodnie, Chiny, Hiszpanie – resztę” – podsumowuje w książce „Englands Bündnisse” austriacki publicysta i badacz historii XX w. Anton Zischka.

Z odcięciem od dalekich lądów Albion nie zamierzał się pogodzić. Jego królowie finansowali korsarzy, którzy napadali na statki wrogich mocarstw. „Ale, choć wyprawy korsarskie przynosiły bogatą zdobycz, angielska żegluga była wówczas tak nic nie znacząca, że Hiszpania nie zadała sobie nawet trudu, aby wydać wyspie wojnę. Hiszpanie zaczęli traktować wroga poważnie dopiero od roku 1587, po trzydziestu latach angielskich napadów korsarskich. Dopiero wówczas, gdy Anglia otwarcie podjęła wrogie kroki, gdy zaczęła popierać walczących przeciw Madrytowi powstańców niderlandzkich” – pisze Zischka.

Imperia, jeśli chcą trwać, potrzebują potężnych korporacji. Bo one są jak wielkie odkurzacze, potrafiące zasysać zyski z najdalszych zakątków świata

Leżącym na peryferiach Europy państwem władała wówczas ambitna królowa Elżbieta. „Jest tylko kobietą, panią zaledwie połowy wyspy, a jednak wzbudza lęk Hiszpanii, Francji... wszystkich” – charakteryzował ją papież Sykstus V. Chcąc pozbyć się konkurentki, hiszpański król Filip II w 1588 r. wysłał olbrzymią flotę na podbój Wysp Brytyjskich. Ale Elżbieta znakomicie przygotowała kraj do wojny, sprzyjało jej też szczęście – Wielka Armada została mocno poharatana przez sztormy, nim angielskie okręty zadały jej ostateczną klęskę.

Triumf odniesiony nad Hiszpanią otwierał przed Anglią nowe możliwości, choć początkowo zupełnie ich nie doceniano. „Ani królowie angielscy, ani dostojnicy, szlachcice czy nawet kupcy – nie myśleli o imperium” – podkreśla w monografii „Brzemie białego człowieka. Jak zbudowano Imperium Brytyjskie” Kazimierz Dziewanowski. Zysków szukano w handlu z egzotycznymi krajami. Z inicjatywy londyńskich kupców zaczęto więc zakładać specjalizujące się w nim kompanie. Miały one poszukiwać szlaków morskich będących poza kontrolą flot Hiszpanii i Portugalii. To dzięki tym firmom otwierały się przed towarami z Wysp Brytyjskich nowe rynki zbytu.

„Wielkie kompanie londyńskie, słabo tylko uzależnione od państwa, działały w warunkach sprzyjających osobistej przedsiębiorczości, samorządności i poleganiu na własnych siłach” – podkreśla George M. Trevelyan w „Historii społecznej Anglii”. Jedną z nich była spółka akcyjna, której królowa Elżbieta zgodziła się 31 grudnia 1600 r. przyznać monopol na wszelki handel na obszarze leżącym między afrykańskim Przylądkiem Dobrej Nadziei a południowoamerykańską Cieśniną Magellana. To oznaczało, że założona przez kupców i arystokratów kompania handlowa będzie konkurować o obszar świata, gdzie szlaki zdominowali Portugalczycy i Holendrzy. Pełna nazwa owego przedsiębiorstwa brzmiała: Towarzystwo Kupców Londyńskich do Handlu z Indiami Wschodnimi. Zapamiętano je jednak jako Kompanię Wschodnioindyjską.

Kompania do imperium

Biura spółki, która miała zyskać miano założycielki Imperium Brytyjskiego, mieściły się w domu Thomasa Smythe'a. Został on wybrany przez udziałowców na prezesa kompanii i, chcąc mieć blisko do pracy, wydzielił na siedzibę firmy własne trzy pokoje. „W roku 1601, a więc wkrótce po założeniu towarzystwa, wysłano na wschód pierwszą wielką wyprawę sfinansowaną już przez spółkę. W jej skład weszły cztery okręty, z których największy pływał przedtem pod czarną flagą i był silnie uzbrojony” – opisuje Dziewanowski.

Eskadrze udało się dotrzeć na Jawę i Sumatrę, gdzie kupiono pieprz oraz inne przyprawy. Na drugiej ze wspomnianych wysp założono faktorię handlową. Po powrocie do Anglii ładunek sprzedano za milion funtów. „Za jednym zamachem «trzy pokojowa Kompania» stała się potężnym towarzystwem handlowym” – opisuje Dziewanowski.

Jej sukcesy wynikały z osłabienia konkurencji. Kontrolujący szlaki handlowe z Europy do Indii oraz na Daleki Wschód Portugalczycy lata świetności mieli już za sobą. Poza tym wysłannikom kompanii udało się nawiązać bezpośredni kontakt z władającą prawie całymi Indiami dynastią Mogołów. Wprawdzie Portugalia próbowała to ukrócić, lecz jej flota, stacjonująca w Goa, okazała się zbyt słaba. Pierwsze starcie w 1612 r. ze statkami Kompanii Wschodnioindyjskiej – jak pisze Dziewanowski – „wykazało, że umiejętności angielskich budowniczych okrętów, żeglarzy i kanonierów zdecydowanie przewyższają wszystko, co mogli im przeciwstawić Portugalczycy”.

Ten fakt nie uszedł uwadze Nur ad-Din Salima Dżahangira. Władca uznał, że choć Portugalia szanuje jego rządy, lepiej postawić na Kompanię Wschodnioindyjską. Dlatego zdecydował się na nadanie spółce przywilejów handlowych. „Ładunek goździków kupiony na Wyspach Korzennych (Moluki – red.) za 2948 funtów został sprzedany w Londynie za 36 827 funtów” – odnotowuje Dziewanowski w celu ukazania, jak wyglądały możliwości szybkiego mnożenia dochodów.

Dzięki temu spółka mogła rozpocząć walkę o zdobycie pozycji monopolisty na pośrednictwo w handlu między Europą a Indiami i Dalekim Wschodem. Oplotła ten obszar świata siecią faktorii, baz oraz fortów, a ponieważ władza Mogołów w Indiach nie była scentralizowana i rządili de facto maharadzowie, to spółka uzależniła ich od siebie – opornych

obalala, gwarantując sobie lojalność nowych udziałami w zyskach. „Indyjscy władcy sprzedający lub wdzierzający ziemię Anglikom nie podejrzywali, co z tego w przyszłości wyniknie” – podkreśla Dziewanowski.

Proces pokojowej kolonizacji trwał długo, ale w 1757 r. udziałowcy Kompanii Wschodnioindyjskiej mogli pogratulować sobie sukcesu. Ich firma włączyła pod swój zarząd ostatnie skrawki Indii. Pod władzą kompanii znalazł się obszar o wielkości Europy zamieszkały przez 250 mln ludzi. Dziesięciokrotnie mniejsza Anglia mogła się w tym czasie pochwalić liczbą niewiele ponad 8 mln obywateli. Nic dziwnego, że w Londynie zabrzmiły dzwony alarmowe, bo zaczynało budzić wątpliwości, czy kompania jest podporządkowana królestwu, czy raczej ono kompanii. Zwłaszcza że akcjonariuszami spółki zostawali liczni parlamentarzyści i lordowie ze wszystkich stronnictw politycznych. Firma zatrudniała także lobbystów, przebywających na co dzień w parlamencie i na królewskim dworze.

Jednak strach przed spółką potężniejszą od królestwa przeważał i ustawą z 1773 r. Izba Gmin zdecydowała, iż Kompania Wschodnioindyjską ma kierować pięćosobowa rada. Troje jej członków wybierał parlament, dwóch akcjonariusze. Jednak to nadal kompania zarządzała Indiami, czerpiąc z tego ogromne dochody. Ten stan rzeczy zmieniło dopiero w 1857 r. wielkie powstanie Sipajów. Jego stłumienie wymagało przetrzeżenia armii z Wielkiej Brytanii, przy okazji wyszły na jaw olbrzymie nadużycia popełniane przez spółkę w skolonizowanym kraju. Londyn zdecydował wówczas, iż kontrolę nad Indiami musi przejąć administracja, podporządkowana bezpośrednio rządowi.

Skompromitowaną i cieszącą się złą sławą Kompanię Wschodnioindyjską oficjalnie rozwiązano w 1874 r., zaś trzy lata później brytyjska królowa Wiktoria przyjęła tytuł cesarzowej Indii.

Ojciec wieku stali

Stojąc u szczytu potęgi, Imperium Brytyjskie zorganizowało Wielką Wystawę Przemysłu Wszystkich Narodów, uroczyste otwartą 1 maja 1851 r. Na potrzeby ekspozycji, mającej świadczyć o przewadze Wielkiej Brytanii nad resztą świata, wzniesiono w Londynie Crystal Palace.

Jednak uważny obserwator mógłby dostrzec wówczas dwa wiele mówiące szczegóły. Wśród firm przemysłowych prezentujących dorobek, brytyjskie niczym szczególnym się nie wyróżniały. Uwagę zwiedzających przyciągnęło za to działo ze stalową lufą wyprodukowane przez Alfreda Kruppa. W czasach armat wytapianych z brązu prezentowało się równie oryginalnie, co stojąca obok sztaba z litej stali, którą również przywiózł do Londynu przemysłowiec z Essen.

Gospodarze docenili tę innowacyjność, nagradzając stoisko Kruppa złotym medalem. Nieświadomi, iż wkrótce niemiecki biznesmen stworzy koncern zdolny zagrozić ich imperium, Alfred Krupp nie marzył o zniszczeniu Wielkiej Brytanii, a jedynie jako jeden z pierwszych zrozumiał, iż stal będzie w nowych czasach najważniejszym materiałem konstrukcyjnym. Dzięki niej możliwa stała się budowa tysięcy kilometrów linii kolejowych, wieżowców, maszyn, wreszcie nowych rodzajów broni. „Do takiego wniosku doszedł w roku 1832, kiedy jako dwudziestoletni młodzieniec wyruszył w swoją pierwszą, większą podróż handlową po południowych Niemczech” – opisuje w książce „Geniusz i spekulanci. Jak rozdzielił się kapitalizm” Günter Ogger.

Sześć lat wcześniej Alfred przejął po śmierci ojca jego bankrutującą stalownię. Nastoletni Krupp uratował w Essen rodzinną firmę, zaś potem uczynił z niej najpotężniejszy koncern Rzeszy. Swoje wyroby oferował każdemu, nawet uznawanemu za największego wroga Niemców cesarzowi Francji Napoleonowi III.

Jednak jakoś stali Kruppa najpełniej docenił szef sztabu generalnego Prus Helmuth von Moltke. „Lata sześćdziesiąte przyniosły firmie Kruppa bezprzykładny boom zbrojeniowy – Prusy, dla których firma była głównym dostawcą armat, prowadziły wszak aż trzy wojny z rządu: najpierw z Danią, potem z Austrią i wreszcie z Francją. Nawiasem mówiąc, w czasie wojny austriacko-pruskiej po obu stronach frontu strzelały armaty produkcji firmy Krupp” – zauważa Ogger. Cztery lata później, na początku września 1870 r., pod Sedanem działa Kruppa strzelały dwa razy szybciej i celniej od francuskich, masakrując wojska Napoleona III. Wzięty wówczas do niewoli cesarz Francji rozpoczął rozmowę z pruskim królem Wilhelmem od słów:

„Gratuluję panu armii, a przede wszystkim artylerii”.

Dzięki pokonaniu Francji kraje niemieckie mogły się połączyć w Rzeszę pod egidą Prus. Wyniesiony na cesarski tron Wilhelm nie zapomniał, komu to zawdzięcza. Słusznie uważając, że potęgę zjednoczonych Niemiec budowali: na niwie politycznej – kanclerz Otto von Bismarck, militarnej – marszałek Helmuth von Moltke, zaś ekonomicznej – Alfred Krupp. Temu ostatniemu Wilhelm I zaproponował nawet tytuł szlachecki. Jednak przemysłowiec odmówił przyjęcia przedrostka „von”, oświadczając monarsze: „Krupp wystarczy”. Możliwość zostania arystokratą zupełnie nie zaimponowała szefowi największej korporacji w Europie, z którą kontrakty na dostawy stali i uzbrojenia podpisały rządy niemal wszystkich państw świata.

Odpowiedź z Ameryki

Gdy Kompania Wschodnioindyjska odchodziła w niebyt, koncern Kruppa zatrudniał 70 tys. robotników i żadna inna europejska firma nie mogła się z nim mierzyć. Najbardziej uderzał fakt, jak bardzo wielkością i zasobami finansowymi odstawiała od niemieckiej korporacji stalownie brytyjskie. Cesarz Wilhelm I, który był częstym gościem na zamku Kruppa w Essen, przytykał oko na fakt, że gospodarz sprzedaje broń każdemu państwu, bez oglądania się, czy czasem nie jest ono wrogo nastawione do II Rzeszy. Kiedy kwestię tę podniósł Sztab Generalny, Krupp odpisał generałom: „Sprzedaję armaty całemu światu po to, aby Niemcom dać najlepsze na świecie”.

Za jego sprawą tracące klientów stalownie brytyjskie nie miały dość kapitału, by wprowadzać technologiczne nowinki, pozostając coraz bardziej w tyle za koncernem z Essen. Ten zaś mógł liczyć na wsparcie rządu Niemiec w postaci monopolu na najważniejsze kontrakty zbrojeniowe i przemysłowe, a także taryfy celne, chroniące rynek przez zagranicznymi wyrobami. W odpowiedzi Londyn specjalną ustawą narzucił w 1887 r. obowiązek oznaczania niemieckich produktów etykietą „Made in Germany”. Stojący na czele brytyjskiego rządu lord Salisbury był przekonany, że brytyjski konsument zawsze wybierze rodzime wyroby i zrezygnował z ustanowienia adekwatnych cel, broniąc tak doktryny wolnego handlu. Pewność szefa rządu okazała się nieuzasadniona, bo wyroby Kruppa były zbyt dobre, żeby przegrywać na rynku z brytyjskimi.

W tym starciu triumf niemieckiego koncernu nie był całkowity jedynie dlatego, że za oceanem zaczęły wyrastać groźni konkurenci. Najpierw szkocki emigrant Andrew Carnegie wprowadził do użytku w hutach wynalazek angielskiego inżyniera Henry'ego Bessemera – i jego firma Carnegie Steel w kilka lat wyrosła na największego producenta stali w USA. Znamienne, że wcześniej gruszka Bessemera zupełnie nie zainteresowała firm brytyjskich. Co innego koncern Kruppa, bo ten zawsze stawiał na innowacyjność. Dzięki temu nadal w Stanach Zjednoczonych linie kolejowe i wieżowce budowano z niemieckiej stali. Zaś Carnegie Steel uciekały wielkie kontrakty rządowe.

Gdy w 1892 r. wybuchł w USA kryzys gospodarczy, zirytowany Szkot osobiście udał się do Białego Domu ze skargą. Prezydent Grover Cleveland dał się łatwo przekonać, że rząd musi chronić rodzimych producentów i wzorem Niemiec wprowadzić cła na zagraniczne wyroby. Jak ta decyzja wpłynęła na dochody koncernu, łatwo przedśledzić na podstawie zapisów księgowych: Carnegie Steel w 1893 r. mogło się pochwalić 3 mln dol. zysku, siedem lat później już 21 mln dol.

Kto ma większą korporację

Pomimo sukcesów Carnegie Steel Amerykanie jeszcze długo mogliby marzyć o złamaniu na własnym terytorium potęgi Kruppa, gdyby nie John Pierpont Morgan. Trwający kryzys gospodarczy spowodował, że amerykańskie rezerwy kruszców spadły do niebezpiecznie niskiej kwoty 100 mln ówczesnych dolarów. Tymczasem parytet złota był gwarancją wymienialności dolara. Taka sytuacja wymagała interwencji banku centralnego, lecz Stany Zjednoczone po prostu go nie posiadały.

Groźba krachu walutowego zaniepokoiła najpotężniejszego bankiera Ameryki J.P. Morgana. Po jego namowach prezydent Cleveland zgodził się przyjąć od bogacza pożyczkę 10 mln dol. w złocie. W zamian powierzył bankowi Morgana zadanie dbania, by na światowych giełdach utrzymać niezmienny kurs dolara względem najstabilniejszej waluty świata – brytyjskiego funta. Tym spo-



Wilhelm I zaproponował tytuł szlachecki Alfredowi Kruppowi. Ten odmówił. Możliwość zostania arystokratą zupełnie nie zaimponowała szefowi największej korporacji w Europie, z którą kontrakty na dostawy stali i uzbrojenia podpisały rządy niemal wszystkich państw świata

sobem prywatna korporacja zagarnęła dla siebie rolę nieformalnego banku centralnego USA. „Na przełomie wieków Morgan był czołowym bankierem świata i żadna firma nawet nie zbliżyła się do poziomu władzy, jaką cieszył się w Stanach Zjednoczonych” – twierdzi Charles R. Morris w książce „Giganci”.

Po zdominowaniu sektora bankowego następnym krokiem dla niego stało się namówienie Andrew Carnegie'ego do odsprzedażania Carnegie Steel. Szkot, który kilka lat wcześniej kupił zamek w swojej starej ojczyźnie i tam zamierzał spędzić emeryturę, wahał się. Jednak za namową żony tuż po sylwestrze 1899 r. zgodził się odsprzedać dzieło życia za 250 mln ówczesnych dolarów. Potem jednak zmienił zdanie i w końcu tak skłócił się ze współnikami, że doszło do głośnego procesu.

Siedmiokrotny wzrost dochodów Carnegie Steel imponował, ale łatwo dawało się zauważyć, iż bez taryf celnych byłby niemożliwy. W Kongresie demokraci zaczęli więc stawiać pytanie, czy potęga korporacji nie została zbudowana kosztem konsumentów, płacących wyższe ceny. Wówczas uczestni-

cy sporu zostali zasypani listami od innych biznesmenów oraz republikańskich polityków. Proszono, by wyciszyli aferę, ponieważ rozszkoceni wyborcy mogą zażądać zmiany protekcyjnej polityki rządu.

Podobnie jak w przypadku kryzysu walutowego w końcu wszyscy poprosili o pomoc J.P. Morgana. Ten dość długo wahał się, nim wreszcie zgodził wyłożyć na wykupienie akcji Carnegie Steel gigantyczną sumę 500 mln dol. (obecnie byłoby to ponad 150 mld dol.). Następnie dokonał fuzji koncernu z posiadanymi już przez siebie stalowniami i w marcu 1901 r. ogłosił powstanie United States Steel Corporation. Największej spółki świata z kapitałem akcyjnym wartym ok. 1,4 mld dol. (dziś byłoby to prawie 0,5 bln dol.).

„Jest za późno, by spierać się o zalety zrzeszeń przemysłowych, gdyż są one konieczne” – oświadczył dwa lata wcześniej podczas publicznego wystąpienia John D. Rockefeller. Właściciel Standard Oil konkurował wówczas z J.P. Morganem o miano najbogatszego człowieka świata. Dzięki zdominowaniu sektora naftowego w Ameryce dysponował wystarczającymi środkami, by zbudować ogólnosiwiatowy koncern paliwowy, zdolny prowadzić interesy w każdym punkcie globu.

Jednak na początek ktoś musiał tę ekspansję sfinansować. Tym kimś byli mali przedsiębiorcy i zwykli Amerykanie, przepłacający za naftę, benzynę, smary, wyroby stalowe czy usługi banków. Dzięki drenowaniu ich kieszeni Rockefeller do naftowego imperium dołączał kopalnie miedzi, banki i towarzystwa ubezpieczeniowe, rozciągając działalność korporacji na nowe obszary gospodarki. Dokładnie to samo robił J.P. Morgan.

Po tej akumulacji Ameryka okazała się już dla nich zbyt mała i musieli ruszyć na podbój świata. Dokładnie tak samo, jak niegdyś Kompania Wschodnioindyjska. To, że wielkie korporacje brały na siebie rolę forpoczty mocarstw, nie zmieniło się też w następnym stuleciu i reguła ta nadal obowiązuje. Tylko imperia się zmieniają. ©

REKLAMA

AWE HIGIENICZNA
OBSESJA
www.awe.com.pl

Mobilne urządzenie do dezynfekcji rąk sprayBOX®



MOBILNE BEZPIECZNE SKUTECZNE

Urządzenie służące do bezpiecznej, automatycznej dezynfekcji obu rąk jednocześnie.

Wykonanie w całości nierdzewne lub dodatkowo malowane na kolor RAL 9003.

Pojemniki na płyn dezynfekujący oraz płyn „brudny” ukryte w zamkniętej szafce.

Regulacja wielkości natrysku.

Zasilanie 230 V, sterowanie 24V.

AWE POLAND Sp. z o.o.
ul. Inwalidów 3
85-749 Bydgoszcz

tel. +48 52 345 24 44, 345 24 88
e-mail: info@awe.com.pl

Urządzenie zaprojektowane, wyprodukowane i serwisowane w POLSCE!

Służby dla opornych

Służby traktowane są instrumentalnie, nie tyle w kategoriach instrumentu wspierającego politykę państwa, ile jako sfera pożądanego wpływu politycznych – ten cytat z książki „Kontrola służb specjalnych w Polsce” nawiązuje do debaty o reformie służb sprzed niemal ćwierćwiecza. Niestety nie stracił na aktualności.

Służby specjalne od zawsze były ważnym narzędziem polityki – nawet wtedy, gdy jeszcze ich w ten sposób nie nazywano. Starożytni i średniowieczni możni zawdzięczali swoim szpiegom wiedzę o zamiarach konkurencji zewnętrznej i wewnętrznej oraz możliwość otrucia czy skompromitowania rywali. Potem już tylko doskonalono struktury i metody działania.

Doskonalono też systemowy nadzór nad funkcjonowaniem służb. Co bystrzejsi rządzący zawsze zdawali sobie sprawę, że to potężne narzędzie może się łatwo obrócić przeciwko nim. Wyznaczali więc do kierowania nim ludzi

możliwie najbardziej zaufanych, ale też tworzyli różne specinstytucje, by wzajemnie patrzyły sobie na ręce. W krajach demokratycznych nacisk opinii publicznej, ale też lęki wielu

polityków spowodowały, że wgląd w kuchnię służb stopniowo zyskiwali cywile: urzędnicy ministerstw, prokuratorzy i sędziowie, parlamentarzyści. Stopniowo poszerzał się także zakres, w jakim cywilni politycy wpływają na wyznaczanie wywiadów i kontrwywiadów kierunków pracy i stawianie konkretnych celów.

Ma to swoje oczywiste dobre strony, np. zmusza służby do działania w granicach prawa, przynajmniej wobec własnych obywateli (bo co do obcych, to z założenia niekoniecznie). Ogranicza też zawsze występujące ryzyko, że jakaś służba lub jej część będzie tylko pozorować właściwą działalność, a skupi się na realizacji prywatnych interesów (choćby materialnych) albo, co gorsza, stanie się narzędziem w rękach wrogów państwa (historia zna i takie przypadki). Przynajmniej teoretycznie cywilny nadzór i kontrola, jeśli ich system jest prawidłowy, powinny też zapobiegać innej patologii – mianowicie charakterystycznej dla krajów autorytarnych sytuacji, w której służba chroni głównie bieżące interesy władcy, konkretnej partii rządzącej lub jakiejś dworskiej kamaryli, nie zaś ponadpartyjne i długofalowe interesy ogólnonarodowe.

Z drugiej jednak strony (uwaga, niepoprawne politycznie!) nadmiar kontroli też nie jest rzeczą dobrą. Przede wszystkim dlatego, że im więcej osób zna tajemnicę, tym szybciej przestaje być ona tajemnicą. I nic tu, że z zasady zewnętrzni kontrolerzy nie mają dostępu do tego, co najtajniejsze, czyli na przykład do personaliów agentury czy szczegółów działań operacyjnych. Informacje nawet pozornie odległe od tego twardego jądra, w dobrej wierze przetwarzane i upubliczniane, mogą w rękach obcych profesjonalistów stać się użytecznymi fragmentami układanki i pomóc im w rozgryzieniu najpilniej strzeżonych sekretów.

Kontrolerzy, o których mowa, siłą rzeczy sprawdzają głównie legalność działań – a brutalna prawda jest taka, że niektóre rzeczy (i to nie tylko w wywiadzie i kontrwywiadzie) można zrobić albo zgodnie z procedurami, wymyślonymi przez polityków i biurokratów, albo skutecznie. Sztuka polega więc na znalezieniu odpowiedniego balansu.

No i wreszcie, żeby zrozumieć to, co się kontroluje, zazwyczaj nie wystarczy dobra wola.

Przydaje się fachowa wiedza, którą można pozyskać na dwa sposoby: albo dzięki wieloletniemu doświadczeniu w samych służbach, albo dzięki pogłębionym, specjalistycznym studiom teoretycznym plus obcowaniu z praktykami w innych sytuacjach zawodowych. Liczba osób z niezbędnymi kwalifikacjami bywa zaś zazwyczaj nikła. Siłą rzeczy do zbyt rozbudowanych systemów nadzoru i kontroli przychodzi więc dopuszczać także (najdelikatniej mówiąc) amatorów. Efekt ich gospodarowania w kurniku bywa zaś taki, że obce służby mogą tylko pić piwo, pogryzać chipsy i z satysfakcją obserwować demokę.

Starzy oficerowie służb z krajów demokratycznych czasem z nutą zazdrości mówią o swoich odpowiednikach z państw autorytarnych. Na przykład z Rosji, o której słusznie powiada się, że „to nie ona ma służby, lecz służby mają ją”. A to oznacza i dobrą, profesjonalną komunikację między decydentami politycznymi a oficerami, i duży zakres swobody w doborze optymalnych środków działania, a przede wszystkim rzecz z punktu widzenia każdej służby bezcenną – poczucie wzajemnej lojalności. Czyli możliwość zakładania, że zarówno instytucja, jak i konkretny pracujący dla niej człowiek, podejmując w interesie decydentów działania kontrowersyjne (taki miły eufemizm), podlega w związku z tym długoterminowej i kompleksowej ochronie ze strony organów państwowych. Warto przy tej okazji odnotować, że coś takiego da się zbudować także w warunkach państwa demokratycznego – najlepszym bodaj przykładem jest Izrael, w którym znaczna część klasy politycznej ma za sobą przeszłość wojskowo-wywiadowczą, a w efekcie zachodzi stała synergia i zrozumienie pomiędzy służbami specjalnymi a osobami wyznaczającymi zadania i kontrolującymi. Tyle że tam opiera się to bardziej na swoistym etosie i starannie budowanym od zarania państwowości autorytecie służb niż na rozwiązaniach formalnoprawnych (skądinąd, też stale doskonalonych).

W Polsce nie mamy tego komfortu. Nasze służby działają więc w wyjątkowo trudnym środowisku. Z jednej strony kształtują je coraz bardziej asertywni kontrpartnerzy zewnętrzni; zarówno „państwowi” (w tym także ci, którzy teoretycznie są sojusznikami), jak i „pozapaństwowi” (czyli podejmujące działania operacyjne podmioty komercyjne, a także organizacje terrorystyczne i mafijne). Z drugiej – społeczeństwo nie ceni służby na tajnym froncie, co przekłada się choćby na możliwości werbunkowe, ale też pośrednio na poziom finansowania. I wreszcie stosunki pomiędzy światem służb i światem polityki są w naszym kraju wyjątkowo toksyczne.

Politycy (z nielicznymi, chlubnymi wyjątkami) służb specjalnych nie rozumieją, więc albo się ich panicznie boją, albo próbują używać nie tak, jak należy. Pierwsi tną budżety, jak mogą i obsadzają możliwie miernych, ale wniernych szefów w nadziei, że tak wykastrowany wywiad i kontrwywiad z Rosjanami czy Al-Kaidą co

prawda nie powalczy (ale od tego są przecież sojusznicy, a „nasza chata z kraja”), natomiast z pewnością nie zrobi też krzywdy panu premierowi i jego ministrom. Drudzy też obsadzają służby ludźmi sobie posłusznymi, ale z nadzieją, że ci pomogą im w zwalczaniu wewnętrznej, politycznej konkurencji. Jeśli przy okazji zwalczą też jakąś mafię, obcy wywiad lub terrorystów, to fajnie – ale to staje się zadaniem trzeciorzędnym. Reformy zaś robi się zazwyczaj nie po to, by służby lepiej służyły państwu – lecz by pozbyć się z nich niewygodnych oficerów i zrobić miejsce dla swoich, mniej doświadczonych, ale za to bardziej skłonnych do służalczości. To zaś fatalnie wpływa na etos i morale kadry. I powoduje, że nie ma co liczyć na mechanizmy samokontroli w służbach. Trzeba więc niewolniczo przestrzegać procedur i to przestrzeganie nadzorować. I tak kółko się zamyka.

Profesor Sławomir Zalewski (przez wiele lat insajder, czyli oficer polskich służb specjalnych, a od pewnego czasu wnikliwy ich obserwator i badacz akademicki) w swojej najnowszej książce pisze wprost jedynie o części sygnalizowanych wyżej problemów. Część pojawia się między wierszami. O pozostałych pisać albo nie wypadało, albo nie da się w formule naukowej.

Można co najwyżej w publicystycznej – i to warto zrozumieć i uszanować. Zalewski daje za to solidny wykład o całym instytucjonalnym systemie kontroli służb w Polsce, zarówno w aspekcie nadzoru administracji centralnej, jak i parlamentu oraz sądów i prokuratury. Przejrzyście i kompetentnie przypomina też historię tworzenia się tego systemu, jego ewolucję i tło w postaci polityczno-eksperskich debat. To szczególnie wartościowa część książki, bo młodszym wyjaśni, że różne obozy miały w tym zakresie koncepcje z dzisiejszej perspektywy całkiem egzotyczne, a starszym (i bardziej wtajemniczonym) góralom przypomni pewne smaczki. Czytelnikowi mniej zorientowanemu przyda się zaś jasne wytłumaczenie, co tak naprawdę kryje się pod

pojęciem „służby specjalne”, jaki jest ich zakres działania i specyfika i jakie metody i techniki operacyjne są przez nie współcześnie stosowane, i po co. Wszystkim zaś, którzy chcą pracować nad tym, by służby działały w Polsce lepiej – a przynajmniej o tym w miarę mądrze dyskutować – bardzo przyda się m.in. uważna lektura rozdziałów o funkcjonalności instytucji bezpieczeństwa i o sposobach jej oceny.

A jest o czym rozmawiać i nad czym pracować. I to szybko. „Przyjąć trzeba, że osiągnięcie znaczących efektów w polityce międzynarodowej przez państwo o średnim potencjale jest w obecnych warunkach bezpieczeństwa utrudnione przez braki kontroli nad przestrzenią informacyjną. W aspekcie działalności służb specjalnych pozytywna kooperacja z partnerami zagranicznymi jest sztuką gry informacyjnej, w której liczą się własne aktywa oraz możliwości ich wykorzystania, jak też kontrola nad nimi. Kooperacja negatywna wymaga zbudowania zdolności ofensywnych, jak i defensywnych, w tym systemu ochrony kręgu decyzyjnego, ale także szerzej, ochrony infrastruktury informacyjnej państwa oraz jego relacji zewnętrznych w tym wymiarze” – pisze Zalewski w podsumowaniu. Przekładając to z naukowego na bardziej dosadne: w infosferze, czyli na głównej dziś płaszczyźnie ochrony narodowych interesów, rypią nas, jak chcą. A amatorzy bawią się zabawkami, do których nikt im nie dołączył instrukcji obsługi. Jej solidny kawał napisał Sławomir Zalewski. Trzeba tylko chcieć przeczytać, zrozumieć i wdrożyć. ©

WITOLD SOKAŁA

doktor nauk o polityce z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, ekspert Nowej Konfederacji



Sławomir Zalewski, „Kontrola służb specjalnych w Polsce”, Wydawnictwo Difin SA, Warszawa 2021



Większość polityków służb specjalnych nie rozumie, więc albo się ich panicznie boi, albo próbuje używać nie tak, jak należy

Zbudujmy Sieć Naturalnej Energii

Dla rolnictwa, przedsiębiorstw, gmin i osób fizycznych

Polska emituje średnio ponad 8 ton dwutlenku węgla na jednego mieszkańca w ciągu roku. Europejska, w tym i polska polityka energetyczna oparta o odnawialne źródła energii nadal kuleje. Tymczasem każdy z nas, korzystając z różnych form produkcji naturalnej energii może przyczynić się do znacznej redukcji emisji CO₂.

Odnawialne źródła energii to przyjazne środowisku technologie, które z jednej strony usprawniają codzienną działalność w gospodarstwach domowych i przedsiębiorstwach, a z drugiej – przyczyniają się do zwiększenia oszczędności w budżecie. – Intencją firmy NATURALNA ENERGIA.plus jest to, by jak najwięcej firm i ludzi mogło czerpać korzyści z tego tytułu płynące, dlatego zachęcamy, by włączyć się z nami w ten proces i cieszyć się niezależnością energetyczną, jednocześnie przyczyniając się do popularyzacji proekologicznych postaw. Z naszej strony wspieramy w tym dążeniu swoją wiedzą, doświadczeniem i sprawdzonymi produktami – mówi Adam Orzech, Prezes Zarządu firmy NATURALNA ENERGIA.plus Sp. z o.o., od ponad 20 lat związany z sektorem energetycznym, a od 9 lat z energią odnawialną.

Firma bardzo prędko weszła na rynek, by w krótkim czasie odnotować wysoką dynamikę rozwoju i dziś utrzymać znaczącą pozycję na rynku OZE w Polsce. – Rozpoczęliśmy działalność w momencie, kiedy w wytwarzaniu energii z biogazu ilościowo dominowały średnie i duże instalacje, działające głównie w oczyszczalniach ścieków komunalnych oraz na bazie ki-



Jedna z 30 mikrobiogazowni o mocy 33 kWe pracująca przy gospodarstwie rolnym

szonok roślin uprawnych. Rozwój sektora biogazowego ma niestety szereg ograniczeń, związanych zarówno z cenami zielonej energii, uwarunkowaniami prawnymi, jak i kwestiami społecznymi, czyli głównie niezrozumieniem tematu – zaznacza prezes Adam Orzech, i dodaje: – Dlatego skoncentrowaliśmy się na dotąd niezagospodarowanej w Polsce niszy, ofercie nieuciążliwych dla otoczenia instalacji mikro- i małych biogazowni pracujących na odpadach w miejscu ich powstawania. Próbowaliśmy skomercjalizować jedną z kilku istniejących takich instalacji w Polsce, które pracowa-

ły na potrzeby ośrodków naukowych, ale okazało się to niemożliwe. Udało nam się jednak znaleźć takie rozwiązanie w Belgii, które polski rynek byłby w stanie zaakceptować w sensie ekonomicznym (okres zwrotu inwestycji 4-8 lat), formalnym i technologicznym. To wypadkowa tych trzech czynników, moim zdaniem, zdefiniowała sukces, jaki odnieśliśmy w branży. Równie istotnym elementem było poczucie własnej odpowiedzialności i osobista pasja w zakresie wdrażania ekologicznych rozwiązań. Zespół „zminimalizowanych” urzędników biogazowni umożliwił przeprowadzenie fermenta-

cji metanowej odpadów organicznych i powstanie biogazu w ilości odpowiedniej do wytworzenia energii elektrycznej i ciepła w instalacjach o mocy od 10 do 74 kWe. Są to kompaktowe, kontenerowe, mobilne, monitorowane i sterowane online urządzenia do obsługi np. jednego gospodarstwa, zapewniające mu pełną niezależność energetyczną.

Mikrobiogazownie to flagowe produkty przedsiębiorstwa NATURALNA ENERGIA.plus, ale jego oferta instalacji do produkcji energii odnawialnej jest zróżnicowana i kompleksowo dostosowana do wielu rodzajów odbiorców. – Stąd też stworzyli-

śmy Grupę NATURALNA ENERGIA, gdzie równolegle wprowadzamy na polski rynek inne technologie, m.in. poprzez wyspecjalizowane spółki zależne, w tym wyrosłą z jednego z działów NATURALNEJ ENERGII – ErTerm NE Sp. z o.o. Firma ta w Grupie odpowiada za kompleksową realizację projektów inwestycyjnych branży HVAC, a zatem także dostawy i montaż pomp ciepła, instalacji wentylacyjnych oraz układów kogeneracyjnych – zaznacza prezes firmy. I tak, np. zarówno użytkownicy hal produkcyjnych, jak i właściciele domów jednorodzinnych mogą skorzystać z szerokiej gamy produktów i technologii wykorzystujących OZE lub „błękitne paliwo”. Z kolei atrakcyjną i innowacyjną ofertą dla rolnictwa i leśnictwa są wspomniane mikrobiogazownie wykorzystujące odpady zielone i instalacje fotowoltaiczne, ale również pompy ciepła w systemie bezpośredniego odprowadzania. Szczególne znaczenie technologie OZE, w kontekście gospodarowania mieniem i finansami publicznymi, mają dla samorządów. I tu także naprzeciw wychodzi Grupa, instalując mikrobiogazownie w małych, gminnych oczyszczalniach ścieków oraz przeprowadzając kompleksowe energo-modernizacje obiektów.

Urządzenia do produkcji ekoenergii z powodzeniem mogą być stosowane w obiektach użyteczności publicznej. Doskonale sprawdzają się w tym zakresie rozwiązania hybrydowe, czyli wzajemnie powiązane i zsynchronizowane urządzenia, wykorzystujące jednocześnie kilka technologii energii odnawialnej i konwencjonalnej.

NATURALNA ENERGIA.plus jest także szansą dla inwestorów zainteresowanych uruchomieniem ekoprzedsiębiorstwa energetycznego. Firma przeprowadza kompleksowo cały projekt organizacji, budowy i rozruchu farmy energetycznej, wraz z pomocą w pozyskaniu kapitału.

– Naszą misją jest promocja ekologicznych postaw i rozwiązań. Udowadnimy, że na technologie energii odnawialnej stać każdego, a wspólne budowanie Sieci Naturalnej Energii, oprócz rozprzestrzeniania się idei, daje satysfakcję z osobistych zysków każdego jej uczestnika – prosumenta – podsumowuje A. Orzech.

Maria Leżucha, Jacek Majewski



NATURALNA ENERGIA.plus Sp. z o.o.
ul. Robotnicza 52A, 53-608 Wrocław
tel. 71 341 02 19, 607 706 719
centrala@naturalnaenergia.plus

Laboratorium Wzorcowania Gazomierzy GAZ-SYSTEM – zaawansowana technologia i wysoka jakość pomiarów

GAZ-SYSTEM jest strategiczną firmą dla polskiej gospodarki i bezpieczeństwa energetycznego. Spółka odpowiada za niezawodny przesył gazu ziemnego oraz realizuje kompleksowy plan inwestycyjny, związany z rozbudową infrastruktury gazowej w Polsce.

GAZ-SYSTEM to również jeden z największych operatorów sieci przesyłowych w Europie Środkowo-Wschodniej. Wytycza nowe kierunki działania dzięki m.in. rozbudowie Terminalu LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu, budowie międzynarodowego gazociągu Baltic Pipe. Ambitne projekty inwestycyjne realizowane przez spółkę mają kluczowe znaczenie dla rozwoju niezależności gazowej Polski i państw regionu.

GAZ-SYSTEM aktywnie działa na polu innowacji, stawiając na nowe technologie w wielu płaszczyznach swojej działalności. Wśród zadań realizowanych przez spółkę istotną rolę jest zapewnienie dokładnego pomiaru ilości gazu na punktach wejścia i wyjścia systemu przesyłowego. Dlatego w roku 2018 GAZ-SYSTEM uruchomił wzorcowanie gazomierzy gazem ziemnym przy ciśnieniu roboczym, realizowane w ramach usług oferowanych przez jedną z komórek organizacyjnych spółki – Laboratorium Wzorcowania Gazomierzy przy Tłoczni Gazu w Hołowczycach.

To jest jedyne w Polsce i jedno z niewielu w Europie nowoczesne laboratorium wzorcujące gazomierze przepływu gazu ziemnego przy szerokim zakre-



Hala Laboratorium Wzorcowania Gazomierzy

się ciśnieniami roboczymi, nawet do 55 bar. To innowacyjne stanowisko jest unikalne w skali Europy, gdyż umożliwia wzorcowanie gazomierzy zarówno w obiegu zamkniętym, jak i otwartym. Pozwala również na prowadzenie istotnych badań urządzeń stosowanych w przemyśle gazowniczym, np. testów prototypów urządzeń pomiarowych. Technologia laboratorium została opracowana w ramach projektu ba-

dawczo-rozwojowego dofinansowanego z Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka.

Wzorcowanie gazomierzy gazem ziemnym przy ciśnieniu roboczym pozwala na zwiększenie dokładności pomiarów ilości przesyłanego gazu. Precyzja pomiaru gwarantuje wiarygodność pomiarów gazu w szeroko pojętej branży energetycznej: w kopalniach i magazynach gazu, spółkach dystrybucyjnych

oraz przesyłowych gazu, elektrociepłowniach i firmach z branży gazowniczej. Dokładne pomiary przekładają się na rzetelność rozliczeń ilości przepływającego gazu oraz podkreślają wiarygodność spółki, jako zaufanego partnera, stawiającego na nowoczesność, rozwój i innowację.

Laboratorium Wzorcowania Gazomierzy posiada Akredytację Polskiego Centrum Akredytacji (PCA) na zgodność z wy-

maginami normy PN-EN ISO/IEC 17025:2018-02 „Ogólne wymagania dotyczące kompetencji laboratoriów badawczych i wzorcujących” w zakresie wzorcowania gazomierzy turbiniowych. Akredytacja LWG jest obiektywnym dowodem na to, że laboratorium działa zgodnie z najlepszą praktyką, a także stanowi istotny argument przy wyborze dostawców usługi wzorcowania na rynku krajowym i międzynarodowym. Posiadanie statusu akredytowanego laboratorium wzorcującego (nr AP 183) w sposób formalny potwierdza jego kompetencje techniczne, wiarygodność, użyteczność i rzetelność uzyskiwanych wyników prowadzonych wzorcowań.

Laboratorium Wzorcowania Gazomierzy świadczy usługi na potrzeby GAZ-SYSTEM i komercyjnie dla klientów zewnętrznych. Systematycznie wzrasta zainteresowanie konwencjonalnymi usługami laboratorium, związanymi z wzorcowaniem gazomierzy, jak również pracami badawczo-rozwojowymi. Potwierdzają to rosnące ilości zrealizowanych usług. Tego typu prace z sukcesem zostały zrealizowane m.in. we współpracy z europejskimi producentami urządzeń pomiarowych.

Pracownicy laboratorium nieustannie podnoszą swoje kompetencje i utrzymują ciągły kontakt z innymi europejskimi laboratoriami, są także członkami międzynarodowych grup roboczych, opracowujących standardy związane z metrologią przepływu gazu. Laboratorium wciąż poszerza swoją działalność, odpowiadając na potrzeby klientów, dążąc do uzyskania akredytacji w zakresie wzorcowania gazomierzy innego typu, jak również zwiększając zakres strumieni objętości oraz ciśnień roboczych.

Laboratorium Wzorcowania Gazomierzy jest konkurencyjne w skali europejskiej. Z usług polskiego laboratorium korzystają klienci międzynarodowi, nie tylko ze względu na atrakcyjne ceny i szybkie terminy realizacji, ale przede wszystkim ze względu na wysoką jakość świadczonych usług. To pokazuje, że GAZ-SYSTEM jest wiarygodnym partnerem prowadzącym odpowiedzialny biznes, gdzie w parze z wielkimi inwestycjami infrastrukturalnymi, idzie rozwój nowoczesnych technologii, realizowany przez wysoko wykwalifikowaną kadrę pracowniczą.

Redakcja





z tytułem Dobra Marka 2021 oraz Polska Dobra Marka 2021

Blachotrapez to firma rodzinna z ponad 50-letnią tradycją. Wysoka jakość, precyzja i miazdząca przewaga technologiczna to coś, co wyróżnia ją na rynku. Spółka stawia na rozwój i odpowiedzialne podejście prospołeczne. To wszystko sprawia, że dziś Blachotrapez jest zdecydowanym liderem w swojej branży.

Etimologia nazwy firmy jest bardzo prosta i podyktowana pragmatyzmem. Pierwszymi produktami wytwarzanymi przez firmę były blachy trapezowe. To od nich wszystko się zaczęło. Dziś Blachotrapez to najszybciej rozwijający się producent pokryć dachowych i elewacyjnych w Polsce, tworzący unikatowe rozwiązania na skalę światową, w wysocze zautomatyzowanych halach produkcyjnych. Flagowe produkty i usługi firmy, jak autorski system Safe Profiling System (SPS) oraz usługa Express Dach 72h – kompletny dach na placu budowy już w trzy doby, zdecydowanie wyróżniają się na tle konkurencji. Express Dach to pierwsza oferta w branży budowlanej, która pozwala dostarczyć wszystkie zamówione komponenty – połącz dachową, rynny, obróbki, gąsior, okna dachowe, wkrety, folię w zaledwie 72 godziny. Cały proces jest z informatyzowany i wymaga jedynie wyboru po-

krycia przez klienta. To oferta technologii przyszłości, która dzięki innowacyjnej inwestycji firmy Blachotrapez oraz wyko-



rzystaniu techniki Just in Time zapewniana jest już dziś.

Blachotrapez posiada obecnie 130 Oddziałów Firmowych, 40 Oddziałów Partnerskich oraz 400 Autoryzowanych Dystrybutorów – tak rozbudowana sieć sprawia, że firma systematycznie rozszerza swój zasięg na kolejne rynki, wzmacniając pozycję. O sile Grupy Blachotrapez stanowi również rozbudowany parasol marek, to inwestycje, których motorem

napędowym jest najnowsza technologia. Tym samym spółka wyznacza rewolucyjne standardy w branży systemów rynnowych – KROP oraz fotowoltaiki. Najnowsza inwestycja Grupy – Revolt Energy powstała z pasji do nauki i rewolucyjnych rozwiązań, oferując niezawodne i kompatybilne instalacje fotowoltaiczne, gwarantujące najwyższą jakość i trwałość. Innowacyjne rozwiązania kształtujące technologie przyszłości branży budowlanej to coś, na co stawia Blachotrapez. Firma, zarówno przez konsumentów, jak i ekspertów branżowych została właśnie wyróżniona tytułem Dobra Marka 2021 – Jakość, Zaufanie, Renoma oraz Polska Dobra Marka 2021, będącymi dla spółki powodem do dumy i motywacją do dalszego rozwoju.

Poznaj produkty Blachotrapez i daj się zaskoczyć.

Oprac. J.J.

Tegoroczne, kluczowe inwestycje Strzegomia

Strzegom (woj. dolnośląskie) nie ustaje w realizacji inwestycji, podnoszących atrakcyjność miasta. Po szeregu przedsięwzięć infrastrukturalnych, rozpoczęły się prace przy rewitalizacji kulturowej dla mieszkańców terenu zielonego, tzw. „Fortu Gaj”. Priorytetem samorządu na ten rok jest także budowa mieszkań komunalnych.

Lokale przeznaczone będą dla ludzi samotnych, wychowanków domu dziecka, czy oczekujących na mieszkanie komunalne. Z uwagi na metraż (26 m²), każde będą mogły zająć maksymalnie 2 osoby.

Gmina pozyskała już wsparcie finansowe z Banku Gospodarki Krajowej. Gotowy też jest projekt. Zgodnie z planem pierwsze mieszkania przy ul. Konopnickiej mają zostać oddane do użytku jeszcze w tym roku. W sumie powstaną 82, ale w najbliższym czasie ich przybędzie, bo trwa budowa deweloperska na 50 lokali przy ul. Dolnej, a Towarzystwo Budownictwa Społecznego ze Świdnicy postawi budynek wielorodzinny przy ul. Krótkiej i Armii Krajowej.

Rozpoczęła się także, oczekiwana od wielu lat przez mieszkańców, rewitalizacja zielonego terenu Strzegomia, tzw. „Fortu Gaj”. Za kwotę ok. 4,5 mln zł zagospodarowana zostanie nowa, rekreacyjna wspólna przestrzeń. Środki pochodzą z Rządowego Funduszu Inwestycji Lokalnych i z budżetu gminy. Teren będzie oczyszczony, uporządkowana zostanie zielen, powstaną ścieżki, toalety, fontanna, miejsce

na grill i ognisko, monitoring, odnowione zostaną mury otaczające „Fort”, podciągnięta zostanie sieć wodociągowa, kanalizacyjna i energetyczna. Planowany termin realizacji to koniec września 2021 r.



Każdego roku strzegomski samorząd przeznacza na inwestycje kilkanaście milionów zł. Jednym z największych działań ostatnich lat było m.in. otwarcie nowoczesnego budynku przedszkola i żłobka o podwyższonych parametrach energetycznych, rewitalizacja Starego Miasta, parku miejskiego i dzielnicy Graby oraz uruchomienie komunikacji miejskiej.

Jacek Majewski



Strzegom jest 10-krotnym zdobywcą Złotego Godła QI, Laureatem Perły QI, Złotej Perły QI i Diamentu QI w Programie Najwyższa Jakość Quality International za realizowane usługi i inwestycje. Jest gminą, która najdłużej, nieprzerwanie uczestniczy w tym Programie. Burmistrz Zbigniew Suchyta właśnie odebrał nominację do udziału Strzegomia w tegorocznej edycji Programu.

Forum Biznesu



Partner
Twojego
eventu,
kongresu,
konferencji

kontakt:
redakcja@forumbiznesu.pl
tel. 32 731 21 04, 32 731 21 21
www.forumbiznesu.pl

KOMUNIKATY

KOMUNIKATY



ZARZĄD DZIELNICY ŚRÓDMIEŚCIE M.ST. WARSZAWY

INFORMUJE,

że zgodnie z art. 38 ust. 4 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz. U. z 2020 r. poz. 1990 z późn. zm.), odwołany został, ogłoszony na dzień 4 marca 2021 r. przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż, stanowiącego własność m.st. Warszawy, lokalu mieszkalnego nr 12 usytuowanego w budynku położonym w Warszawie przy ul. Hożej 35 wraz z udziałem w częściach wspólnych budynku i jego urządzeń, które nie służą do wyłącznego użytku właścicieli poszczególnych lokali oraz takim samym udziałem w prawie własności gruntu, na którym znajduje się budynek, oznaczonego jako działki ewidencyjne nr 64/1 i 64/2 o powierzchni 1.130 m² w obrębie 5-05-03, z powodu konieczności ustalenia aktualnego stanu prawnego przedmiotowej nieruchomości.



ZARZĄD DZIELNICY ŚRÓDMIEŚCIE M.ST. WARSZAWY

INFORMUJE,

że zgodnie z art. 38 ust. 4 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz. U. z 2020 r. poz. 1990 z późn. zm.), odwołane zostały, ogłoszone na dzień 4 marca 2021 r. przetargi ustne nieograniczone na sprzedaż, stanowiących własność m.st. Warszawy, lokali mieszkalnych nr: 36, 46, 51 i 52 usytuowanych w budynku położonym w Warszawie przy ul. S. Noakowskiego 12 wraz z udziałami w częściach wspólnych budynku i jego urządzeń, które nie służą do wyłącznego użytku właścicieli poszczególnych lokali oraz takimi samymi udziałami w prawie własności gruntu, na którym znajduje się budynek, oznaczonego jako działka ewidencyjna nr 42 o powierzchni 1.600 m² w obrębie 5-05-05, z powodu konieczności ustalenia aktualnego stanu prawnego przedmiotowej nieruchomości.

Prezydent Miasta Torunia

ogłasza przetarg ustny nieograniczony na przekazanie w dzierżawę nieruchomości położonej w Toruniu przy ul. Dybowskiej 10, stanowiącej własność Gminy Miasta Toruń.

Lp.	Lokalizacja	Oznaczenie geodezyjne	Powierzchnia	Czynsz wywoławczy	Wadium	Termin wpłaty wadium	Postąpienie	Termin przetargu	Czas trwania dzierżawy	Przeznaczenie
1.	ul. Dybowska 10	cz. działki 15/1	1,75 ha	3.000,00 zł kwartalnie netto + podatek VAT wg stawki 23 %	3.500,00 zł	10.03.2021 r.	10,- zł netto	17.03.2021 r. godz. 10.00	oznaczony do dnia 23.06.2040 r.	Zagospodarowanie i użytkowanie historycznego obiektu Zamku Dybowskiego na warunkach ustalonych w regulaminie przetargu wraz z wkomponowaniem przyległego terenu zielonego

Przetarg odbędzie się w siedzibie Wydziału Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miasta Torunia przy ul. Grudziądzkiej 126 b, sala - 115, I piętro.

W przetargu mogą brać udział osoby fizyczne i prawne, jeżeli wpłacą wadium w formie przelewu na konto Gminy Miasta Toruń - Bank Millennium S.A. 0/ Toruń nr konta 62 1160 2202 0000 0003 3943 1400 w podanym wyżej terminie oraz przedłożą Komisji Przetargowej dowód wpłaty wadium w dniu zorganizowania przetargu. Uczestnictwo w przetargu warunkowane jest również nie zaleganiem z opłatami na rzecz Gminy Miasta Toruń z tytułu korzystania z nieruchomości gminnych, w tym podatku od nieruchomości, co winno być potwierdzone pisemnie przez Wydział Księgowości Urzędu Miasta Torunia, przy ul. Grudziądzkiej 126 b, Wydział Podatków i Windykacji Urzędu Miasta Torunia, przy ul. Grudziądzkiej 126 b jak również przez Zakład Gospodarki Mieszkaniowej w Toruniu ul. Grudziądzka 159.

UWAGA!

1. Za termin wpływu wadium uznaje się dzień wpływu środków pieniężnych na konto Gminy Miasta Toruń.
2. Wadium wpłacone przez uczestnika przetargu, który przetarg wygrał zaliczone zostanie na poczet czynszu dzierżawego brutto.
3. Wadium ulega przepadkowi w sytuacji uchylania się od zawarcia umowy dzierżawy przez uczestnika, który przetarg wygrał. W przypadku nie wygrania przetargu wadium zostanie zwrócone (nie później niż przed upływem 3 dni od dnia odwołania lub zamknięcia przetargu) przelewem na wskazane przez uczestnika konto.
4. Prezydent Miasta Torunia zastrzega sobie prawo do odwołania przetargu.
5. Osoby przystępujące do przetargu winny zapoznać się z regulaminem przetargu.

Kontakt: Regulamin przetargu i szczegółowe informacje można otrzymać pod adresem Wydział Gospodarki Nieruchomości Urzędu Miasta, ul. Grudziądzka 126 b, pokój nr 220, tel. 56 61-18-543 oraz na www.bip.torun.pl - oferta inwestycyjna.

Wołomin, dnia 23.02.2021 r.

OGŁOSZENIE STAROSTY WOŁOMIŃSKIEGO

o zamiarze wszczęcia postępowania administracyjnego w sprawie ograniczenia sposobu korzystania z nieruchomości o nieuregulowanym stanie prawnym

Starosta Wołomiński wykonujący zadania z zakresu administracji rządowej informuje o zamiarze wszczęcia, w trybie art. 124a ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t. j. Dz. U. z 2020 r. poz. 1990 z późn. zm.) postępowania w przedmiocie ograniczenia sposobu korzystania z nieruchomości położonej w obrębie 0019 Rojków, gmina Poświętne stanowiącej działkę ewidencyjną nr 102/2. Powierzchnia gruntu zajęta w trakcie realizacji inwestycji wyniesie 1,7 m², strefa kontrolowana zajmie 19,0 m².

Na podstawie art. 113 ust. 6, art. 114 ust. 3 i 4, art. 124 ust. 1 i 124 ust. 1a w związku z art. 124a ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t. j. Dz. U. z 2020 r. poz. 1990 z późn. zm.) na wniosek PSG Sp. z o.o. reprezentowana przez Kamila Platosa, przeprowadzone zostanie postępowanie, w przedmiocie ograniczenia sposobu korzystania z w/w nieruchomości, w celu wykonania inwestycji liniowej polegającej na budowie sieci gazowej średniego ciśnienia Ø 90PE o długości 19 m. Zgodnie z dokumentacją zgromadzoną w sprawie w/w nieruchomości ma nieuregulowany stan prawny.

Jeżeli w terminie 2 miesięcy od dnia niniejszego ogłoszenia do Wydziału Geodezji i Kartografii Starostwa Powiatowego w Wołominie, 05-200 Wołomin, ul. Powstańców 8/10, pok. nr 16 lub telefonicznie, pod nr tel. (22) 346 12 08 nie zgłoszą się osoby, którym przysługują prawa rzeczowe do opisanej wyżej nieruchomości, zostanie wszczęte postępowanie w trybie art. 124 ust. 1 i 124 ust. 1a w związku z art. 124a ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami.

Wołomin, dnia 23.02.2021 r.

OGŁOSZENIE STAROSTY WOŁOMIŃSKIEGO

o zamiarze wszczęcia postępowania administracyjnego w sprawie ograniczenia sposobu korzystania z nieruchomości nieuregulowanym stanie prawnym

Starosta Wołomiński wykonujący zadania z zakresu administracji rządowej informuje o zamiarze wszczęcia, w trybie art. 124a ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t. j. Dz. U. z 2020 r. poz. 1990 z późn. zm.) postępowania w przedmiocie ograniczenia sposobu korzystania z nieruchomości położonej w obrębie 0010 Łąki, gmina Radzymin stanowiącej działkę ewidencyjną nr 163/2. Powierzchnia gruntu zajęta w trakcie realizacji inwestycji wyniesie 0,4 m², strefa kontrolowana zajmie 9,5 m².

Na podstawie art. 113 ust. 6, art. 114 ust. 3 i 4, art. 124 ust. 1 i 124 ust. 1a w związku z art. 124a ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t. j. Dz. U. z 2020 r. poz. 1990 z późn. zm.) na wniosek PSG Sp. z o.o. reprezentowana przez Kamila Platosa, przeprowadzone zostanie postępowanie, w przedmiocie ograniczenia sposobu korzystania z w/w nieruchomości, w celu wykonania inwestycji liniowej polegającej na budowie sieci gazowej średniego ciśnienia Ø 40PE o długości 9,5 m. Zgodnie z dokumentacją zgromadzoną w sprawie w/w nieruchomości ma nieuregulowany stan prawny.

Jeżeli w terminie 2 miesięcy od dnia niniejszego ogłoszenia do Wydziału Geodezji i Kartografii Starostwa Powiatowego w Wołominie, 05-200 Wołomin, ul. Powstańców 8/10, pok. nr 16 lub telefonicznie, pod nr tel. (22) 346 12 08 nie zgłoszą się osoby, którym przysługują prawa rzeczowe do opisanej wyżej nieruchomości, zostanie wszczęte postępowanie w trybie art. 124 ust. 1 i 124 ust. 1a w związku z art. 124a ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami.

Sąd nad jawnością

W poglądach na kwestie jawności życia publicznego pierwsza prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska konsekwentnie podąża drogą wytyczoną przez poprzedników. Jej wnioski o stwierdzenie niezgodności z konstytucją kilku przepisów ustawy o dostępie do informacji publicznej, ujawniony w środę przez Patryka Wachowca z Forum Obywatelskiego Rozwoju, powtarza niektóre tezy pisma skierowanego do trybunału jeszcze w 2013 r., a więc w czasie kadencji Stanisława Dąbrowskiego. Tamten wniosek został ostatecznie wycofany przez Małgorzatę Gersdorf – w odpowiedzi na liczne apele po przejęciu TK przez Zjednoczoną Prawicę ówczesna prezes uznała, że wniosek nie będzie rozpatrzony w niezależny sposób. Nigdy jednak nie stwierdziła, że był bezzasadny i groźny dla obywateli oraz państwa.

Nie był to niestety odosobniony przypadek. Sąd Najwyższy jest jedną z najmniej przejrzystych instytucji publicznych w Polsce, choć nie jest też niestety na tym tle wyjątkowy. Śmiem sądzić, że to właśnie powszechne wśród władz publicznych niechętnie podejście do jawności, a nie troska o zgodność przepisów z konstytucją, skłoniło Małgorzatę Manowską do wywrócenia ustawy o dostępie do informacji do góry nogami. Uprzedzając ewentualne zarzuty, przypominam, że protestowałem też przeciwko atakowi na jawność w 2013 r. Nie ukrywam jednak, że z uwagi na aktualne okoliczności zdecydowanie bardziej obawiam się decyzji obecnego trybunału.

Prezes Manowska chce, by TK zbadał, czy ustawa o dostępie do informacji publicznej nie określa zbyt szeroko kręgu podmiotów, od których możemy oczekiwać przynajmniej względnej jawności.

**KRZYSZTOF
IZDEBSKI**

dyrektor
programowy
Fundacji
ePaństwo



Informacje na temat działalności Polskiej Fundacji Narodowej, agencji państwowych czy spółek Skarbu Państwa nie będą już emocjonować opinii publicznej. Po prostu niewiele o ich działaniu będzie wiadomo. Podobnie będzie w przypadku urzędników, którzy wykorzystują swoją pozycję do prywatnych celów, lub osób, które na podstawie umowy wykonują ekspertyzy dla urzędów. Pierwsza prezes uznała, że obecne przepisy ustawy zbyt głęboko ingerują w ich prywatność.

Zdaniem Małgorzaty Manowskiej powinno się również uzależnić udostępnienie informacji od tego, jak dobrze wytłumaczymy się przed urzędnikiem, dlaczego interesujemy się daną sprawą. A w tych przypadkach, w których dostęp do informacji będzie z premedytacją uniemożliwiany, nie będziemy mogli liczyć na to, że urzędnik, który się tego dopuścił, poniesie odpowiedzialność karną. Przepisy dotychczas to umożliwiające ma nieść ze sobą ryzyko wyrządzenia temu urzędnikowi krzywdy.

Wniosek prezes Manowskiej wpisuje się w ciąg aktywnej funkcjonariuszy publicznych, które zmierzają do zawężania tego, co w państwie jawne dla obywateli. Pojawił się w momencie, gdy parlament pracuje nad innymi propozycjami ograniczenia prawa do informacji. Zmiany w kodeksie postępowania karnego odetną dziennikarzy i obywateli od dostępu do akt zakończonych

postępowań prokuratorskich, a tajemnica dyplomatyczna zablokuje możliwość uzyskania wiedzy o działaniach państwa w sferze polityki zagranicznej. Ten ostatni przykład jest kolejnym potwierdzeniem, że kultura tajemnicy najczęściej niweluje polityczne podziały. Mimo że jest to projekt rządowy, gorącym zwolennikiem wprowadzenia embarga na informacje o sprawach zagranicznych jest pozostający na co dzień w opozycji Radosław Sikorski.

Nawet jeśli pierwsza prezes Sądu Najwyższego – wbrew faktom – uważa, że mamy za dużo jawności, to mogła się zdecydować na zwołanie panelu ekspertów, którzy pomogliby określić ewentualne kierunki reformy ustawy o dostępie do informacji publicznej. Kierunki, które uwzględniałyby to, że w centrum tych przepisów powinien być obywatel, a nie urzędnik. Zamiast tego zdecydowała się ukarać obywateli i dziennikarzy, wystawiając ich za drzwi, na urzędowe korytarze. W dłuższej perspektywie negatywne konsekwencje ponosić będzie jednak państwo i jego instytucje. Jeżeli decyzja trybunału będzie zgodna ze złożonym przed kilkoma dniami wnioskiem, to obywatele i dziennikarze zostaną pozbawieni dostępu do wiedzy na temat wielu kluczowych dla opinii publicznej spraw. Ich ujawnienie leży w interesie państwa i jego instytucji. Prawo do informacji jest bowiem immanentnym elementem kontroli społecznej, a ta jest najlepszą metodą na bardziej uczciwe i efektywnie działające instytucje publiczne. Często wspominam przy takich okazjach o słowach pewnego amerykańskiego aktywisty zajmującego się prawem do informacji. Mówił mi kiedyś mocno zirytowany i przejęty, że autentycznie nie rozumie, dlaczego politycy i urzędnicy mają silną tendencję do zamykania spraw pod dywan. Problemy od tego nie znikają i ci, którzy tak robią, doskonale o tym wiedzą. Kieruje nimi w najlepszym razie pragnienie świętego spokoju i niechęć do tłumaczenia się ze swoich decyzji. Co więcej, gdy presja rośnie i pojawiają się liczne komentarze (a dywan zaczyna się nienaturalnie wybrzuszać), chcą nas wystawić za drzwi, upewniając się przy tym, że dokładnie je zamknęli. ©

OPINIA

Czarnek marzyciel

**JAN
WRÓBEL**

dziennikarz
i publicysta



Latwo szydzić z pobożnych westchnień ekspertów mianowanych przez ministra Przemysława Czarnka dla ratowania szkolnych podręczników przed bezbożnością i antypolonizmem. Łatwo też podśmiewać się z autorów edukacyjnej gry, której tematem jest życie i dorobek Jana Pawła II. Tyle że działalność tych pierwszych będzie (którą to już!) krzywdą wyrządzaną polskiej oświacie przez tych, którzy powinni jej pomagać. Pomysł tych drugich – odwrotnie. Wspiera, nie krzywdzi.

Pomysł pierwszy opiera się na tragicznym marzeniu, aby szkoła była karykaturą korporacji, w której posłuszne korpulduki za grosze wiernie wypełniają wszystkie polecenia szefów. W tej wizji nauczyciel/ka otwiera uduchowiony podręcznik i czyta dzieciom to, co napisane. Dalsze kroki nauki to samodzielne czytanie przez uczniów, klasówki („uzupełnij zdania: Lech Wałęsa był agentem SB w latach...”, „niemieckiej zbrodni w Jedwabnem dokonali...”, „Królową Polski jest...”), a w oczywistej konsekwencji ukształtowanie młodzieży w duchu zarazem tak chrześcijańskim, jak narodowym. Czarnek, marzycielu...

Wszystko nie tak. Czytanie podręczników w XXI w. to niemal fikcja, a wpływ dopieszczonych przez ekspertów z nieba rodem zdań i słów będzie homeopatyczny. Przede wszystkim jednak nauczyciel, który zabrałby się do wpajania uczniom Nowych Treści, bo przyszedł Nowe Rozkazy, byłby najmniej skutecznym indoktrynerem w Polsce. W XXI w. chcemy wpłynąć na młodzież kolejnym wcieleniem obywatela Piszczyka? Trzymajcie mnie! Jedyne, z czym dobrze mu pójdzie, to popularność w internecie, bo szydery z jego edukacyjnymi popisami mogą odnieść komercyjny sukces.

Gra komputerowa to co innego. Ona właśnie jest „influencerska”, nie wprost wałaca w głowę. Granice dopuszczalnej hipokryzji przekroczyła rzeczniczka prasowa ZNP, która zarzuciła MEiN, że chce on odciągnąć dzieci od książek. Gra może co najwyżej na chwilę odciągnąć dzieci od innej aktywności w sieci. Nie ma też nic zdrożnego w tematyce papieskiej. Teraz trzeba tylko dopilnować, aby pojawiły się jeszcze gry o polskich sufrażystkach oraz wielkim wkładzie Żydów i Niemców w polską kulturę. Tylko i aż. ©

GRAPE. Tłoczone z danych

Pożytki z urlopów rodzicielskich

**MAGDALENA
SMYK-
SZYMAŃSKA**

ekonomistka
GRAPE



Czy wprowadzona reforma prowadzi nas do wyznaczonego celu? Czy jej koszt jest adekwatny do efektów? A co, jeśli nowe przepisy nie dadzą pożądanego wyniku? Tych kilka prostych pytań jest fundamentalnych dla dobrego zarządzania państwem. A jednak, gdy proces legislacyjny jest za nami, zapominamy, że to, co miało sens w głowie polityka, nie zawsze współgra z rzeczywistością.

Weźmy na warsztat urlopy rodzicielskie. Wśród powodów ich wprowadzenia są i te najbardziej oczywiste – umożliwienie pracownikowi przerwy w pracy na czas opieki nad małym dzieckiem, i te złożone – zachęcanie do posiadania dzieci osób rozwijających karierę zawodową i zniwelowanie różnic w aktywności zawodowej oraz zarobkach kobiet i mężczyzn. Choć urlopy rodzicielskie stały się powszechnym rozwiązaniem, to ich przełożenie na poszczególne sfery życia budzi wątpliwości. Z jednej strony: im dłuższa przerwa w pracy, tym powrót do niej trudniejszy i gorsze widoki na lepsze zarobki oraz awans. Z drugiej: brak ochrony miejsca pracy może powodować, że kobiety będą mniej chętnie lub później decydować się na dzieci, a różnica w aktywności zawodowej obu płci będzie rosła. Jak jest w praktyce?

Dzięki badaniom Henrika Klevena (Uniwersytet w Princeton), Camille'a Landaisa (London School of Economics), Andreasa Steinhauera (Uniwersytet Edynburski), Josefa Zweimüllera (Uniwersytet Zurycki) i Johannya Poscha z firmy konsultingowej Analysis Group możemy

poznać historię ewolucji urlopu rodzicielskiego w Austrii. I przekonać się, czy oraz w jakim stopniu reformy zmieniły nierówności dochodowe kobiet i mężczyzn (matek i ojców).

Autorzy badania nie tylko precyzyjnie weryfikują skutki legislacji (w interesującym ich aspekcie), lecz przede wszystkim patrzą na zagadnienie w sposób całościowy. Zaczynają od 1953 r., gdy urlopy rodzicielskie wprowadzono; oceniają efekty reformy z 1961 r. – wówczas Austriacy zyskali prawo do rocznego płatnego urlopu; analizują zmiany z 1990 r., 1996 r., 2000 r. i 2008 r. – wydłużające urlop oraz angażujące oboje rodziców. Obecnie austriaccy rodzice mogą spędzić z dzieckiem do trzech pierwszych lat życia (cały czas otrzymując zasiłek), z tym że minimum sześć miesięcy musi być wykorzystane przez każde z nich.

Austria to jedno z hojniejszych państw, jeżeli chodzi o płatny urlop rodzicielski. Ale to też kraj, w którym dominują konserwatywne poglądy, a kobiety rzadziej niż mężczyźni uczestniczą w rynku pracy – tylko 55 proc. kobiet jest aktywnych zawodowo. Jednocześnie Austria nie odstaje od europejskiej średniej i doświadcza gigantycznych zmian w zakresie nierówności – w ostatnich 60 latach luka płacowa między kobietami a mężczyznami zmniejszyła się o 30 pkt proc.

Celem badania było sprawdzenie, czy i w jakim stopniu spadek nierówności w zarobkach matek i ojców można traktować jako efekt dużych i kosztownych reform. Wnioski z analizy są następujące: urlopy rodzicielskie w krótkim okresie niosą za sobą pogłębienie się różnic w dochodach matek i ojców, lecz w dłuższej perspektywie ani nie pogłębiają, ani nie są w stanie wytłumaczyć znacznego spadku w tychże różnicach. Badacze uważają, że legislacja w niewielkim stopniu oddziałuje na równość płci, zaś zmian należy głównie upatrywać w ewolucji norm i zasad na rynku pracy oraz w domu.

Bez badań trudno o obiektywną ocenę reform, lecz wnioskować nie da się bez danych. Co więcej, żeby móc powiedzieć, że coś działa lub nie, potrzebna jest odpowiednia ilość materiału badawczego. Niestety rzadko myśli się o zbieraniu danych już w perspektywie kilku lat, a co dopiero przez kilka pokoleń. A bez tego nie da się ocenić z pełną odpowiedzialnością efektywności działania państwa. ©

FELIETONY

PREZYDENT MIASTA TORUNIAogłasza konkurs na stanowisko
dyrektora**Teatru „Baj Pomorski” w Toruniu**Blższe informacje o konkursie
pod adresem www.bip.torun.pl

- ogłoszenia o pracy w innych jednostkach.

Sygn. akt XIV Ns 17/20 **OGŁOSZENIE**

W Sądzie Rejonowym w Bydgoszczy pod sygnaturą XIV Ns 17/20 toczy się postępowanie z wniosku Getin Noble Banku S.A. o stwierdzenie nabycia spadku po Zenonie Franciszku Gil, synu Kazimierza i Marty, zmarłym w dniu 21 września 2017 r. w Bydgoszczy, ostatnio stale zamieszkałym w Bydgoszczy. Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się do sądu spadku i wykazały swe prawa do dziedziczenia, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WWW.IKOMUNIKATY.PL**Ogłoszenia w Dzienniku Gazecie Prawnej****gazeta + internet**Ewa Gromek-Tyburka, ewa.gromek@infor.pl, tel. +48 22 530 41 78, tel. kom. + 48 510 024 764
Sylvia Nowakowska, sylvia.nowakowska@infor.pl, tel. +48 22 530 42 07, tel. kom. 510 024 732

KOMUNIKATY

**Syndyk Masy Upadłości
EarthWorks Inwestycje Sp. z o.o. w Krakowie
w upadłości likwidacyjnej****ogłasza konkurs ofert
na sprzedaż pakietu wierzytelności**

- przynależnej od **SIAC Construction Ltd** z siedzibą w Dublinie (dalej jako SIAC), potwierdzonej wyrokiem Sądu Rejonowego w Tarnowie, V Wydziału Gospodarczego z dnia 15 czerwca 2015 r. (sygn. akt V GC 890/14), opiewającej na 52.631,15 zł (należność główna), powiększonej o odsetki oraz koszty procesu (3.119,19 zł);
- wynikającej z faktur nr 1/11/2014EWI oraz 03/01/2015EWI, opiewających łącznie na 67 724,56 należnej od **LIBER Sp. z o.o. w Katowicach**, wpisanej do Rejestru Przedsiębiorców Krajowego Rejestru Sądowego pod nr 0000505424;
- wynikającej z faktury nr 01/06/2014EWI z dnia 13 czerwca 2014 r., opiewającej na 1 000, - zł przynależnej od **Marlusa Rudek**;
- wynikającej z faktury nr 01/12/2013EWI z dnia 13 grudnia 2013 r., opiewającej na 2 000, - zł należnej do **Tadeusza Biela**, prowadzącego działalność gospodarczą pod firmą **TADEX**;
- przynależnej od **ABB-FDO Polska Sp. z o.o. w Warszawie** (KRS: 0000301953) z tytułu niezwróconej kaucji należytego wykonania umowy, opiewającej na 381.470,64 zł;
- przynależnej od **POLIMEX-MOSTOSTAL S.A. w Warszawie**, wynikającej z pobranej i niewymagalnej kaucji usunięcia wad i usterek, opiewającej na kwotę 81 292,56 zł;

Sprzedaż odbywa się bez ceny minimalnej.

Powyższe wierzytelności nie są w pełni udokumentowane, mogą być sporne lub mogą nie istnieć. Pisemne oferty należy składać do dnia **16 marca 2021 r.** na adres: Kancelaria Syndyka, ul. Stańczyka 5/ LU 1, 30-126 Kraków. Na kopercie należy napisać „**KONKURS OFERT EWI**”. Syndyk zastrzega dla siebie prawo przeprowadzenia dodatkowych negocjacji cenowych z oferentami. Zastrzega się dla Syndyka prawo unieważnienia konkursu, odstąpienia od konkursu i odstąpienia od sprzedaży na każdym jej etapie bez podania przyczyny oraz bez publicznego zawiadomienia, a także do zmiany ogłoszenia lub zmiany warunków konkursu. Niniejsze ogłoszenie nie stanowi oferty w rozumieniu przepisów KC. W związku z udziałem w konkursie, oferentom nie przysługują żadne roszczenia do sprzedającego. Zapłata oferowanej ceny winna nastąpić w ciągu 7 dni od dokonania wyboru oferenta. Oferta winna zawierać:

- oświadczenie, iż nabywca zapoznał się ze stanem zbywanych wierzytelności i nie wnosi do niego zastrzeżeń.
- proponowaną cenę (kwotowo i słownie).
- pełne dane nabywcy, wraz z dokumentami potwierdzającymi zdolność do reprezentacji i złożenia oferty.
- dane kontaktowe, w tym telefon i mail.

Szczegółowo, ze zbywanymi wierzytelnościami zapoznać się można w Biurze Syndyka po wcześniejszym umówieniu: 30-126 Kraków, ul. Stańczyka 5/ LU 1, czynne pn.-pt. godz. 9-15, tel/faks 12 - 31 14 455, bezpośrednio u Syndyka: 502 078 078, lub można także otrzymać informację mailom, po przesłaniu zapytania na adres: ikb@wp.pl

WÓJT GMINY DMSOSIN

Na podstawie art. 38 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz. U. z 2020 r., 1990 z późn. zm.), §3, §6 i §13 Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 14 września 2004 r. w sprawie sposobu i trybu przeprowadzania przetargów oraz rokowań na zbycie nieruchomości (t.j. Dz. U. z 2014 r. poz. 1490 z późn. zm.)

OGŁASZA I PRZETARG USTNY NIEOGRANICZONY**na sprzedaż nieruchomości zabudowanych położonych w Dmosinie stanowiących własność Gminy Dmosin**

Położenie nieruchomości	Oznaczenie wg katastru (ewidencji gruntów i budynków) oraz księgi wieczystej	Przeznaczenie w planie miejscowym/ studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego	Cena wywoławcza do I przetargu w zł	Kwota wadium w zł	Uwagi
Woj. łódzkie, powiat brzeziński, Gmina Dmosin, miejscowość Dmosin, obręb ewidencyjny Dmosin Wieś 0003	Działka nr 302/7, pow. 0,5022 ha Użytki „Bi” 0,5022 ha LD1B/00032377/9 Działki nr: 304, 305/2 i 306/5 pow. 1,1493 ha Użytki „Bi” 0,7298 ha i „Br” 0,4195 ha LD1B/00022601/6	Według ustaleń Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego Gminy Dmosin (<i>Uchwała Nr XXV/137/17 Rady Gminy Dmosin z dnia 13 lutego 2017 r.</i>) nieruchomości znajdują się na obszarze oznaczonym symbolem PU - Tereny zabudowy produkcyjnej, baz, składów i zabudowy usługowej Aktualnie opracowywany jest miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego dla całego obrębu Dmosin Wieś. Z projektem miejscowego planu można zapoznać się w Biuletynie Informacji Publicznej i stronie internetowej Gminy Dmosin.	Cena netto 718 240,00 zł (słownie złotych: siedemset osiemnaście tysięcy dwieście czterdzieści 00/100) Podatek VAT 165 195,20 zł Cena brutto 883 435,20 zł (słownie złotych: osiemset osiemdziesiąt trzy tysiące czterysta trzydzieści pięć 20/100)	90 000,00	Z uwagi na brak bezpośredniego dostępu do drogi publicznej powiatowej dla działek nr 304, 305/2 i 306/5 sprzedaż wszystkich wyżej wymienionych nieruchomości może nastąpić wyłącznie w całości na rzecz jednego inwestora. W dziale nr III księgi wieczystej nr LD1B/00032377/9 wpisane ograniczone prawo rzeczowe – służebność gruntowa na rzecz każdorazowego właściciela działki gruntu nr 306/1, polegająca na prawie nieodpłatnego i nieograniczonego w czasie przejścia i przejazdu przez działki nr ewid. 302/5 i 301/2 (nie objęte w niniejszym ogłoszeniu o przetargu).

OPIS NIEMUCHOMOŚCI

Nieruchomości gruntowe o nieregularnym kształcie, zabudowane budynkami po byłej Spółdzielni Kótek Rolniczych w Dmosinie. Nieruchomości sąsiadują z terenami usługowymi (sklep, piekarnia), rolniczymi, mieszkaniowymi i terenem autostrady A2. Najbliższy zjazd z autostrady znajduje się w Strykowie (ok. 15 km) i w Łyszkowicach (ok. 15 km). W odległości ok 900 metrów znajdują się budynki użyteczności publicznej: szkoła podstawowa, urząd gminy, poczta, bank i placówki handlowe. Działka nr 302/7 posiada bezpośredni dostęp do drogi powiatowej. Działki nr: 304, 305/2 i 306/5 posiadają pośredni dostęp do drogi powiatowej, poprzez działkę o nr ewid. 302/7 oraz dostęp do drogi technicznej obsługującej teren autostrady A2. Nieruchomości położone w terenach suchych o ukształtowaniu poziomym, korzystnym. Częścią składową nieruchomości są budynki o różnym przeznaczeniu: budynek biurowo-socjalny pow. 170 m², wiatła stacji paliw 12 m², budynek warsztatowy 248 m², wiatła garażowa 160 m², portiernia 11 m², warsztat 338 m², dwa budynki parterowe, nie podpiwniczone: budynek biurowo-magazynowy o powierzchni użytkowej 500m² i budynek magazynowy o pow. 20 m² (dz. nr ewid. 304) oraz budynek magazynowy o powierzchni użytkowej 720 m² (dz. nr ewid. 306/5). Teren oświetlony i w dużej części utwardzony. Przedmiotowe nieruchomości są w części ogrodzone i wyposażone w przyłącze wodociągowe do wodociągu gminnego i sieć elektryczną oraz istnieje możliwość przyłączenia do sieci kanalizacyjnej.

- Przetarg na sprzedaż ww. nieruchomości odbędzie się 17 maja 2021r. o godz. 11⁰⁰ w Sali konferencyjnej Urzędu Gminy w Dmosinie, Dmosin 9, 95-061 Dmosin**
- Wadium w podanej wysokości należy wpłacić na konto Gminy Dmosin: BSZŁ o/Dmosin 80 9288 1024 1430 0592 2000 0040, najpóźniej do dnia 10.05.2021 r. (decydujący jest moment zaksięgowania kwoty wadium na rachunku Gminy Dmosin), wpisując w tytule „(wpisać dane oferenta), dot. przetargu na sprzedaż nieruchomości zabudowanych położonych w Dmosinie”
- Informacje o miejscu wywieszenia i publikacji ogłoszenia o przetargu zamieszczone są do publicznego wglądu w Biuletynie Informacji Publicznej Gminy Dmosin www.bip.dmosin.pl i na stronie internetowej Gminy Dmosin www.dmosin.pl
- Dodatkowe informacje o nieruchomościach objętych przetargiem można uzyskać pod numerem telefonu (46) 874 62 94 wew. 21 lub osobiście w budynku Urzędu Gminy w Dmosinie, Dmosin 9, 95-061 Dmosin w godzinach pracy urzędu tj. od poniedziałku do piątku w godzinach 8⁰⁰ -16⁰⁰, po wcześniejszym uzgodnieniu telefonicznym z pracownikiem urzędu. Nieruchomość można obejrzeć po wcześniejszym uzgodnieniu telefonicznym ze sprzedającym.

**Garaze na sprzedaż - Bezpośrednio
Warszawa**

ul. Himalajska 17

17 m² od 56 000 zł netto**18 m² od 58 000 zł netto**

ul. Komitetu Obrony Robotników 39L

16,41 m² od 35 000 zł netto**Szczegółowe informacje: (+48 22) 326 10 56**

EGZAMIN
ÓSMOKLASISTY

z Dziennikiem Gazetą Prawną

2021



**Testy i arkusze dostosowane
do nowych wymagań egzaminacyjnych**



Język polski



Matematyka



Język angielski

Kolejne tygodnie zdalnej nauki? Zastanawiasz się, jak pomóc dziecku w efektywnym przygotowaniu do egzaminu? Skorzystaj ze sprawdzonych sposobów! Książki z testami i arkuszami egzaminacyjnymi pozwalają samodzielnie ćwiczyć rozwiązywanie zadań. Umożliwiają **powtórzenie wszystkich zagadnień występujących na egzaminie ósmoklasisty oraz sprawdzenie prawidłowych odpowiedzi i punktacji.**

KUP:  **sklep.infor.pl**



OBSERWUJE I PREZENTUJE

Rafał Woś

Ateny po chorobie

W minionych latach Grecja regularnie gościła na czołówkach ekonomicznych mediów. Potem to zainteresowanie osłabło. Co oczywiście nie oznacza, że na południu Europy rzeczy wróciły do – choćby jako takiej – normalności. Przeciwnie. Wygląda raczej na to, że Grecja będzie należała do największych ofiar pandemii koronawirusa w całej Unii.

Nie chodzi nawet o sam wpływ COVID-19 na zdrowie publiczne. Gdy idzie o liczbę ofiar śmiertelnych (w przeliczeniu na milion mieszkańców), Grecja wypadła znacznie lepiej niż Polska. Rzecz raczej w tym, że recesja, której grecka gospodarka nieuchronnie zaczęła doświadczać, ma fatalny wpływ na ogólną sytuację Hellady. Chodzi głównie o dług publiczny. Gdy dekadę temu o greckim długu zrobiło się głośno, Ateny obwołano „chorym człowiekiem Europy”. Ten chory człowiek został następnie szybko ubezwłasnowolniony. To znaczy pozbawiony faktycznej suwerenności i zmuszony do przyjęcia końskiej kuracji oszczędnościowej przez pozostałe kraje strefy euro. W czym niesławna rolę odegrały – jak pamiętamy – Niemcy. Ów straszliwy grecki dług publiczny wynosił wówczas 170 proc. PKB. Ile wynosi dziś? Przekroczył właśnie 200 proc. PKB. Oczywiście jest to nieuchronna konsekwencja kurczącej się gospodarki. No bo skoro PKB spada, to nie ma takiej siły, by dług się nie powiększył.

Czytelnicy wychowani na polskim liberalnym dogmatyzmie zakrzykną pewnie: niech Grecy spłacą dług! Owszem – jedną z dróg zmniejszenia zadłużenia publicznego jest droga zwana austerą – mieszkanka podwyżek podatków i zmniejszenia wydatków państwa. Problem w tym, że Grecy takiej terapii poddawani są od 2013 r. Z fatalnymi efektami: bezrobocie w tym czasie urosło do ok. 20 proc. A stan społecznego oburzenia wyniósł do władzy lewicową Syriza. Partia ta z początku obiecywała Grekom, że nie

ugnie się pod dyktando oszczędnościowym Unii i Międzynarodowego Funduszu Walutowego. W końcu jednak rząd Aleksisa Ciprasa skapitulował i pokornie spełnił żądania Zachodu. Sprywatyzowano wiele obiektów użyteczności publicznej i zmasakrowano greckie państwo dobrobytu. A gospodarce zafundowano kryzys ciągnący się już od dekady. Czy długi udało się spłacić? Nie. W 2021 r. jest nawet gorzej, niż było.

Czy można więc z greckim długiem zrobić coś innego? Owszem. Można go zrestrukturyzować. To określenie eufemistyczne. Precyzyjniej byłoby powiedzieć „darować”. Wtedy Grecja miałaby może szansę na nowy start. Teoretycznie dałoby się to zrobić bez problemu. W końcu grecki dług trzymany jest dziś głównie przez inne kraje strefy euro w ramach mechanizmów unijnej stabilizacji zadłużeniowej. Nie ma w tej chwili politycznego przyzwolenia w Europie na otwarte darowanie tych zobowiązań. Zbyt wiele zachodnia prasa głównego nurtu napisała o greckich darmozjadach i utracuszach. Zbyt mało jest też gotowości na uznanie faktu, że zadłużeniowe problemy Hellady mają swe źródło w tym, jak skonstruowana jest strefa euro. I że dla części krajów (w tym Grecji) okazała się pułapką, z której w zasadzie nie da się wydostać.

W swoim najnowszym tekście były grecki polityk i ekonomista Georgios Alogoskoufis proponuje jeszcze jedną drogę. Nazywa ją „stopniowym dostosowaniem”. Ta ścieżka nie zakłada wielkiego uwolnienia od długu. Dług pozostanie, ale schowany (na zawsze) w bilansach EBC i bogatszych krajów strefy euro, w tym Niemiec. Grecja dostanie zaś trochę tlenu na wychodzenie z zadłużenia drogą keynesowską – to znaczy poprzez wzrost gospodarczy. Tak jak zawsze wychodziło się z wielkich długów po przeróżnych wojnach i kataklizmach. Pytanie oczywiście, czy Unia na to Grekom pozwoli i czy nie będzie ich co jakiś czas przyduszać koniecznością kolejnych serii fatalnej polityki spod znaku austerity. ©

COVID, Hegel, COVID, Trump

Slavoj Žižek zapewne nie czytał krytyki swoich pandemicznych rozważań, którą czytelnicy tej kolumny mogli poznać kilka miesięcy temu. I postanowił uraczyć nas ich drugą częścią. Cóż, pandemia nie służy filozofom – zaś temu z Lublany w szczególności. A może nie chodzi o pandemię? Może problem jest głębszy? Może wyczerpało się to, co u Žižka było świeże i zaskakujące. To, co uczyniło z niego najsłynniejszego popmarksistę naszych czasów.

Žižek zyskał wielbicieli odwagą w łamaniu myślowych przyzwyczajęń i śmiałością w sięganiu po dziwaczne nieraz paralele i porównania. Ale ostatnio jakby się zaczął tego lekka. Najpierw coś mówi albo pisze, jak na Žižka przystało – nie kalkulując i nie dzieląc włosa na czworo, ale potem przedstawiciele ugrzecznionej lewicy dzwonią do niego i robią mu wyrzuty, że pochwalili nie tego co trzeba i nie odciął się odpowiednio mocno od Trumpów, Orbánów i Kaczyńskich. I Žižek zaczyna się tłumaczyć, że „wprawdzie, ale przecież”. I już nie jest dawnym Žižkiem, tylko jednym z przewidywalnych publicystów. Który „oczywiście” krytykuje kapitalizm i liberalną demokrację, ale „oczywiście” nie jest w stanie sobie wyobrazić niczego innego. A nawet jeśli jest w stanie sobie wyobrazić coś innego, to ta inność tak go przeraża, że już woli, żeby było tak, jak było. To dzisiejszy Žižek. Ugrzeczniony, oswojony, spętany łańcuchami poprawności wszelakiej. Dziwne, prawda?

Ta książka jest tego najlepszym dowodem. Podobnie jak poprzednia. Oba tomy okołopandemicznych rozważań broniłyby się pewnie jako pisane na gorąco blogowe rozważania. Gatunek powstający z pomieszania pierwszych reakcji na internetowe nagłówki z przypominającymi się dość przypadkowo skrawkami lektur albo obejrzanymi filmów. COVID, Hegel, Herder, Trump, Big Pharma, Orbán, Kaczyński, COVID. Takie szybkie kawałki i zbiory skojarzeń są jeszcze jakoś do wytłumaczenia. Ale książka? Nic tu się niestety nie składa w większą całość. I niewiele z tego wszystkiego wynika.

Oczywiście to nie jest tak, że Žižek plecie androny. Większość jego rozważań to słuszne i sensowne wnioski. Choćby takie, że pandemia jedynie od-

kryła przed nami w całej okazałości problemy ze współczesnym kapitalizmem. Bo przecież teraz jeszcze wyraźniej widać różnice pomiędzy biednymi a bogatymi. Tymi, co mogą się wyizolować i uchronić przed wirusem. I tymi, co takiego przywileju nie mają. Albo o różnicach pomiędzy różnymi częściami naszej planety, które przy okazji ataku koronawirusa wychodzą na powierzchnię. Ale wszystko to razem zdecydowanie zbyt mało. Przynajmniej jak na myśliciela o takiej renomie jak Słowniec. A na autora, który pchnie nas na nowe pocovidowe tory myślenia o świecie, przyjdzie nam pewnie jeszcze trochę poczekać. ©



Slavoj Žižek,
„Pandemia 2. Kroniki straconego czasu”,
przeł. Jowita
Maksymowicz-Hamann,
Wydawnictwo Relacja,
Warszawa 2020

ECONOMICUS

Już za tydzień w wydaniu magazynowym ukaże się

relacja z gali finałowej X Edycji Konkursu Economicus

Zapraszamy!

Organizator:

**DZIENNIK
GAZETA PRAWNA**

Partner konkursu ECONOMICUS:

NBP Narodowy Bank Polski

**DZIENNIK
GAZETA PRAWNA**

Redakcja:
ul. Okopowa 58/72
01-042 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl
Redaktor naczelny: Krzysztof Jedlak
Zastępcy redaktora naczelnego:
Barbara Kasparycka, Dominika Sikora,
Marek Teichman

Sekretarze:
Dariusz Koźlenko, Mira Suchodolska,
Wojciech Lysek, Urszula Wróblewska,
Marta Sobolewska
Kierownik działów Kraj, Świat i Gospodarka:
Anita Sobczak
Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska, Marcin Mroziuk (tygodnik PIK)
Firma i Prawo oraz Prawnik:
Ewa Szadkowska, Joanna Pleńczykowska (tygodnik FIP)
Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:
Agata Szczepańska, Bożena Ławnicka (tygodnik SiA),
Karolina Topolska (tygodnik KIP)
Opinie: Michał Potocki
Tygodniki i Tygodnik Gazeta Prawna:
Marta Gadomska-Byrska

Magazyn: Anna Masłoń, Piotr Czarnowski,
Emilia Świętochowska
GazetaPrawna.pl: Lidia Raś
Forsal.pl: Aleksandra Dzierżek
Dziennik.pl: Przemysław Średziński
Szef działu foto: Krzysztof Cieśliewicz
Szef studia DTP: Jacek Obrusiewicz
Główny grafik: Cezary Cichocki
Centrum Reklam:
(tel. 22 530 44 44,
faks 22 530 41 10)
e-mail: reklama@infor.pl
Dyrektor ds. Sprzedaży: Michał Krukowski
Dyrektor Centrum Marketingu i Sprzedaży:
Aneta Kowalska, tel. 22 530 43 00

Rzecznik prasowy, PR:
Mirosława Piotrowska,
tel. 22 530 40 56
Biurowisko Klienta:
ul. Okopowa 58/72
01-042 Warszawa
tel. 22 761 31 27
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl
Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki,
tel. 22 530 42 06
Produkcja: Maciej Kownacki,
tel. 22 530 42 24
Druk: Agora SA (Warszawa)

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
Infor BIZNES Sp. z o.o.,
01-042 Warszawa, ul. Okopowa 58/72
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Właściciel: Ryszard Piętkowski
Prezes zarządu: Ewa Świątuniuk

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

GAZETA PRAWNA

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
RUCH SA,
Kolporter SA,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 31 27,
gazetaprawna.pl/prenumerata